

Robbins Harold

Piranie

*PIRANIE - zabójcze, pożerające wszystko rybki zamieszkujące wody Amazonki
PIRANIE - mężczyźni i kobiety zżerani przez chciwość, zdradliwi i żądni pieniędzy
PIRANIE - popychane do czynu swoim apetytem, żądzą się własnymi prawami. A
dookoła sieją śmierć.*

* * *

Jed Stevens, pół Żyd, pół Sycylijszyk, pomimo znacznego bogactwa nie może uwolnić się od rodziny, której głową jest jego wuj - ojciec chrestny mafii. Przystojny, bystry, otoczony wianuszkami atrakcyjnych kobiet, Jed robi karierę w świecie showbiznesu, lotnictwa i finansów, korzystając z wszelkich uciech tego świata. Wszystko co dobre ma jednak swój koniec. I pewnego dnia Jed musi wybrać pomiędzy światem, który podbił, a tym, któremu winien jest lojalność.

Pogrzeb

Katedra Św. Patryka tonęła w strugach ulewnego deszczu. O jedenastej rano policja ograniczyła ruch na Piątej Alei od ulicy Czterdziestej Czwartej do Czterdziestej Dziewiątej. Autobusy puszczo no tylko jednym pasem przy chodniku obok Centrum Rockefellera, po przeciwnej stronie niż świątynia. Jezdnią sunęły długie limuzyny o przyciemnionych szybach. Na chodniku i schodach prowadzących do katedry roilo się od kamer telewizyjnych i reporterów, nie zabrakło też chorobliwie ciekawskiego tłumu.

Ławki w katedrze zajmowali żałobnicy w czerni. Niektórzy ubrani bardzo elegancko, inni ubogo, ale wszyscy spoglądali w stronę ołtarza, na bogato zdobioną złotem trumnę, przybraną skromnym wieńcem kwiatów.

Zgromadzeni niecierpliwie czekali na mszę, którą odprawić miał kardynał Fitzsimmons. Ciekawi byli jego kazania, ponieważ nienawidził zmarłego.

Siedziałem przy przejściu między ławkami, w pierwszym rzędzie, zarezerwowanym wyłącznie dla rodziny i krewnych. Spojrzałem na otwartą trumnę. Prawdę mówiąc, mój wuj prezentował się lepiej niż za życia. Kiedy jako dziecko przyglądałem mu się intensywnie, nad jego lewym ramieniem widziałem anioła śmierci, który zniknął, gdy wuj odzywał się do mnie - to najbardziej utkwilo mi w pamięci. W mojej ławce siedziało pięcioro pozostałych członków rodziny, wśród nich ciotka Rosa, siostra wuja i mojego ojca. Były też córki Rosy z mężami. Miałem trudności z przypomnieniem sobie ich imion, ponieważ widywaliśmy się rzadko. O ile pamiętam, nazywali się Cristina i Piętro oraz Luciana i Thomas; ci ostatni mieli dwójkę własnych dzieci.

Po drugiej stronie przejścia, również w pierwszym rzędzie, zajęły miejsce ważne osobistości i bliscy przyjaciele wuja. Wuj miał wielu przyjaciół. Musiał ich mieć, skoro umarł we własnym łóżku na rozległy atak serca, a nie od kuli, co jest najczęstszą przyczyną śmierci jego rodaków. Spojrzałem w przeciwną stronę. Rozpoznałem niektórych mężczyzn; wyglądali poważnie w czarnych garniturach, białych koszulach i czarnych krawatach. Przy bocznej nawie zauważyłem Danny'ego i Samuela, ochroniarzy mojego wuja. Byli młodzi, może w moim wieku, koło czterdziestki. Siedzącego obok nich mężczyznę znałem ze zdjęć w gazetach. Bardzo przystojny, srebrzystowłosy, ubrany w starannie skrojony garnitur. Z kieszonki wystawała czarna chusteczka, idealnie dobrana do krawata zawiązanego na jedwabnej koszuli. CEO. Prezes rady. Piętnaście, dwadzieścia lat temu nazywano by go Ojcem Chrzestnym. *Capo di tutti capi*. Tak właśnie nazywano mojego wuja. Było to czterdzieści lat temu. Całowano go w rękę.

CEO był Amerykaninem od czterech pokoleń. Poza tym to nie była mafia. Mafia istnieje na Sycylii. Tu, w Ameryce, to konglomerat złożony z Sycylijczyków, czarnych, Latynosów i Azjatów. Na jego czele stał jednak twardo CEO wraz z radą złożoną z pięciu najważniejszych rodzin. Głowy rodzin siedziały w tej samej ławce co CEO. W następnych rzędach siedzieli pozostali Latynosi, czarni, Azjaci. Przez wszystkie lata hierarchia nie uległa zmianie. Kardynał pośpiesznie odprawił mszę i w niecałe dziesięć minut było po wszystkim. Wykonał nad trumną znak krzyża i odwrócił się, by odejść. W tej samej chwili z ławki pośrodku kościoła poderwał się szczupły, niski, ubrany w czarny garnitur mężczyzna i zaczął biec w stronę trumny, wściekle wymachując nad głową pistoletem. Usłyszałem krzyk ciotki Rosy i zobaczyłem, jak kardynał, ' trzepocząc sutanną, ucieka w popłochu za ołtarz. Zerwałem się z ławki i popędziłem za mężczyzną; kątem oka dostrzegłem, że inni też za nim biegną. Dopadliśmy go, gdy już opróżnił cały magazynek.

- Jedna śmierć to za mało dla zdrajcy! - wołał głośno. Ochroniarze wuja powalili go na ziemię. Zauważyłem, że chcą mu skrócić kark, lecz CEO był już na miejscu. Dał znak ręką i potrząsnął głową.

- Nie.

Ochroniarze wstali, a trumnę otoczyli umundurowani funkcjonariusze dowodzeni przez dwóch policjantów w cywilu. Jeden z nich wskazał leżącego wciąż na posadzce mężczyznę i powiedział:

- Zabierzcie go stąd.

Drugi podniósł z ziemi pistolet i włożył go do kieszeni. Ponieważ znajdowałem się najbliżej trumny, zwrócił się do mnie:

- Kto panuje nad tym wszystkim?

Rozejrzałem się. CEO i ochroniarze wuja siedzieli z powrotem w swoich ławkach. Ciotka głośno płakała. Wyrwała się swoim zięciom i podbiegła do trumny. Gdy zobaczyła zmarłego, zaczęła płakać jeszcze głośniej. Głowa wuja była prawie w strzępach; to, co z niej zostało, w niczym nie przypominało ludzkiej twarzy. Jego jedwabna koszula była cała poplamiona i opryskana kawałkami mózgu, poszarpanej skóry oraz blad różowym płynem, którym zastąpiono krew podczas balsamowania.

Odciągnąłem ciotkę i pchnąłem ją w kierunku zięciów.

- Weźcie ją stąd.

Ciotka Rosa zachowała się właściwie - zemdląła. Obaj mężczyźni zaciągnęli ją z powrotem do ławki, gdzie zajęły się nią jej córki. Przynajmniej teraz była cicho. Zwróciłem się do jednego z przedsiębiorców pogrzebowych:

- Zamknijcie trumnę.

- Nie chce pan, żebyśmy zabrali go i doprowadzili do ładu?

- Nie - odparłem. - Pojedziemy od razu na cmentarz.

- Przecież on wygląda okropnie - zaprotestował mężczyzna.

- Teraz to już bez znaczenia. Jestem pewien, że Bóg rozpozna jego twarz.

Policjant spojrział na mnie i spytał:

- Kim pan jest?
- Jego bratankiem. Moj ojciec był jego bratem.
- Nie znam pana - stwierdził ze zdziwieniem - a sądziłem, że znam wszystkich członków rodziny.
- Mieszkam w Kalifornii i przyjechałem tylko na pogrzeb. - Wyjąłem wizytówkę i wręczyłem mu. - Teraz proszę mi pozwolić wyprowadzić kondukt. Jeśli chce się pan ze mną skontaktować, będę wieczorem w Waldorf Towers.
- Zna pan tego czubka, który odstawił ten numer?
- Nie-odparłem.

Podszedł do nas kardynał. Twarz miał bladą i ściągniętą.

- Obraza boska - powiedział ochryplym głosem.
- Tak, wasza eminencjo - zgodziłem się.
- Jestem niezwykle wzburzony - ciągnął. - Dotychczas nie zdarzyło się tu nic podobnego.
- Przykro mi, eminencjo - odparłem. - Pokryjemy wszystkie szkody.
- Dziękuję, synu. - Kardynał spojrział na mnie i spytał: -Spotkaliśmy się kiedyś?
- Nie, eminencjo. Mieszkam w Kalifornii.
- I jesteś jego bratankiem.
- To prawda. Nie zostałem jednak ochrzczony. Moja matka była Żydówką.
- Ale twój ojciec katolikiem - odparł. - Nie jest za późno na powrót do wiary.
- Dziękuję, eminencjo, ale nie mam do czego wracać; nigdy nie byłem katolikiem.

Kardynał spojrział na mnie zdziwiony.

- Jesteś wyznania mojżeszowego? Uśmiechnąłem się.
- Nie. Jestem ateistą.

Kardynał pokręcił ze smutkiem głową.

- Żał mi ciebie. - Przerwał na moment, a potem ręką przywołał młodego księdza. - To ojciec Brannigan. Będzie ci towarzyszył na cmentarz.

Dwa samochody z kwiatami i pięć limuzyn podążało za karawanem Drugą Aleją, tunelem Midtown na Long Island i przez bramę cmentarza First Calvary. Rodzinne mauzoleum połyskiwało jasno w świetle południowego słońca. Lśniły białe marmurowe kolumny, drzwi z żelazną kratą i witraże w oknach. Nad nimi widniało wyryte w białym włoskim marmurze nazwisko rodowe: Di Stefano. Kiedy kondukt zatrzymał się na wąskim podjeździe, drzwi były już otwarte.

Wysiedliśmy z samochodów i czekaliśmy, aż pracownicy cmentarza przeniosą trumnę na czterokołowy wózek i podjadą pod mauzoleum. Wyładowano kwiaty i poniesiono je w ślad za trumną. Ojciec Brannigan prowadził ciotkę Rosę z rodziną, która wysiadła z pierwszego samochodu konduktu. Ja siedziałem w drugim, razem z ochroniarzami wuja; poszliśmy za ciotką Rosą i jej bliskimi. Z trzech ostatnich samochodów wysiadł prezes, jego ochroniarze, a potem adwokaci i księgowi wuja. Za nimi jeszcze sześciu starszych Włochów - prawdopodobnie przyjaciół wuja. Kiedy znaleźliśmy się w chłodnym wnętrzu mauzoleum, kwiaty były ułożone już w wysoki stos przy otwartych drzwiach, a trumna stała na wózku pośrodku pomieszczenia. Z niewielkiego ołtarza umęczonym wzrokiem spoglądał na nią Chrystus.

Ksiądz szybko odprawił modły i wycofał się. Jeden z przedsiębiorców pogrzebowych wręczył każdemu z nas po jednej róży. Poczekaliśmy, aż ciotka Rosa położy swoją na trumnie, a potem zrobiliśmy to samo.

Czterej mężczyźni bezszelestnie unieśli trumnę i wsunęli ją do wnęki w ścianie. Chwilę później dwaj z nich zasłonili wnękę płytą z brązu. W promieniach przenikającego przez witraże światła ujrzałem wyryty na niej napis: Rocco Di Stefano. Urodzony 1908. Zmarł... Pokój Jego Duszy.

Ciotka Rosa znów zaczęła płakać i zięciowie wyprowadzili ją na zewnątrz. Rozejrzałem się po ścianach mauzoleum. Widniały na nich imiona krewnych, których nigdy nie znałem. Nie było tu jednak imienia mojego ojca ani mojej matki. Pochowano ich na międzywyznaniowym cmen-

tarzu na północ od Nowego Jorku, nad brzegiem rzeki Hudson.

Opuściłem mauzoleum ostatni. Patrzyłem przez chwilę, jak jeden z pracowników cmentarza zamyka drzwi masywnym, mosiężnym kluczem. Spojrzał na mnie. Zrozumiałem. Wyjąłem studolarowy banknot i wcisnąłem mu do ręki. Z uznaniem dotknął czapki. Potem ruszyłem alejką do wyjścia.

Karawan i samochody, którymi przywieziono kwiaty, odjechały już. Podeszedłem do ciotki Rosy i pocałowałem ją w policzek.

- Zadzwoń do ciebie jutro.

Skinęła głową, oczy miała wciąż pełne łez. Uścisnąłem dłonie jej zięciom, ucałowałem kuzynów w policzki i poczekałem, aż limuzyna się oddali.

Wróciłem do samochodu, w którym nadal czekali ochroniarze. Jeden z nich otworzył mi z szacunkiem drzwi. Zza pleców dobiegł mnie cichy głos prezesa:

- Zabiorę pana do miasta. Spojrzałem na niego pytająco.

- Mamy do omówienia wiele spraw - dodał.

Skinąłem głową i dałem ochroniarzom znak, aby odjechali. Poszedłem za nim do jego limuzyny: długiej, czarnej, z przyciemnionymi szybami w części dla pasażerów. Wsiadłem do środka. Ubrany w ciemny garnitur mężczyzna zamknął za mną drzwi i zajął miejsce obok kierowcy. Samochód ruszył powoli.

Prezes nacisnął guzik i szyba między częścią dla pasażerów a przednim siedzeniem zamknęła się.

- Teraz możemy rozmawiać - powiedział. - Wszystko tu jest dźwiękoszczelne. Ci z przodu nie będą nic słyszeć.

Spojrzałem na niego w milczeniu. Uśmiechnął się, mrużąc niebieskie oczy.

- Jeśli mogę zwracać się do ciebie Jed, to mów mi John - zaproponował, wyciągając dłoń.

Ująłem ją. Była twarda i silna.

- Dobrze, John. O czym chcesz rozmawiać?

- Po pierwsze, chcę ci powiedzieć, że darzyłem twego

wuja wielkim szacunkiem. Był człowiekiem honoru i zawsze dotrzymywał danego słowa.

- Dziękuję - odparłem.

- Poza tym przykro mi z powodu tego idiotycznego zajścia w kościele. Salvatore Anselmo to stary człowiek i ma trochę nie po kolei w głowie. Przez trzydzieści lat rozgłaszał, że zabije twojego wuja, lecz nigdy nie miał na to dość odwagi. Teraz było za późno. Nie mógł zabić nieboszczyka.

- Jakaś wendeta? - spytałem.

- Zdarzyło się to tak dawno, że nie sądzę, aby ktokolwiek jeszcze pamiętał lub wiedział.

- Co się z nim teraz stanie?

- Nic - odparł zdawkowo. - Prawdopodobnie zamkną go w szpitalu psychiatrycznym Bellevue. Ponieważ nikomu jednak nie będzie się chciało wnosić oskarżenia, to odeślą go do domu; do rodziny.

- Biedny sukinsyn.

John pochylił się i otworzył barek umieszczony za przednim siedzeniem.

- Mam dobrą szkocką. Napijesz się ze mną? Skinąłem głową.

- Z wodą i z lodem - poprosiłem.

John wyciągnął butelkę Glenlivet i rozlał do dwóch szklanek. Wrzucił kostki lodu i dodał wody z miniaturowych butelek Evian stojących rzędem w głębi barku. Podnieśliśmy szklanki.

- Na zdrowie - wzniósł toast.

Skinąłem głową i pociągnąłem niewielki łyk. Zdałem sobie sprawę, że tego mi brakowało.

- Dziękuję - powiedziałem. John uśmiechnął się.

- Teraz przejdźmy do rzeczy. Jutro dowiesz się od prawników wuja, że zostałeś wyznaczony na wykonawcę jego testamentu. Prócz kilku osobistych zapisów na rzecz twojej ciotki i jej rodziny, wuj ulokował cały majątek w fundacji przeznaczonej na cele charytatywne. To poważna odpowiedzialność. Około dwustu milionów dolarów.

Milczałem. Wiedziałem, że wuj Rocco miał mnóstwo pieniędzy, ale nie sądziłem, że aż tyle.

- Twój wuj nie zapisał ci żadnych pieniędzy, ponieważ uważał, że jesteś wystarczająco bogaty, a jako zarządzający majątkiem będziesz zarabiać od pięciu do dziesięciu procent kwot rozdzielanych przez fundację; zależy, co postanowi sąd.

- Nie chcę tych pieniędzy - odparłem.

- Twój wuj wiedział, że tak powiesz, ale to już reguluje prawo.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Dobrze - powiedziałem - masz jakieś sugestie?

- Żadnych, jeśli chodzi o testament - odparł. - Są jednak inne aspekty. Piętnaście lat temu, kiedy twój wuj wycofał się i przeniósł do Atlantic City, zawarł z rodzinami de Longo i Anastasia umowę, na mocy której Atlantic City stało się jego terytorium. Było to na długo przed tym, zanim ktokolwiek pomyślał tam o hazardzie. Od tamtej pory wszystkie związki i przedsiębiorstwa znajdowały się pod kontrolą twojego wuja. Teraz tamci chcieliby przejąć część jego interesów.

Spojrzałem na Johna i spytałem:

- To dużo pieniędzy? Skinął głową.

- Ile?

- Piętnaście, dwadzieścia milionów rocznie - odparł. Nie odezwałem się. John przyglądał mi się z uwagą.

- Nie jesteś zainteresowany?

- Nie. To nie moja branża. Sądzę jednak, że ci ludzie powinni wnieść jakiś udział w fundację wuja Rocco, choćby tylko przez szacunek dla jego pamięci. W końcu, jak rozumiem, wuj Rocco rozkręcił interes, kiedy Atlantic City było zapadłą dziurą, i pomógł mu nabrać obecnego znaczenia.

John uśmiechnął się.

- Nie jesteś głupi. Gdybyś chciał utrzymać jego organizację, w ciągu roku byłbyś martwy.

- Prawdopodobnie - odparłem. - Na szczęście prowadzę własną działalność i nie interesują mnie sprawy wuja Rocco.

Uważam jednak, że tamci powinni koniecznie przekazać coś jego fundacji.

- He? - spytał John.

- Dwadzieścia milionów byłoby w sam raz.

- Dziesięć milionów - targował się.

- Piętnaście i masz moją zgodę.

- Umowa stoi. - John wyciągnął rękę, a ja uściśnąłem ją.

- Pieniądze powinny zostać ulokowane w fundacji, zanim ruszy sprawa spadkowa.

- Oczywiście - odparł. - Jutro dokonamy przelewu. Ponownie napełnił szklanki.

- Jesteś bardzo podobny do wuja. Jak to się stało, że nigdy nie włączyłeś się w interesy rodziny?

- Mojemu ojcu to się nie podobało - odparłem. - Poza tym w młodości miałem tego próbkę i już wówczas zdałem sobie sprawę, że mnie to nie bawi.

- Mogłeś być na moim miejscu. Pokręciłem głową.

- W takim razie któryś z nas musiałby być martwy. - Zamilkłem na chwilę, a potem pokiwałem głową. - Byłem wówczas bardzo młody-westchnąłem, przypominając sobie wędrówkę w górę Amazonki w towarzystwie mojego kuzyna Angelo wiele lat temu.

Część pierwsza
ANGELO I JA

Rozdział I

Pot łał się ze mnie strumieniami, chociaż o tej porze -późnym popołudniem - powinno być już chłodniej. Wytarłem się ręcznikiem zamoczonym w ciepłej wodzie Amazonki. Nie pomogło. Nic nie pomagało. Nie tylko z powodu gorąca - wszystkiemu winna była wilgotność. Nieziemska wilgotność. Parno jak w jakiejś piekielnej łaźni. I upalnie. Położyłem się na ławce na rufie.

Przeklinałem sam siebie. Co mnie podkusiło, żeby posłuchać mojego kuzyna Angelo? To było dwa miesiące temu, dokładnie w czerwcu. Siedzieliśmy z Angelem przy stoliku na basenie w The Four Seasons w Nowym Jorku.

Dopiero co ukończyłem Wharton School.

- Nie musisz od razu iść do roboty - odezwał się Angelo. - Potrzebujesz odpoczynku, przygody.

- Pieprzysz bzdury - odparłem. - Dostałem oferty z dwóch najlepszych biur maklerskich na Wall Street. Chcą mnie od zaraz.

- Co ci proponują? - spytał, kończąc jedną wódkę z lodem i zamawiając następną.

- Czterdzieści kawałków rocznie na początek.

- Marne grosze - ocenił. - Tyle możesz mieć w każdej chwili - dodał i spojrzał na mnie. - Potrzebujesz forsy?

- Nie - odparłem.

Wiedział równie dobrze jak ja, że ojciec zostawił mi ponad milion dolarów.

- To po co ten pośpiech? - Angelo spojrzał na dziewczynę po drugiej stronie basenu. - Niezła laska - stwierdził z uznaniem.

Przyjrzałem się jej. Nie wiem, co w niej takiego zobaczył. Była całkiem zwyczajna. Długie, kasztanowe włosy, duże, ciemne okulary, sflaczałe cycki. Nie odezwałem się.

Angelo atakował dalej:

- W przyszłym miesiącu wybieram się do Ameryki Południowej. Chciałbym, żebyś ze mną pojechał.
 - Po jaką cholere?
 - Szmaragdy. Na rynku są teraz więcej warte niż diamenty. Znam miejsce, gdzie można je kupić za grosze.
 - Nielegalnie? - spytałem.
 - Kurwa, a jak myślisz? Nie martw się, wszystko zorganizowałem. Transport, cło. Damy radę.
 - Nie bawię się w takie rzeczy.
 - Mielibyśmy dwa miliony do podziału - nalegał. - Żadnych problemów. Rodzina mnie kryje. Czysta sprawa od początku do końca.
 - Mój ojciec oszedł od tego wiele lat temu. Nie sądzę, abym powinien w to wchodzić.
 - W nic byś nie wchodził - zaprotestował. - Będziesz mi tylko towarzyszył. Należysz do rodziny. Jeśli wezmę kogoś innego, może wykręcić mi jakiś numer. - Spojrzał znów na tamtą dziewczynę. - Myślisz, że wypadaloby zamówić dla niej butelkę Dom Perignon?
 - Daj sobie spokój. Znam ten typ, oziębła dupa.
 - To właśnie lubię. Rozgrzać taką i rozkręcić. - Roześmiał się, a potem spoważniał i spytał: - Jedziesz ze mną?
- Wahałem się.
- Daj mi się zastanowić - odparłem, choć wiedziałem już, że pojedę. W Wharton nic się nie działo. Przez kilka lat ślęczałem nad książkami. Zesrać się można było z nudów. Nie to co w Wietnamie.
- Ojciec wściekł się, kiedy wstąpiłem do wojska. Miałem dziewiętnaście lat i właśnie skończyłem drugi rok college'u. Tłumaczyłem mu, że i tak by mnie wzięli, a dzięki temu mogę przynajmniej wybrać rodzaj służby. Tak myślałem, ale armia była odmiennego zdania. Nie potrzebowali służby informacyjnej. Mieli dość ludzi wciskających kit prasie i tele-

wizji. Potrzebowali frajerów i jednym z nich byłem ja. Frajer numer jeden. Palant.

Odbyłem raptem cztery miesiące szkolenia. Skakałem z samolotów i helikopterów, ryłem okopy, dopóki nie byłem pewien, że Południowa Karolina osuwa się do morza. Potem do Sajgonu. Trzy kurwy i pięć milionów jednostek penicyliny. Trzydzieści kilo uzbrojenia: karabin automatyczny, pistolet automatyczny colt kaliber 11 mm, rozłożona bazooka i sześć ręcznych granatów.

Wyskoczyłem w środku nocy, cztery godziny drogi od Sajgonu. Noc była spokojna i cicha. Żadnego odgłosu, prócz naszych stękań, gdy uderzaliśmy o ziemię. Podniosłem się i zacząłem rozglądać za porucznikiem. Ślad po nim zaginał. Idący przede mną chłopaczek odwrócił się do mnie: - Spoko. Nikogo tu nie ma - a potem stanął na minie lądowej i jego strzepy wylądowały mi na twarzy. Ja, na szczęście, zostałem tylko niegroźnie ranny.

Tak skończyła się moja kariera wojskowa. Cztery miesiące później, po opuszczeniu szpitala, w którym uporali się z moją twarzą, zostawiając jedynie dwie małe blizny po obu stronach podbródka, pojawiłem się w biurze mojego ojca. Ojciec siedział za wielkim biurkiem. Był niskim mężczyzną i uwielbiał swoje wielkie biurko. Podniósł wzrok i stwierdził obojętnie:

- Jesteś bohaterem.

- Nie jestem bohaterem, jestem palantem.

- Przynajmniej sam to przyznajesz. To już krok we właściwym kierunku. - Wstał zza biurka i spytał: - Co zamierzasz teraz robić?

- Nie zastanawiałem się nad tym - odparłem.

- Zrobiłeś, co do ciebie należało: poszedłeś do wojska. - Spojrzał na mnie. - Teraz kolej na mnie.

Milczałem.

- Kiedy umrę, będziesz bogaty - ciągnął. - Jakiś milion, może więcej. Chcę, żebyś poszedł do Wharton School.

- Nie mam pieniędzy, żeby się tam dostać.

- Już cię zapisałem. Zaczynasz we wrześniu. Sądzę, że to

odpowiednie miejsce, żeby się nauczyć właściwie postępować z pieniędzmi.

- Nie ma pośpiechu, tato. Będziesz żył długie lata.
- Nigdy nie wiadomo. Mnie też się wydawało, że twoja matka będzie żyła wiecznie. Minęło sześć lat od śmierci mojej matki, lecz ojciec wciąż był załamany.
- To nie twoja wina, że miała raka - odparłem. - Nie bądź takim Włochem.
- Nie jestem Włochem. Jestem Sycylijczykiem - zaprotestował ojciec.
- Dla mnie to jedno i to samo.
- Nie mów tego swojemu wujowi. Spojrzałem na ojca i spytałem:
- Co słychać u Ojca Chrzestnego?
- Ma się dobrze - odparł. - Fedsi dalej nie mogą go przymknąć.
- Ma szczęście - stwierdziłem.
- Tak - przyznał niechętnie.

Ojciec w młodości zerwał z rodziną. Nie odpowiadał mu sposób, w jaki żyli. Zajął się wynajmem samochodów i w krótkim czasie miał już trzydzieści przedstawicielstw na lotniskach w całym kraju. To nie był Hertz ani Avis, ale nieźle prosperował. Dwadzieścia milionów rocznie brutto. Wuj nie odzywał się przez całe lata aż do śmierci mojej matki. Przesłał wówczas mnóstwo kwiatów, cały pokój. Ojciec wyrzucił wszystkie. Moja matka była żydówką, a żydzi nie uznają kwiatów na pogrzebach.

- Nie wiesz, co porabia Angelo? - spytałem. Angelo był moim ciotecznym bratem, starszym ode mnie zaledwie o kilka lat.
 - Słyszałem, że pracuje dla ojca.
 - Jakżeby inaczej - odparłem. - Grzeczni włoscy chłopcy pracują w biznesie swoich tatusiów. - Spojrzałem na niego.
 - Spodziewasz się, że też tak zrobię?
- Ojciec pokręcił głową.
- Nie, sprzedaję firmę.
 - Dlaczego? - spytałem zaskoczony.

- To już za długo się ciągnie. Nabrałem ochoty na podróż. W ogóle nie widziałem świata. Chciałbym zacząć od miejsca, gdzie się urodziłem, od Sycylii.

- Jedziesz z jakąś dziewczyną? - spytałem. Poczzerwieniał.

- Nie potrzebuję towarzystwa.

- Takie byłoby dobre.

- Jestem za stary. Nie wiedziałbym, co z nią robić.

- Znajdź sobie odpowiednią, to cię nauczy - zaproponowałem.

- Czy to tak się rozmawia z ojcem? - oburzył się.

Stało się. Wyjechałem do Wharton, a ojciec sprzedał interes i pojechał na Sycylię. Coś jednak poszło nie tak. Jego samochód wypadł z zakrętu szosy, wijącej się przez górę Trapani do Marsali.

Tuż przed wyjazdem na Sycylię, skąd miałem przywieźć ciało ojca do domu, zadzwonił do mnie wuj.

- Wyślę z tobą dwóch ochroniarzy.

- Po co? - spytałem. - Nic mi przecież nie grozi.

- Skąd możesz wiedzieć? - odparł znużonym głosem. - Kochałem twojego ojca. Może nie zgadzaliśmy się, ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze są więzy krwi. Poza tym słyszałem, że ktoś grzebał przy hamulcach jego samochodu. Milczałem przez moment.

- Dlaczego? Wszyscy wiedzą, że był uczciwy.

- Na Sycylii to nic nie znaczy. Tam istotne jest tylko to, że należał do rodziny - mojej rodziny. Nie chcę, aby dobrali się do ciebie. Będziesz miał dwóch ochroniarzy.

- Nie ma mowy - odparłem. - Potrafię dać sobie radę. Nauczyłem się tego w wojsku.

- Nauczyłeś się, jak dać sobie odstrzelić tyłek.

- To było co innego.

- W porządku; pozwolisz chociaż, żeby Angelo z tobą pojechał?

- Jeśli miałyby być gorąco, to z nim będzie jeszcze gorzej. Jest twoim synem.

- Ale on zna zasady gry; oprócz tego mówi po sycylijsku i chce z tobą jechać. On też kochał twojego ojca.

- Dobrze - zgodziłem się, a potem spytałem dla pewności: - Angelo nie załatwia tam żadnych interesów?

Mój wuj skłamał.

- Oczywiście, że nie.

Przechytrzył mnie. Nie potrzebowałem żadnej ochrony, skoro jednak Angela nie odstępowało ani na krok czterech facetów w wypchanych pod pachami marynarkach, a cały czas byliśmy razem, to obaj mieliśmy obstawę. Na Sycylii obyło się bez żadnych kłopotów. Skromne nabożeństwo żałobne w kościele w Marsali przebiegło w spokoju, niewiele osób w nim uczestniczyło. Ja nie znałem nikogo, mimo że byliśmy krewnymi. Przyjąłem kondolencje, karawan odwiózł trumnę do Palermo, skąd przetransportowano ją samolotem do Nowego Jorku. Ojciec pragnął, aby pochować go obok matki. Tak też się stało.

Tydzień później stałem na cmentarzu, patrząc, jak trumna znika pod ziemią. W milczeniu rzuciłem na rtią garść ziemi i odszedłem. Wuj i Angelo poszli za mną.

- Twój ojciec był dobrym człowiekiem - odezwał się wuj ze smutkiem.

- Tak.

- Co zamierzasz teraz robić?

- Skończyć szkołę. W czerwcu dostanę dyplom z zarządzania.

- A potem?

- Poszukam pracy.

Wuj zamilkł, a Angelo spojrział na mnie i powiedział:

- Jesteś palantem. Prowadzimy wiele interesów, mógłbyś znaleźć coś dla siebie.

- Legalnych interesów-dodał wuj.

- Ojciec chciał, żebym szedł własną drogą - odparłem. -W każdym razie dziękuję za propozycję.

- Wykapany ojciec-mruknął wuj. Roześmiałem się.

- Zgadza się. A Angelo podobny jest do ciebie. Jaki ojciec, taki syn.
Wuj objął mnie.
- Należysz do mojej rodziny. Kocham cię.
- Ja też cię kocham - odparłem i patrzyłem, jak odchodzi do samochodu, a potem zwróciłem się do Angela:
- Jakie masz plany?
- Mam spotkanie w mieście - odparł. Ruchem głowy wskazał moją limuzynę. - Zabiorę się z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Dobra - zgodziłem się. Siedzieliśmy w milczeniu, a wóz sunął z powrotem na Manhattan. Odezwałem się dopiero, gdy wjechaliśmy w tunel Midtown. - Chciałem ci podziękować, że pojechałeś ze mną na Sycylię. Nie uświadamiałem sobie tego wówczas, ale potrzebowałem twego wsparcia. Dziękuję.
- Nie ma sprawy - odparł. - Należysz do rodziny. Skinąłem głową bez słowa.
- Ojciec mówił serio - ciągnął. - Bardzo pragnąłby, żebyś był z nami.
- Doceniam to i jestem wdzięczny, jednak nie taką drogą zamierzam iść.
- W porządku. - Angelo uśmiechnął się i zmienił temat. -Zawsze nurtowało mnie jedno pytanie, dlaczego twój ojciec zmienił nazwisko z di Stefano na Stevens?
- Żeby różniło się od nazwiska rodowego.
- Ale Stevens to irlandzkie nazwisko; nie rozumiem.
- Ojciec mi to wyjaśnił. Włosi, jeśli zmieniają nazwisko, to na irlandzkie.
- Twoje imię nie jest irlandzkie.
- To był pomysł ojca. Chciał, żebym był jak najbardziej amerykański - roześmiałem się.
Wyjechaliśmy z tunelu. Angelo spojrzął przez okno.
- Wyrzuć mnie na rogu Park i Pięćdziesiątej.
- Dobra.
- Nie wybrałbyś się na kolację wieczorem? Znam dwie niezłe cizie.

- Dzięki, ale muszę się jeszcze spakować. Jutro jadę do szkoły.
- Kończysz w czerwcu? - spytał.
- Tak.
- Skontaktuję się z tobą - odparł.

Tak też zrobił. Zanim się spostrzegłem, siedziałem zlany potem na rufie starej, sfatygowanej łodzi płynącej Amazonką, podczas gdy w kabinie pod pokładem Angelo posuwał piękną i lekko stukniętą peruwiańską dziewczynę, którą zatrudnił w Limie jako tłumaczkę.

Spojrzałem na słońce prześwitujące przez gałęzie drzew. Biły ze mnie siódme poty. Sięgnąłem po papierosa. Angelo musiał być lepszy ode mnie, skoro potrafił pieprzyć się w taki upał.

Rozdział II

Z ławki na rufie łodzi przyglądałem się małpie, która sprawnie przedzierała się przez porastającą brzeg gęstwinę, przeskakując z gracją z liany na lianę. Nagle zatrzymała się i przysiadła, spoglądając na mnie. Poznała od razu, że jestem nowicjuszem. Uciekła, kiedy z kabiny wyszedł Angelo. Miał na sobie tylko wzorzyste kąpielówki, a włosy na jego piersiach, ramionach i plecach lepiły się od potu. Wziął butelkę piwa, pociągnął łyk, po czym z obrzydzeniem wyrzucił ją za burtę.

- Paskudztwo.

- Nie ma lodu - odparłem, podnosząc wzrok.

- Niech to szlag - jęknął, siadając ciężko obok mnie. - Ta dziwka zajeżdża mnie na śmierć - stwierdził z niedowierzaniem.

Uśmiechnąłem się i sięgnąłem po drugie piwo.

- Dlaczego się śmiejesz? - spytał ze złością.

- Nie śmieję się.

- Kłamiesz.

- Jest przyzwyczajona do upału, a ty nie - odparłem.

- Masz papierosa?

Podąłem mu paczkę i patrzyłem, jak sobie przypala.

- Kiedy się stąd zabieramy? - spytałem.

- Rano. O dziesiątej powinniśmy dostać ładunek i odpływamy.

- Myślałem, że jedziemy po szmaragdy, a tymczasem siedzimy na dwóch tonach liści koki - powiedziałem.

- Kolumbijczycy nie chcą naszych pieniędzy, chcą kokę. Damy im te liście, a oni dadzą nam szmaragdy.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Pieprzysz bzdury. Skoro już mnie w to wciągnąłeś, dlaczego nie powiesz mi prawdy?

- Nie spodobałaby ci się - odparł Angelo nie odwracając wzroku.

- Spróbuj.

- To różnica między dwoma milionami a dwudziestoma.

- Co masz na myśli? - spytałem. Nie odpowiedział.

- W ogóle nie było żadnych szmaragdów - stwierdziłem z wyrzutem.

Angelo pokręcił głową.

- Należysz do rodziny - odparł. - Tobie jednemu mogłem zaufać.

- Czy twój ojciec wiedział o tym?

- Nie chciałem, żebyś jechał. To był mój pomysł. - Angelo rzucił peta za burtę. Papieros zasyczał, wpadając do wody.

-Poza tym, jesteś mi coś winien za Sycylię.

- Nic się wtedy nie wydarzyło.

- Bo ja tam byłem. Miałem czterech ludzi, którzy zapewniali nam bezpieczeństwo. Gdybyś był sam, załatwiliby cię. Milczałem. Nie wiedziałem, czy mu wierzyć. Może nigdy się tego nie dowiem.

- No to co robimy? - spytałem.

- Płyniemy do Iquitos. Stamtąd DC 3 zabierze nas do Panamy, a potem lecimy Cessną do Miami, dokąd dostarczymy towar. Mamy zarezerwowany lot Easternem do Nowego Jorku.

Pokręciłem głową.

- Ależ ze mnie palant.

- Nikt się nie dowie - odparł Angelo. - Wszystko zostanie w rodzinie - dodał z uśmiechem.

- Znasz ludzi, z którymi mamy się spotkać? - spytałem.

- Osobiście nie.

- Jak ich znajdziesz?

- To oni nas znajdą. Wszystko jest załatwione. Cło opłacone aż do Miami.

- Odpadam - odparłem, kręcąc głową. - Nie bawię się w takie rzeczy.
- Nie możesz się teraz wycofać. Wszystkie papiery są na twoje nazwisko. Musiałem tak zrobić. Moje figuruje na zbyt wielu listach.
- Nie podoba mi się to. Tyle rzeczy mogło pójść nie po naszej myśli. Mogli nas porwać, ktoś mógł nas sypanąć. Niepokoi mnie to.
- Angelo spojrział na mnie, a potem zszedł do kabiny. Po chwili wrócił i wcisnął mi do ręki pistolet automatyczny.
- To na wszelki wypadek. Wiesz, jak się z nim obchodzić?
- Miałem taki w Wietnamie.
- Jeśli tylko ktoś będzie wyglądał podejrzanie, sprzątnij go.
- Nie - powiedziałem i oddałem mu pistolet.
- Dobra - odparł i położył broń na ławce obok mnie. - Idę się wykapać - oświadczył i wskoczył do wody.
- Kiedy zanurkowałem, z kabiny wyszła Alma. Bawełniana koszula Angela sięgała jej do pól uda. Spojrzała na pistolet, a potem na mnie.
- Pó co on to przyniósł? - W jej głosie słychać było lekki hiszpański akcent.
- Chciał, żebym go wziął.
- Była ładną dziewczyną, ale twarz miała zmęczoną.
- Spodziewa się jakichś kłopotów?
- Nie - odparłem i spojrzałem na kąpiącego się Angela.
- Ijak?-zawołałem.
- Świetnie - odkrzyknął. - Wskakuj.
- Nie, dzięki.
- Chodź, mała - zawołał Alnę. - Woda jest w sam raz. Zawahała się, spoglądając na mnie, a potem zdjęła koszulę i wyprężyła się uwodzicielsko.
- Podobam ci się? - spytała kuszącym głosem. Roześmiałem się.
- Dziewka z ciebie.
- A ty chyba pedał.
- Nie jesteś moją dziewczyną - odparłem.

- Ale ty nawet nie spojrzysz.

- Mam swoje zasady. - Sięgnąłem po kolejnego papierosa.

Wskoczyła do wody. Zniknęła pod powierzchnią i wypłynęła tuż przed Angelem, jakieś dwadzieścia metrów od łodzi. Chwyciła go i wepchnęła pod wodę.

- *Loco* - odezwał się za moimi plecami kapitan, potężny Peruwiańczyk.

Odwróciłem się.

- Niech pan powie swoim przyjaciołom, żeby wracali na łódź - powiedział kulawą angielszczyzną. - Nie jest bezpieczne. - Coś w jego głosie sprawiło, że zaniepokoiłem się.

- Angelo! - krzyknąłem. - *Capitano* chce, żebyście wracali na łódź.

- Po jaką cholere?

- Mówi, że to niebezpieczne.

- Gówno prawda - roześmiał się. - Woda jest tak spokojna, że... - Odwrócił się nagle, szukając wzrokiem dziewczyny. - Ty suko! Przestań mnie łapać za jaja!

- Jestem tutaj - zawołała z odległości kilku metrów od niego.

- Chryste! - krzyknął Angelo, a potem wrzasnął z bólu. - Psiakrew, co się dzieje? - Zaczął się szamotać, próbując płynąć z powrotem do łodzi.

- Piranie! - Kapitan złapał bosak i wyciągnął w ich kierunku.

Alma również płynęła w naszą stronę.

- Gonia mnie! - krzyknęła. Chwyciła bosak, a kapitan przyciągnął ją do łodzi i wciągnął na pokład. Jej nogi pokrywały drobne, krwawiące rany.

Kapitan zostawił leżącą Almę i próbował dosięgnąć bosakiem Angela, który wciąż szamotał się i krzyczał, ale płynął, choć coraz wolniej. Wyrwałem bosak kapitanowi i sam wyciągnąłem go w kierunku Angela.

- Łap bosak, Angelo! - zawołałem.

Wyjając z bólu, dosięgnąłem bosaka i chwycił go. Przyciągnęliśmy go do burty; kapitan wziął go pod pachy i wtaszczył na pokład.

Widziałem różne potworności w Wietnamie, ale nigdy czegoś takiego. Prawa noga Angela była prawie cała zjedzona, a strzępy ciała lewej zwisały nad szkieletem stopy. Angelo utkwiał we mnie zamglony z bólu i przerażenia wzrok, a potem spojrzał na swoje ciało. Nie był w stanie nic powiedzieć, wydawał z siebie tylko jęczące, wyjące dźwięki. Jego pachwiny zamieniły się w miazgę żywego mięsa i krwi, członek i jądra zniknęły. Znow spojrzał na mnie i próbował coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie ani słowa.

- Umrze - powiedział obojętnie kapitan. - Widziałem już coś takiego. To potrwa godzinę, może dwie, ale i tak umrze.

- Czy nic nie da się zrobić? Kapitan pokręcił głową.

- Dobijcie go - poradził z kamiennym wyrazem twarzy. - Nie dajcie mu skonać w męczarniach.

Spojrzałem na Angela. Słyszał, co powiedział przed chwilą kapitan. Udało mu się wyszeptać jedno słowo:

- Rodzina.

Wiedziałem, co ma na myśli. Sięgnąłem za siebie i podniosłem z ławki pistolet. Trzymając go wciąż za plecami, odbezpieczyłem go. Pocałowałem Angela w czoło.

- Rodzina - powtórzyłem, a potem zasłoniłem mu ręką oczy i pociągnąłem za spust.

Wstałem powoli. Angelo nie żył. Umarła też część mnie samego. Odrodziła się jednak inna część. Rodzina.

- Co z nim zrobimy? - spytał kapitan.

Dopiero teraz zauważyłem, że obok stoi jeszcze dwóch marynarzy.

- Nie ma innej rady - odparłem wskazując głową w stronę burty.

- Zegarek. - Kapitan zauważył zegarek marki Rolex na ręce Angela.

- Daj mi go. - Wiedziałem, że wuj zechce go mieć. Odwróciłem się do leżącej na pokładzie dziewczyny.

Wytrzeszczała oczy z przerażenia. Usłyszeliśmy plusk wody - zwłoki Angela wpadły do rzeki. Oczekałem chwilę, a potem spytałem Almę:

- Jak się czujesz? Była przestraszona.

- Chcesz mnie zabić?

Uświadomiłem sobie, że ciągle trzymam w ręku pistolet. Zabezpieczyłem go i wetknąłem za pasek.

- Nie - odparłem i zwróciłem się do kapitana: - Co możemy dla niej zrobić?

Kapitan przyklęknął przy Almie i odparł:

- Nie ma wiele ran. Piranie były zbyt zajęte pańskim kuzynem. Obłożymy ją mokrymi liśćmi koki, uśmierzą ból i wyleczą ją.

- Zanieś dziewczynę do kabiny i zajmij się nią. Potem wróć do mnie.

- *Si, senor.*

Kapitan wziął Almę na ręce i zszedł pod pokład, a za nim jeden z marynarzy, niosąc wiązki liści koki. Usiadłem z powrotem na ławce na rufie.

Kapitan wrócił niebawem.

- Mój człowiek zajmuje się nią. Co mogę dla pana zrobić? Podniosłem wzrok i spytałem:

- Masz może butelkę whisky?

- Mam rum.

- Przynieś. Muszę się napić.

Rozdział III

Pod pokładem mieściła się tylko jedna duża kabina. Przez środek pomieszczenia przebiegała zasłona, oddzielająca moją kaję od większej, którą zajmował Angelo z Alną. Chociaż wypiliśmy pół butelki rumu, wciąż byłem trzeźwy jak świnia. Koją Angela nie była teraz zasłonięta, mogłem więc widzieć leżącą na niej dziewczynę. Miała zamknięte oczy i wyglądało na to, że śpi. Słyszałem jej słaby oddech.

Przeszedłem przez kabinę i stanąłem przy Almie. Przyłożyłem dłoń do jej czoła. Nie miała gorączki. Otworzyła oczy.

- Jak się czujesz? - spytałem.

- Odrętwiała. Zupełnie straciłam czucie w nogach.

- To liście koki. Kapitan powiedział, że naturalna kokaina to świetny środek przeciwbólowy. Masz na szczęście małe rany, za dzień lub dwa będziesz zdrowa.

- Czuję się ociężała.

- Kapitan dał ci trochę naparu z liści koki. To ci przyniesie ulgę.

Skinęła głową. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Przykro mi z powodu twojego kuzyna. Milczałem.

- Lubiłam go - ciągnęła. - Był stuknięty, ale miły.

- To prawda.

- Co teraz zrobisz?

- Pociągnę to dalej - odparłem. - Chyba nie ma innej rady. Spojrzała mi w oczy.

- Nie płaczesz.

- Płacz nic tu nie pomoże. Angelo nie żyje. Koniec, krop-

ka. - Odwróciłem się i poszedłem na swoją koję. - Dlaczego nie spróbujesz zasnąć? Rano poczujesz się lepiej.

- Boję się, że będę miała koszmary.

- Nie bój się. Jestem przy tobie.

Skinęła lekko głową i zamknęła oczy. Po chwili znów usłyszałem jej słaby oddech. Zasnęła. Wyciągnąłem spod koi neseser Angela. Był zamknięty, ale znalazłem klucz w spodniach, które zostawił na krześle.

Neseser wypełniały po brzegi opatrzone banderolami pakiety studolarowych banknotów. Przeliczyłem je szybko.

Sto tysięcy dolarów. Przeczytałem napisaną na maszynie notatkę:

Pucallpa do Iquitos łódź 10 tys.

Iquitos do Medelkh DC 3 20 tys.

Medelhh do Panamy DC 3 20 tys.

Panama do Miami Cessna 35 tys.

Wlepiłem wzrok w pieniądze. Angelo wszystko starannie zaplanował. Nie był taki stuknięty, jakiego udawał.

Wyjąłem dziesięć tysięcy dolarów, zamknąłem neseser i schowałem go pod koję. Otworzyłem opartą o ścianę walizkę Angela. Pod ubraniami znalazłem automat i dziesięć magazynków. Wepchnąłem pistolet i magazynki pod koję obok nesesera, a potem zamknąłem walizkę i postawiłem ją z powrotem pod ścianą.

Położyłem się na koi i splotłem ręce pod głową. Gapiłem się w sufit i dopiero wówczas dotarło do mnie, że Angelo nie żyje. Czy mi się to podobało, czy nie, muszę sfinalizować transakcję. Co gorsza, po wszystkim czekało mnie jeszcze powiedzenie o śmierci Angela jego ojcu. Jako jedyna pamiątka po synu zostanie mu złoty zegarek marki Rolex. To nie będzie łatwe. Angelo był ulubieńcem swego ojca. Zapadłem w drzemkę.

Otworzyłem oczy na dźwięk cichych kroków na pokładzie nad moją głową i przyciszonych głosów dwóch mężczyzn. Chwyciłem pistolet, ześlizgnąłem się bezszelestnie z koi

i wyjrzałem na pokład. Na rufie kapitan rozmawiał z kimś szeptem. Obserwowałem ich w milczeniu. Nieznajomy dał znak ręką i na pokład weszło jeszcze dwóch ludzi. Pochylili się przy ładowni i wyjęli dwie beły koki z zamiarem wyniesienia ich z łodzi. Odbezpieczyłem pistolet i zbliżyłem się do nich.

- Co się dzieje? - spytałem. Nieznajomi zamilkli i spojrzeli na mnie.

- Co się tu dzieje, do cholery? - spytałem kapitana.

- Ten *serior* mówi, że zrywa umowę. Nie dostał od pana kuzyna pieniędzy.

Kapitan wydawał się mocno zdenerwowany.

- Wiem, że towar został zapłacony. Gdyby tak nie było, nie załadowałiby koki na pokład. Powiedz mu to.

Kapitan szybko przetłumaczył, a mężczyzna odpowiedział coś po hiszpańsku.

- Tylko część pieniędzy - wyjaśnił kapitan. - Mieli dostać jeszcze tysiąc dolarów, kiedy dostarczą resztę ładunku.

- Powiedz mu, że dostanie obiecane pieniądze po dostawie.

Nieznajomy zrozumiał. Powiedział coś szybko.

- Mówi, że jest prostym rolnikiem i ciężko pracował, żeby zebrać plony - przetłumaczył kapitan. - Nie chce, żeby go okradziono.

Spojrzałem na kapitana.

- Ile ci zapłacił za te bzdury?

- *Nada, serior*. Nic - odparł pośpiesznie. - Na honor mojej rodziny, mówię prawdę.

Popatrzyłem przez chwilę na niego, a potem na nieznajomego.

- Powiedz temu sukinsynowi, żeby się stąd wynosił albo go zabiję. Niech przyjdzie jutro z resztą koki. Zapłacimy wszystko, co mu się należy.

Kapitan szybko przetłumaczył. Nieznajomy spojrział na mnie i skinął głową. Powiedział coś i jeszcze raz skinął głową.

- Wróci tu rano - powiedział kapitan.

Wskazałem pistoletem na brzeg.

- Wynoście się.

Nieznajomy i jego ludzie wygramolili się z łodzi. Obserwowałem, jak znikają wśród drzew otaczających lagunę.

- Skąd on się dowiedział, że mój kuzyn nie żyje? - spytałem kapitana.

- Obserwują nas. Cały czas nas obserwują.

- Dlaczego pozwoliłeś mu wejść na pokład i zabrać kokę?

- To Indianin. Metys. Bardzo niebezpieczny. Zabiłby mnie, gdybym go nie wpuścił.

- Rozumiem - odparłem. Zastanawiałem się przez chwilę. - W takim razie wróci tu jutro i zabije nas.

Kapitan nie odpowiedział.

- Ale nie uda mu się, jeśli jutro nas tu nie będzie -dodałem.

Kapitan spojrział na mnie zaniepokojony.

- Ukryli się w dżungli i obserwują nas - powiedział. -Usłyszą silnik, jeśli będziemy próbowali odpłynąć.

- To nie włączymy silników. Użyjemy bosaków. Tutaj jest dość płytko, możemy odepchnąć się wystarczająco daleko, żeby zabrał nas prąd rzeki. Włączymy silniki, kiedy będziemy już bezpieczni.

Kapitan popatrzył na mnie z szacunkiem, jakiego wcześniej nie okazywał.

- Zna się pan na tym? - spytał.

- Wiele razy to robiłem, w Wietnamie - skłamałem. Słyszałem tylko o czymś takim. Aż do tej pory nie sądziłem, że to możliwe.

- Si, 'seribr-odparł.-Kiedy ruszamy?

- Damy im jakąś godzinę, żeby zasnęli. Potem popłyniemy.

- A jeśli będą nas ścigać?

- Macie broń? - spytałem.

- Dwa pistolety i dwa karabiny.

- No to ich zabijemy - powiedziałem. - Wynieś broń na pokład i każ swoim ludziom przygotować się do odcumowania.

Kapitan skinął głową i zszedł do sterowni. Wróciłem do kabiny, wyjąłem drugi pistolet i wetknąłem go za pasek obok pierwszego. Pośpiesznie wrzuciłem do kieszeni kilka magazynków.

- Co się dzieje? - rozległ się z drugiej strony kabiny głos Almy.

- Odpływamy-odparłem. Alma usiadła na koi.

- Przecież rano mieliśmy dostać jeszcze dziesięć beli liści koki.

- Nie będziemy czekać. Ten facet był już na pokładzie i chciał zabrać towar. Powiedział, że Angelo mu nie zapłacił.

- To nieprawda. W obecności kapitana dał mu pieniądze. Byłam przy tym.

- Kapitan to widział? Skinęła głową.

- W takim razie on to uknuł. Rozmawiał z tym facetem po indiańsku.

Moje podejrzenia okazały się słuszne. Kapitan ubił już swój interes.

- Ile czasu potrzebujemy, żeby dotrzeć do Iquitos? -spytałem.

- Pięć, sześć dni. Iquitos leży przy ujściu Ukajali do Amazonki.

- W porządku.

- Spodziewasz się jakichś kłopotów?

- Nie wiem.

Alma spojrzała na mnie.

- Może będę mogła pomóc. Mogę użyć broni. Dałem jej jeden z pistoletów Angela.

- Masz. Nie spodziewam się w nocy żadnych kłopotów, ale gdyby coś się stało, krzyknę.

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Jednak coś cię niepokoi.

- Nie Metysi, ale kapitan. Nie ufam mu. Pozwolił im zabrać kokę i nawet nie dał mi znać. - Nagle coś sobie przypomniałem. - Czy nie spotkaliśmy go na bazarze w Tingo Maria?

- Zgadza się - odparła Alma. - Tingo Maria stanowi centrum handlu koką i marihuaną. To kapitan dogadał się z Me-tysami, żeby dostarczyli kokę górską drogą do Pucallpy. Tą samą, którą my przybyliśmy.

- I to również kapitan radził nam popłynąć jakieś dziesięć kilometrów za, port w Pucallpie. - Wszystko zaczynało pasować. - Powiedział, że tak będzie bezpieczniej, nie znajdzie nas policja.

- Tak. - Skinęła głową. - Nie zastanawiałam się nad tym, jak Metysi trafili do nas. Kapitan wszystko zorganizował, zanim opuściliśmy Tingo Maria.

- Dobra.. Zostań tutaj. Czuję, że nie będziemy mieli na razie kłopotów. Jeśli coś zrobi, to dopiero wtedy, gdy będziemy dalej, i pomyśli, że uważam, iż niebezpieczeństwo minęło.

- Musisz mieć na niego oko.

- Jasne. - Sięgnąłem na półkę po torbę Angela. Otworzyłem ją i wyjąłem fiolkę koki. Szybko wciągnąłem trochę do nosa. Poczulem, jak rozjaśnia mi się umysł i wyostrza wzrok. - Teraz mogę nie spać - stwierdziłem.

- Uwalisz się - ostrzegła mnie Alma.

- Będę uważał - odparłem i wyszedłem na pokład. Kapitan i dwaj marynarze czekali na mnie. Kapitan pokazał broń leżącą przed pomostem sternika. Skinąłem głową.

- Teraz zdejmijcie trap. Tylko ostrożnie, żadnych hałasów.

Kapitan dał znak marynarzom. Szybko i bezszelestnie wciągnęli trap na pokład, a potem chwycili bosaki i zaczęli wyprowadzać łódź na główny nurt rzeki, kapitan zaś trzymał ster. Poczulem, jak łajba rusza z prądem. Zaczęliśmy szybko płynąć w dół rzeki.

- Włączyć silnik? - spytał kapitan.

- Jeszcze nie - odpowiedziałem. - Za piętnaście minut.

- Prąd jest silny. Nie wiem, czy dam radę utrzymać kurs.

- Niech twoi ludzie sterują bosakami na rufie. To powinno wystarczyć. - Obejrzałem się w stronę laguny. Nie dostrzegłem na brzegu żadnego ruchu. - Tak trzymaj!

Kapitan podniósł rękę, ster przejął jeden z marynarzy, on sam zaś obszedł pomost i zszedł do maszynowni. Piętnaście minut później usłyszałem warkot silnika i łódź nabrała rozpędu. Patrzyłem na mężczyznę przy sterze. Odwrócił się i spojrzał w moją stronę. Błąd. Kiedy prowadzisz, czy to samochód, czy to łódź, zawsze powinienes patrzeć na drogę przed sobą.

Obróciłem się, robiąc gwałtowny unik. Kapitan stał przy wejściu do włazu, trzymając wycelowany we mnie karabin. Widziałem zaskoczenie na jego twarzy, kiedy przeszła go seria z mojego automatu. Potem rozłożył powoli ręce i stoczył się z rufy do wody.

Przesunąłem lufę na marynarzy i bez słowa wskazałem im ster. Z kabiny wyszła Alma z pistoletem w dłoni.

- Co się stało? - zawołała.

- Straciliśmy kapitana. Spojrzała na mnie osłupiała.

- Spytaj tego marynarza, czy potrafi poprowadzić łódź do Iquitos - powiedziałem jej. - Jeśli tak, dostanie tysiąc dolarów, jeśli nie, dołączy do kapitana.

Alma natychmiast przetłumaczyła, co powiedziałem. Drugi marynarz również podszedł do steru i coś powiedział.

- Mówi, że sami są kapitanami - zwróciła się do mnie. - Zrobiją, co im każemy, ale obaj chcą pieniądze.

- Mogą się podzielić. Poza tym dam im łódź na własność. Wysłuchali Almy, spojrzeli po sobie i skinęli głowami. Po-tem znowu coś powiedzieli.

- Pytają, czy dasz im dokumenty łodzi.

- Dostaną.

Alma znów przetłumaczyła i wysłuchiwała odpowiedzi.

- Chcą, żebyś wiedział, że nie są *bandidos*, tak jak kapitan; są uczciwymi ludźmi i pragną tylko wykonać swoją robotę.

- Świetnie - odparłem i uścisnąłem im ręce. - Załatwione. Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do mnie i powtórzyli:

- Załatwione.

Rozdział IV

Wpatrywałem się z obrzydzeniem w talerz. Ryż z fasolą, polany brązowym sosem pomidorowym i mnóstwem oliwy. Miałem tego dosyć. Cały dzień na okrągło. Mineły cztery noce, odkąd opuściliśmy Pucallpę. Ryż z fasolą. Ryż z żółtawą, tłustą rybą. Ryż z konserwą, w której natychmiast po otwarciu puszkę pojawiały się robaki. Mój żołądek eksplodował gazami albo dostawałem mdłości, z których, na szczęście, nic nie wynikało. Spojrzałem na Almę.

- Jak ty to znosisz?

- Pi więcej piwa - odparła po prostu. - Nie mamy wyboru.

Otworzyłem butelkę piwa i opróżniłem ją duszkiem do połowy.

- Czy w Iquitos są restauracje? - spytałem.

- Iquitos to duże miasto. Spokojnie, jutro tam będziemy.

- Wyrzucić to gówno za burtę - powiedziałem, wskazując na zawartość talerza.

- Masz to zjeść - odparła rozkazująco. - Za mało jesz. Wyglądasz, jakbyś stracił pięć kilo.

- Czuję się dobrze.

- Musisz *być* silny. Nie wiadomo, co jutro się zdarzy. Jak dotąd mieliśmy szczęście, ale wciąż jesteś jak dziecko we mgle. Nie masz pojęcia, co nas tam czeka. Angelo nic ci nie powiedział.

Nabrałem dużą porcję ryżu i połknąłem. Popiłem łykiem piwa. Chociaż było ciepło, to jednak zabijało tłusty posmak w ustach.

- Czy tobie powiedział cokolwiek o Iquitos? - spytałem.
- Tylko tyle, że ma się spotkać z rudobrodym mężczyzną, który będzie na nas czekał w porcie.
- Mówił coś jeszcze? Alma potrząsnęła głową.
- Angelo nie mówił zbyt wiele o swoich interesach. Przytaknąłem. Angelo niewiele mówił. Nawet mnie.
- Czy w Iquitos jest lotnisko?
- Tak. Iquitos jest drugim co do wielkości miastem w Peru, ale wydostać się stamtąd można tylko drogą wodną, Amazonką, albo powietrzną, przez góry. Są za wysokie, żeby przebyć je w inny sposób.
- Jak to się stało, że miasto tak się rozrosło? - spytałem.
- Przed laty był to ważny ośrodek plantacji kauczuku, dopóki nie zaczęto uprawiać kauczukowców w Malezji. Później odkryto tu ropę naftową. Tankowce mogą obecnie docierać Amazonką aż do oceanu.
- Czy to duży port?
- Nigdy tam nie byłam, ale sądzę, że musi być spory, bo zawijają do niego statki oceaniczne z Brazylii. Miałem właśnie nabrać następną porcję ryżu, kiedy usłyszałem, że zgasł silnik. Łódź zaczęła wolno kołysać się na wodzie. Sięgnąłem po karabin i wyszedłem z kabiny na górę, a Alma za mną. Obaj marynarze stali na dziobie i rzucali kotwicę. Podeszedłem do nich i kazałem Almie spytać, co robią. Powiedziała coś szybko po hiszpańsku. Mężczyźni spojrzeli na nas w popłochu i zaczęli mówić jeden przez drugiego. Alma spytała o coś jeszcze. Odpowiedział jej starszy. Wyglądało na to, że coś wyjaśnia. W końcu zwróciła się do mnie:
- Mówią, że trzeba przeczekać noc w tej zatoce. Do Iquitos zostało zaledwie trzydzieści kilometrów i najlepiej byłoby, gdybyśmy dopłynęli tam rano.
- Dlaczego nie teraz? - spytałem.

Odpowiedział Pablo, starszy marynarz. Alma powtórzyła mi:

- Rybacy wypływają teraz na potów. Wszędzie są ich sieci i moglibyśmy się w nie zaplątać. Wielu z nich to Metysi i złodzieje. Używają silnych reflektorów, którymi oświetlają rzekę, aby znęcić ryby. W razie kłopotów mielibyśmy ich wszystkich na głowie.

- O której możemy się przedostać? - zapytałem.

- Rybacy wracają o czwartej nad ranem. Moglibyśmy ruszyć o piątej. O jedenastej powinniśmy dotrzeć do Bele'n, a pół godziny później będziemy już w porcie.

- Co to jest Belen?

- Tam zawijają z Pucallpy łodzie i mniejsze statki - takie jak nasz. Tam też stoją łodzie zamieszkałe przez tubylców. Duże statki cumują dziesięć kilometrów dalej, na drugim końcu miasta.

- Do którego portu kapitan kazał im zawinąć? Pokręcili głowami.

- Nie powiedział im - przetłumaczyła Alma. Spojrzałem na rzekę. Reflektory rybaków przypominały świetliki podskakujące nad powierzchnią wody do góry i w dół, jakiś kilometr od naszej zatoki. Wydawało się, że były ich setki. Odwróciłem się do marynarzy.

- W porządku - powiedziałem. - Powiedz im, żeby ruszali, gdy tylko rybacy odpłyną. Niech ominą jak najdalej Belen; zawiniemy tam, gdzie stają duże statki.

Alma przetłumaczyła. Pablo pokręcił głową i powiedział coś zdenerwowanym głosem.

- Mówi, że to niebezpieczne - powiedziała Alma. - Tam są celnicy i policja.

- Będę się tym martwił, kiedy dotrzemy na miejsce - odparłem. Odwróciłem się i spojrzałem w stronę rybaków.

- Niech ich obserwują. Jeśli ktokolwiek by się do nas zbliżał, niech dadzą mi znać.

Alma znów przetłumaczyła i poszła za mną na rufę. Usiedliśmy na ławce.

- Co o tym myślisz?

- Nie ufam im - odparłem. - Jeśli jednak mamy z kimś się spotkać, to wydaje się bardziej sensowne, że będzie czekał na nas w basenie portowym, a nie w przystani dla jakichś zasranych łódek.
 - Moim zdaniem mniejszy port byłby bardziej bezpieczny.
 - Angelo powiedział mi kiedyś, że najlepszym miejscem na kryjówkę jest otwarta przestrzeń. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że możemy zrobić coś tak głupiego.
 - Angelo był stuknięty.
 - Nie tak znów bardzo. Ściągnął mnie tutaj. Co ci obiecał, że się zgodziłaś z nim pojechać?
 - Lubiłam go.
 - I to wszystko? Nic poza tym? Roześmiała się.
 - Pieniądze. Kupę forsy.
 - Ile?
 - Tysiąc dolarów.
 - Masz podwyżkę. Jak z tego wyjdziemy, dostaniesz dziesięć kawałków.
- Alma milczała przez chwilę, a potem roześmiała się.
- No to musimy się pieprzyć.
 - Najpierw wygrzebmy się stąd - odparłem, spoglądając w stronę łodzi rybackich i reflektorów migoczących na rzece.
 - Czego wypatrujesz? - spytała.
 - Nie czuję się pewnie - powiedziałem, zataczając ręką koło. - Może i jesteśmy ukryci przed rybakami, ale stoimy niecałe sto metrów od brzegu. Dżungla porasta go aż do samej wody i nic przez nią nie widać.
- Alma popatrzyła w tamtym kierunku.
- Myślisz, że Metysi szli za nami wzdłuż rzeki?
 - Nie wiem. A mogliby? - spytałem.
 - Tu nie ma żadnych dróg.
 - Ale oni mają konie. Mogli jechać zwykłą ścieżką.
 - Czy sądzisz, że oni mogą coś o nich wiedzieć? - spytała wskazując marynarzy.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyłem ramionami. - Nie poruszyło ich specjalnie to, co się stało z kapitanem. Jestem pewien, że wiedzieli, co zamierzał.

Alma odwróciła się i zaczęła wpatrywać się w brzeg. Noc zapadła szybko i jedynym źródłem światła były teraz migoczące gwiazdy i żółtawy księżyc w pełni.

- Ni cholery, nic nie widać. Skinąłem głową.

- Przynieś karabiny i pistolet, który ci dałem. Lepiej mieć je przy sobie.

- Chcesz tu siedzieć całą noc? - spytała.

- Tu czuję się bezpieczniej.

- Ja też zostanę; czuję się bezpieczniej przy tobie.

- W takim razie załóż dżinsy zamiast tych szortów i przynieś kapelusz, moskitierę i butelkę olejku cytrynowego. Skoro uniknęliśmy Metysów, nie chcę, żeby dobrały się do nas insekty.

Alma uśmiechnęła się i zeszła do kabiny. Nie była głupia. Po kilku minutach wróciła niosąc koce i poduszki.

- Nie zawiniemy się w koce, bo z powodu wilgoci będziemy mokrzy jak po kąpieli. Rozłożymy je na pokładzie, będzie nam bardziej sucho niż na ławce.

- Świetna myśl. Przy okazji nie będziemy takim łatwym celem - odparłem patrząc, jak rozściela koce i układa na nich poduszki. To wszystko wyglądało za wygodnie. Miałem inny pomysł. - Przynieś jeszcze jeden koc i ten okrągły kosz na trójnogu, który stoi przy moim łóżku.

Nie zadawała pytań. Kiedy wróciła, ustawiłem kosz na ławce w miejscu, w którym siedziałem, owinałem go kocem, a na czubku zatknąłem moją starą panamę.

- Jak ci się podoba? - spytałem. Alma parsknęła śmiechem.

- Można pomyśleć, że to ty.

- Dzięki - odparłem i ułożyłem się obok niej. - Teraz możesz się trochę przespać. Ja będę czuwał.

- Nie jesteś zmęczony?

- Nie, czuję się świetnie.

- Jak będziesz chciał macha, to w kieszeni mam fiolkę.

- Będę pamiętał - powiedziałem. - Może mi się przyda.

Patrzyłem, jak zasypia, a potem odwróciłem się i spojrzałem na kosz. Uśmiechnąłem się do siebie. Miała rację. Można było pomyśleć, że to ja.

Rozdział V

Poczułem jej dłoń na ramieniu i natychmiast się rozbudziłem. Położyła mi palec na ustach i wskazała w stronę dziobu. Wyjrzałem ostrożnie zza nadbudówki kabiny.

Z łódki przycumowanej do naszego dziobu wdrapał się na pokład jakiś człowiek. W ciemności nie mogłem dostrzec jego twarzy, ale zobaczyłem, że nasi marynarze dają mu jakieś znaki. Skinął głową i zaczął skradać się bosą w naszą stronę.

Odsunąłem Almę, wziąłem karabin i odbezpieczyłem go. Mężczyzna poruszał się teraz szybko. Zobaczyłem błysk maczety, kiedy uniósł ją nad głową i uderzył z impetem w kosz, który ustawiłem na ławce. Kosz rozpadł się, a maczeta zaplątała się w koc. Nie czekałem, aż mężczyzna odwróci się w naszą stronę, tylko wpakowałem mu dwie kule w plecy. Zachwiał się i osunął na rufę. Pomogłem mu kopniakiem i facet przez reling wpadł do wody.

Usłyszałem ostry terkot automatu Almy. Strzelała do biegnącego w naszym kierunku marynarza. W końcu upadł, a z jego martwej dłoni wypadł rewolwer i potoczył się po pokładzie, jego też wrzuciłem do wody.

- To był Pablo - stwierdziła Alma drżącym głosem. -Chciał nas zabić.

- Zgadza się.

- Nie żyje? - spytała z lękiem.

- Tak.

Przeżegnała się szybko.

- Zgrzeszyłam. Nigdy jeszcze nie zabiłam człowieka.

- Bardziej zgrzeszyłabyś, gdybyś pozwoliła mu się zabić

- odparłem. Wziąłem od niej pistolet i wymieniałem magazynek. - Masz. Możesz go jeszcze potrzebować. Chodź za mną

- skinąłem ręką i ruszyłem w stronę dziobu.

Kiedy znalazłem się przed kabiną, usłyszałem plusk wiosł odplywającej łodzi. Na dziobie naszej stał młodszy marynarz, trzymając kotwicę z ciągnącą się za nią liną. Wlepił w nas wzrok, skamieniały z przerażenia. Powoli skierowałem na niego lufę karabinu. Niewiele myśląc, jednym susem wyskoczył za burtę i młóćąc rękami wodę, popłynął za łodzią.

Patrzyłem za nim przez chwilę, po czym zwróciłem się do Almy:

- Zdaje się, że straciliśmy załogę.

- Co teraz zrobimy?

- Coś wykombinujemy - odparłem z przekonaniem, chociaż nie byłem tego taki pewien. Dotknąłem Almy. Drżała.

Wziąłem ją za rękę. - Spokojnie, poradzimy sobie. Tyle nam się już udało.

W jej oczach pojawiły się łzy.

- Zabiłam człowieka.

- W przeciwnym razie on zabiłby ciebie - odparłem. - Wszystko w porządku.

Zaczęła płakać. Przytuliłem ją.

- Uspokój się - powiedziałem łagodnie, głaszcząc ją po włosach. - Nie było innej rady.

Objęła mnie kurczowo.

- Jak będziemy w Iquitos, pójdę do spowiedzi. Przywarła do mnie całym ciałem.

- Jak uważasz.

- Stałaś ci - zauważyła, spoglądając na mnie ze zdziwieniem.

Chciałem się odsunąć, ale trzymała mnie mocno.

- Jestem normalny.

- Myślałam, że mnie nie lubisz.

- Powiedziałem ci przecież. Byłaś dziewczyną Angela. - Pocałowałem ją i cofnąłem się o krok. - Lubię cię, ale musimy zrobić parę innych rzeczy, zanim zaczniemy się zabawiać.

Alma poczuła się pewniej i uśmiechnęła się.

- Próbowałaś kiedyś peruwiańskiej cipki? - spytała zalotnie.
 - Nie - odparłem odwzajemniając jej uśmiech. - Jediną peruwiańską rzeczą, jakiej próbowałem, jest peruwiańska koka.
 - Czeka cię prawdziwa rozkosz. Peruwiańskie cipki są jeszcze lepsze niż peruwiańska koka. Nie ma lepszego odlotu. Roześmiałem się.
 - Przestań. Doprowadzasz mnie do obłądu. - Poszedłem na rufę i otworzyłem właz do maszynowni.
 - Miej oczy szeroko otwarte i zawołaj mnie, gdyby ktokolwiek się zbliżał. Idę sprawdzić silnik.
 - W porządku - odparła Alma.
- Na dół prowadziły tylko trzy stopnie, a potem drabinka. Maszynownia miała niecały metr wysokości. Skuliłem się i znalazłem na ścianie małą żarówkę. Nie zauważyłem żadnego włącznika, więc dokręciłem ją, aż rozżarzyła się słabym światłem. Odwróciłem się i przyjrzałem silnikowi. Był to stary, dwucylindrowy Harvester, wyjęty zapewne z niewielkiego traktora. Uruchamiało się go kołem zamachowym przez pociągnięcie linki bardzo podobnej do tej, którą widziałem na zewnątrz. Obok silnika znajdowało się sześć dwunastowoltowych akumulatorów samochodowych, a nad nimi zbiornik paliwa. Spojrzałem na wskaźnik: pół baku. Potem sprawdziłem biegi. Możliwe były tylko dwie pozycje: naprzód i wstecz. Niezbyt skomplikowane, pomyślałem, powinienem dać sobie radę. Wykręciłem lekko żarówkę i wróciłem na górę.
- Alma stała na rufie, obserwując otaczający zatokę ląd.
- Nie widzę żadnego podejrzanego ruchu - poinformowała.
 - Dobrze - odparłem. - Sądzę, że obędzie się bez kłopotów. Poradzę sobie z silnikiem i powinniśmy jakoś dopłynąć.
 - Świetnie. A wiesz chociaż dokąd?
 - Iquitos leży w dole rzeki.
 - Genialnie - zauważyła z ironią w głosie. - Czy wiesz

cokolwiek o tamtejszych nabrzeżach, które baseny portowe są bezpieczne, a które nie? Popatrzyłem na nią zdezorientowany.

- A ty wiesz cokolwiek o Iquitos? - spytałem.

- Nigdy tam nie byłam, bo i po co? To koniec świata. Nikt z Limy tam nie jeździ, chyba że w interesach. Mówiłam ci, z powodu gór nie sposób dotrzeć tam łodem. Można się dostać samolotem lub rzeką z Brazylii albo z Kolumbii. Nie miałam nigdy powodu, żeby tam jechać.

- Angelo załatwił nam stamtąd samolot. Miał jakiś kontakt.

- Wiesz z kim?

- Nie, ale myślę, że kiedy będziemy już w mieście, uda nam się go namierzyć.

Alma milczała przez chwilę.

- Nie znasz Peru - powiedziała w końcu. - Iquitos to złowrogie miasto; namierzą cię dużo szybciej niż ty ich.

- Musimy zaryzykować - odparłem. - Nie mamy innego wyjścia.

Wskazała w kierunku rzeki.

- Rybacy wracają.

Odpywali zwartą grupą w dół rzeki, w stronę Iquitos. Dostrzegłem kilku maruderów. Napelniali jeszcze sieci.

- Ruszymy, jak tylko wszyscy się oddalą - powiedziałem.

- Będzie już jasno - odparła Alma.

- Nie mamy wyboru. Ci pieprzeni Indianie mogą nas dogonić.

Potrząsnęła głową.

- Boję się - powiedziała głosem, w którym słycać było strach.

- Wszystko będzie w porządku - odparłem bez przekonania.

Alma wydawała się zakłopotana.

- Muszę się przebrać. Zsikałam się w majtki. Uśmiechnąłem się.

- Nie wstydz się, to normalne. Idź na dół się przebrać. Ja tu zostanę.

Wszedłem na niewielki pomost sterowniczy. Chociaż znajdował się tylko dwa stopnie wyżej niż pokład, stanowił dobry punkt obserwacyjny. Z paczki papierosów, którą zostawiłem na ławce poprzedniego dnia, wyciągnąłem jednego, zapaliłem i zaciągnąłem się. Dobrze mi zrobił, chociaż był stary i wilgotny. Zakasłałem i utkwilem wzrok w wodach zatoki.

Piekły mnie oczy. Cały czas wydawało mi się, że widzę błyski światła wśród drzew na brzegu, ale nic tam nie było. Wróciła Alma.

- Czuję się lepiej - powiedziała. - Umyłam się; nic tak nie pomaga jak kąpiel i czyste ubranie.

- Dobrze wyglądasz - odparłem, trąc oczy. - Ja muszę wyglądać potwornie.

- Nie tak znów źle. Nie spałeś zbyt wiele.

Skinąłem głową i wyrząłem w kierunku rzeki. Wciąż kręciły się tam trzy, może cztery łodzie rybackie.

- Mogliby się już wynieść - mruknąłem.

- Wkrótce zaczniesz świtać, wtedy odpłyną.

Zakląłem pod nosem i zamilkłem. Alma wyjęła z kieszeni džinsów fioletkę.

- Peruwiański śnieżek. Muszę sobie pomóc. - Wzięte dwa szybkie machy i podała mi fioletkę. - Oboje potrzebujemy pomocy - dodała.

Wziąłem po dwa wdechy do każdej dziurki w nosie. Poczulem, jak rozjaśnia mi się w głowie, a oczy przestają piec. Całkiem odechciało mi się spać. Na co komu sen? Oddałem fioletkę Almie i roześmiałem się.

- Czas poszaleć.

- Czujesz się lepiej? - Uśmiechnęła się.

- O niebo lepiej - odparłem.

- Popatrz! - krzyknęła wskazując w stronę rzeki.

Jedna z łodzi ze skierowanym na nas reflektorem wpływała właśnie do zatoki. Uniosłem karabin automatyczny i obserwowałem, jak zbliża się powoli.

Ścisnąłem Almę za ramię.

- Zejdź na pokład. Nie chcę, żeby ktokolwiek cię widział. Położyła się na pokładzie, trzymając kurczowo automat.

Poczekalem, az lódz podplynie blizej, a wtedy strzelilem w reflektor.

- Co robisz, do cholery? - uslyszalem wsciekly glos. Facet mowil po angielsku.

- A kim jestes, do cholery?-odkrzyknalem.

- Angelo?

- Nie ma go tu.

- Jed Stevens? Zawahalem sie na moment.

- Zgadza sie - odpowiedzialem.

- Vince Campanella - przedstawil sie. - Umowilem sie z Angelem, ze zabiore go do Medellin.

- Masz samolot? - spytalem.

- To moja sprawa. Gdzie jest Angelo? Mieliscie czekać na mnie w nastepnej zatoce. Co tu, do diabla, robicie?

- Nikt mi nie powiedzial.

- Zawolaj Angela. Musimy sie stad zabierac.

- Angelo nie zyje. - Nie chcialem mowic mu, jak zginal. -Zaloga chciala nas wykiwac.

- Gdzie oni sa?

- Dwóch nie zyje, trzeci uciekl.

- Dziewczynajestztoba?

- Jest tutaj.

- Moge wejść na poklad?

- Tylko ty - odparlem wskazujac go lufa karabinu. Męczyzna wkrótce byl juz na pokladzie. Mial prawie metr dziewięćdziesiąt, niebieskie oczy, rude włosy i brode. Ubrany byl w zielona koszule i spodnie koloru khaki.

- Rozmawialem wczoraj z twoim wujem. Pytal o Angela. Mieliscie byc wczoraj, dlatego zaczalem was szukac.

Alma wstala, trzymajac wciaz pistolet w dloni.

- No to co robimy? - spytala.

- Zabierzemy was stad. Weźmiemy na hol i podplyniemy do nastepnej zatoki. Wyladujemy towar, zabiore was do Iquitos, a pozniej wsadze do samolotu do Limy. Stamtad polecicie do Nowego Jorku.

- Angelo mial jakis plan - przerwalem. - Co z nim bedzie?

- Zajmę się tym - odparł. - Tak postanowił twój wuj.
- Kiedy mogę do niego zadzwonić?
- Wieczorem, z hotelu.
- Co będzie ze mną? - spytała Alma.
- Pojedziesz z nim do Limy - powiedział. - Możesz być jego przewodniczką.

Rozdział VI

Kiedy wpływaliśmy do następnej zatoki, słońce wznosiło się już nad czubkami drzew. Przycumowaliśmy w starym, sypiącym się doku. Vince wyjął krótkofalówkę i powiedział parę słów. Dziesięć minut później przyjechała dwutonowa ciężarówka, a za nią jeep z dwoma facetami.

Vince porozumiewał się ze swoimi ludźmi po hiszpańsku. Jeden z nich wsiadł do kabiny ciężarówki i z karabinem maszynowym w ręku pełnił straż. Czterech innych - dwóch z łodzi i dwóch z jeepa - zaczęło wyładowywać liście koki z naszej łodzi i przenosić je na ciężarówkę.

- Zabierzcie swoje rzeczy - zwrócił się do mnie Vince. -Zabieramy się stąd.

- A co z łodzią? Pokręcił głową.

- Czort z nią. Moi ludzie wyciągną ją na środek rzeki i zatopią. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył ją w Iquitos. Założę się, że kapitan dał cynk celnikom. Dostałby nagrodę za zwrot ładunku.

- Czy to bezpiecznie, żebyśmy my się tam pokazywali? -spytałem.

- Nie jedziemy na lotnisko w Iquitos. Niedaleko stąd stoi mój samolot, na lądowisku wyciętym na terenie byłej plantacji kauczuku. Jesteśmy dobrze zorganizowani, nie robimy w tym od wczoraj.

- Co o tym wszystkim sądzisz? - zapytałem Alnę.

- W porządku - odparła. - Z radością wrócę do domu.

- Po minięciu gór będę leciał nisko, żeby nie namierzyły nas radary. I nie będziemy lądować na Juan Chavez Interna-

tional. Za dużo tam policji i celników. Wysadzimy was na małym lądowisku sześćdziesiąt kilometrów od Limy.

- To jak dotrzemy do miasta? - spytała.

- Nie martw się. Mamy samochód, który dowiezie was autostradą Pan American. Wszystko będzie w porządku.

- Uśmiechnął się. - A teraz pakuj się. Musimy się spieszyć.

Odprowadził ją wzrokiem do kabiny, a potem zwrócił się do mnie:

- Angelo mówił, że kiedy się spotkamy, dostanę forszę za transport.

- Tak - odparłem. - Do Medelhi i stamtąd do Panamy. Czterdzieści kawałków.

- Teraz to będzie sześćdziesiąt - poprawił.

- Jesteś zachłanny, Vince.

- Ależ skąd. Pomijam fakt, że musieliśmy was szukać; to dla rodziny, gratis. Ale lot stąd do Limy to dwa tysiące kilometrów więcej. Wszystko ma swoją cenę.

- Ile? - spytałem.

- Dwadzieścia ekstra.

- Nie wiem, czy wuj Rocco będzie zadowolony.

- Powiedział mi, że za wydostanie was dostanę premię. Pokrywam tylko dodatkowe koszty.

Roześmiałem się.

- Niezły z ciebie kanciarz. Przypominasz mi mojego kuzyna.

- Dostanę ten szmal? - spytał Vince, również się śmiejąc.

- A mam wybór?

- Twój wuj chce, żebyś wrócił do domu.

- W porządku - odparłem, a potem spojrzałem na niego.

- Kto płaci za samolot z Panamy do Miami?

- Jeśli masz gotówkę, mogę to dla was załatwić.

- Jak odejmę te dwadzieścia, to mi nie starczy - odparłem.

- Powiem wujowi i coś wykombinuje.

- Nie ma sprawy. Możesz dać mi pieniądze podczas lotu.

Kilka minut po szóstej zaczęliśmy wytracać wysokość. Pięć i pół godziny w twardym plastikowym fotelu dało mi się

we znaki. No cóż, DC 3 nie jest przeznaczony dla pasażerów; to samolot frachtowy.

- Za pół godziny będziemy na ziemi - poinformował Vince, odwracając się do nas z siedzenia pilota.

Jęknąłem i przeciągnąłem się.

- Dzięki Bogu. Wątpię, czy wytrzymałbym jeszcze długo na tym fotelu.

- Jedno jest pewne, to nie jest 707 - odparł ze śmiechem Vince, po czym spoważniał. - Masz forszę?

- Wszystko gotowe - odparłem. Kiedy był zajęty lotem, wyciągnąłem z nesesera sześćdziesiąt tysięcy i włożyłem je do koperty. Podałem mu ją teraz przez ramię.

Vince wsunął kopertę na półkę z mapami przy siedzeniu.

- Dzięki.

- Nie chcesz przeliczyć? - spytałem. Uśmiechnął się.

- Należysz do rodziny. Mam do ciebie zaufanie.

- Dziękuję - odparłem. - Nie wiem, jak poradziłbym sobie bez ciebie.

- Wszyscy wykonujemy to, co do nas należy. Powiedz tylko wujowi, co zrobiłem.

- Powiem - zapewnilem go. Na ziemi dostrzegłem coś, co przypominało niewielkie miasto. - Gdzie jesteśmy?

- Przelatujemy nad Huancavelicą w stronę wybrzeża. Jak spojrzysz przed siebie, zobaczysz Pacyfik.

Stanąłem za nim i dostrzegłem błękitne wody oceanu.

- Woda lśni jak niebieskie diamenty - zwróciłem się do stojącej obok mnie Almy.

- Lepiej siadajcie i zapnijcie pasy. Między górami a oceanem zwykle pojawiają się turbulencje - poradził Vince. - Do tej pory udawało się wam; nie chciałem, żebyście rozwalili sobie głowy w samolocie.

Vince nie żartował. Naszym małym samolotem zaczęło miotać jak liściem nawietrze, aż w końcu, kiedy byłem bliski wymiotów, nagle uspokoiło się, a kilka minut później poczułem, jak koła dotykają ziemi.

Kiedy tylko samolot zatrzymał się, Vince otworzył drzwi

i wyskoczyliśmy z Alną na zewnątrz. Odetchnąłem głęboko cudownym, chłodnym powietrzem.

- O Jezu! - westchnąłem. Vince uśmiechnął się do mnie.

- Musisz się przyzwyczaić.

- Nie ma mowy - odparłem. - Zdecydowanie wolę duże odrzutowce.

- Wynieś ich bagaże - powiedział Vince do drugiego pilota.

Potem odezwał się po hiszpańsku do stojącego przy nas mężczyzny. Ten skinął głową i ruszył biegiem w stronę budynku na skraju lądowiska.

- Załatwi dla was samochód i kierowcę, a dla mnie paliwo - wyjaśnił Vince.

Po pięciu minutach zajechał stary, czterodrzwiowy Chevrolet. Mężczyźni zaczęli ładować nasze rzeczy do bagażnika.

- Dziękuję - zwróciłem się do Vince'a, wyciągając rękę.

- Nie ma za co - powiedział. - Kiedy będziesz rozmawiał z wujem, przekaz mu moje kondolencje.

- W porządku - odparłem. Vince wyciągnął rękę do Almy.

- Jesteś wspaniałą dziewczyną. Opiekuj się nim. Alma skinęła głową i pocałowała go w policzek.

- Oczywiście. Dziękuję.

Wsiadaliśmy do samochodu, kiedy podjechała cysterna z paliwem. Vince pomachał nam, my też mu pomachaliśmy, kierowca wrzucił bieg i ruszyliśmy w stronę autostrady.

Panował już zmrok, kiedy kierowca wyładował nasze bagaże przed hotelem El Gran Bolivar.

- Daj napiwek - szepnęła Alma. Wręczyłem mu studolarowy banknot.

- *Gracias, señor* - podziękował z uśmiechem.

- Nie ma sprawy - skwitowałem i sięgnąłem po bagaże. Alma położyła mi dłoń na ramieniu.

- Nie zostaniemy tutaj - powiedziała. - W holu ciągle kręci się policja. W naszych ubraniach mogliśmy wydać się podejrzani.

Rzeczywiście, wciąż mieliśmy na sobie brudne ciuchy z łodzi.

- W takim razie dokąd jedziemy? - spytałem.

- Do mnie - odparła. - To niedaleko. Mam duże mieszkanie w nowym bloku koło Parque de Universario. - Wezwała jedną z taksówek stojących przed wejściem do hotelu.

Dwadzieścia minut później wysiedliśmy z windy i stanęliśmy przed drzwiami jej mieszkania. Nacisnęła dzwonek.

- Ktoś z tobą mieszka? - spytałem. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Matka. Zdziwiłem się.

- Nie będzie zła, że przyrowadzasz faceta? Alma roześmiała się.

- Moja matka jest bardzo liberalna.

Musiałem wyglądać głupio, gdyż znów się roześmiała.

- Tak naprawdę, to ona nie jest moją matką - wyjaśniła. - To moja służąca, ale jest ze mną od tak dawna, że nazywam ją matką.

Drzwi otworzyły się i wyrzała zza nich niska kobieta

o indiańskich rysach. Uśmiechnęła się na widok Almy. Alma uściśnęła ją i ucałowała w policzek. Rozmawiały chwilę po hiszpańsku, a potem kobieta wyciągnęła do mnie rękę z nieśmiałym uśmiechem.

- *Encantada*- powitała mnie.

- Dziękuję - odparłem, sięgając po walizki.

- Nie - zaprotestowała, kręcąc głową.

- Chodź ze mną - powiedziała Alma. - Ona przyniesie rzeczy. Pokażę ci mieszkanie.

Ściany obszernego salonu pokrywały fotografie Almy

i oprawione w ramki okładki magazynów z jej zdjęciami. Spojrzałem na nią i stwierdziłem:

- Jesteś bardzo fotogeniczna. Roześmiała się.

- Z tego żyję. Jestem modelką.

- Nie wiedziałem.

- Myślałeś, że jestem kurwą - stwierdziła z przekąsem.

- Nie - zaprzeczyłem. - Myślałem, że jesteś dziewczyną do towarzystwa.

- To też - roześmiała się. - Peruwiańską cipką.

- Dobra-zgodziłem się.-Jak sobie chcesz.

Rozejrzałem się po mieszkaniu: nowoczesne włoskie meble, plastikowe krzesła, długie, obite materiałem kanapy oraz lampy z mlecznobiałymi kloszami.

- Chodź tu. - Alma skinęła na mnie. Otworzyła drzwi i wyprowadziła mnie na balkon.

Z siódmego piętra rozciągał się rozległy widok na park.

- Piękny, prawda? - spytała.

- Bardzo - przyznałem.

- Nie jesteś zaskoczony, że stać mnie na takie drogie mieszkanie?

- To nie moja sprawa.

- Chciałabym jednak wiedzieć - nalegała. - Lubię cię i nie chcę, żebyś sobie coś złego pomyślał.

Milczałem.

- Kiedy miałam siedemnaście lat, zakochałam się w cudownym mężczyźnie. Był dużo starszy ode mnie i na dodatek żonaty. Byłam jego kochanką przez prawie osiem lat. Wysłał mnie do szkoły i pomógł mi w karierze. Umarł w zeszłym roku. Zostawił mi to mieszkanie i trochę pieniędzy. Nie byłam mu wyłącznie wdzięczna za to, co dla mnie zrobił - kochałam go. Dopiero pół roku temu zaczęłam znów spotykać się z facetami. Nie sprawiało mi to jednak zbyt przyjemności. I wtedy twój kuzyn zaproponował mi tę wyprawę. Pomyślałam, że to byłaby wspaniała odmiana. - Spojrzała na mnie. - Naprawdę chciałam wyrwać się stąd i zapomnieć o przeszłości.

- Udało ci się? - spytałem, biorąc ją za rękę.

- Po wydarzeniach ostatnich dni zaczynam myśleć, że tak.

- To dobrze.

Wróciliśmy do mieszkania.

- Pokażę ci twój pokój. Poza tym sądzę, że chciałbyś się wykapać i odświeżyć.

- Owszem - odparłem - ale najpierw muszę zadzwonić do wuja. Masz telefon?

- Jest w mojej sypialni. Daj mi numer, to zamówię rozmowę.

Usiadłem na skraju łóżka, a Alma podała numer telefonistce w centrali. Oczekaliśmy kilka minut i rozległ się dzwonek.

- Telefonistka mówi, że wszystkie linie do Stanów są zablokowane. Oddzwoni za kilka godzin - powiedziała Alma.

- Cholera-zakląłem.

- Tutaj to normalne. Musisz uzbroić się w cierpliwość. Na razie wykap się i zjedzmy coś.

Rozdział VII

Weszliśmy do łazienki. Alma wskazała ręką drzwi po przeciwnej stronie.

- Tam jest twoja sypialnia. Łazienka jest między nami. -Otworzyła szafkę wiszącą nad dwoma umywalkami osadzonymi w marmurowym blacie. - Tu masz wszystko, co potrzeba: golarkę, krem, wodę kolońską. Tymczasem naleję wody do wanny.

Zajrzałem do sypialni. Na łóżku leżała moja walizka; była otwarta, ale ubrania zniknęły. Odwróciłem się.

- Mamacita pierze twoje rzeczy - wyjaśniła Alma uprzedzając moje pytanie. - Kiedy wyjdiesz z wanny, wszystko będzie gotowe.

- Nie do wiary. Lepiej niż w pięciogwiazdkowym hotelu.

- To dopiero początek - roześmiała się.

Odkręciła kurki wielkiej, owalnej wanny, a potem wsypała do wody garść różnobarwnych soli kąpielowych. W powietrzu zaczął się unosić dziwny, egzotyczny zapach. Alma wzięła białą drewnianą szpatułkę i wymieszała wodę.

- Wyskakuj z ciuchów - zwróciła się do mnie - i ogól się. Nie goliłeś się chyba od trzech dni.

- Co mam z nimi zrobić? - zapytałem, gapiąc się na nią.

- Zostaw je na podłodze. Mamacita je wyrzuci; do niczego już się nie nadają.

- A ty co zamierzasz robić? - spytałem, patrząc dalej na Alnę.

Zaczęła się rozbierać.

- Ja też muszę się wykapać. To duża dwuosobowa wanna;

Wstydzisz się?

- Nie - odparłem. - Dziwię się tylko.

- Nie wiem, czemu - roześmiała się. - Już widziałeś mnie bez ubrania, ja ciebie też.

- Jakto?

- Nie wygłupiaj się - odparła. - Byliśmy razem w tej ciasnej kabinie. Nie było sposobu, żeby się ukryć. No, dalej

-ponagliła mnie, a sama usiadła na bidecie. - Zanim się ogolisz, wymyję sobie cipkę. j

Kiedy wchodziłem do wody, siedziała już w wannie. Woda była ciepła i przyjemna.

- W porządku? - spytała.

- Cudownie - odparłem.

Podniosła się i sięgnęła po dużą, plastikową butelkę.

- Wstań - powiedziała, otwierając ją. - To płyn do kąpieli, zmiękcza skórę. Nasmaruję cię.

Powoli i delikatnie rozcierała mydło na moim ciele. W końcu podała mi butelkę mówiąc:

- Teraz kolej na mnie.

Czułem, że nie dorównuję jej delikatnością dotyku. Alma odwróciła się powoli, nastawiając mi plecy, a potem znów stanęła przodem. Spojrzałem na nią pytająco.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała z uśmiechem. - Dokończ.

Przyśpieszyłem. Miała ciężkie piersi i twardy, płaski brzuch. Rozsmarowałem lekko mydło na jej wzniesieniu łonowym.

- Mocniej wetrzyj we włosy-poprosiła.

Zrobiłem, jak kazała, a potem namydliłem ją między nogami. Patrzyła mi prosto w oczy, odbierając butelkę.

Wycisnęła mydło na mój członek i jądra.

Oddychała ciężko.

- Czujesz, jak mi stwardniał guziczek? Skinąłem głową. Zaczęła masować mi genitalia.

- Staje ci - stwierdziła.

- Rób tak dalej, a spuszczę ci się do ręki - odparłem.

- Ja już miałam dwa orgazmy - powiedziała, kładąc mi rękę na ramieniu i przyciągając do siebie. Zsunęliśmy się na klęczki; w końcu nie mogłem się już powstrzymać. Spazm ogarnął całe moje ciało. Wydawało mi się, że to się nigdy nie skończy.

- O rany! - krzyknąłem, patrząc na Alnę. - Całą cię opryskałem.

- Cudownie. To najlepsza odżywka dla skóry, jaka istnieje.

Gdzieś w oddali usłyszałem dzwonek telefonu, a potem poczułem, że Alna szarpie mnie za ramię. Usiadłem powoli. Leżeliśmy nadzy w łóżku.

- A niech to - mruknąłem. - Całkiem padłem.

- Miałaś prawo. - Uśmiechnęła się. - Myślałam, że w ogóle nie skończysz.

Pokręciłem głową.

- Zdawało mi się, czy słyszałem telefon?

- To twoja rozmowa do Stanów - odparła, podając mi fiolkę. - Pociągnij sobie, jeszcze się nie dobudziłeś.

Skinąłem głową, zrobiłem to, co kazała, i otrzeźwiałem.

- Gdzie jest telefon?

- Tutaj - powiedziała, podając mi słuchawkę. Przyłożyłem ją do ucha i usłyszałem kobiecy głos.

- Pan Stevens?

- Tak.

- Pan di Stefano do pana.

Rozległ się trzask, a potem głos mojego wuja. Brzmiał ciężko i smutno.

- *Angelo'e'morto*. - To nie było pytanie. Wiedział już.

- Tak - odparłem. - Przykro mi.

- Kiedy to się stało? - spytał cicho.

- Prawie tydzień temu. Kapitan chciał nas porwać. Strzelił Angelowi w plecy. Trwało to wszystko chwilę.

- Gdzie ty wtedy byłeś?

- Na dole, w kabinie. Kiedy usłyszałem strzały, chwyciłem automat i zdążyłem trafić kapitana, kiedy schodził pod po-

kład. Gdy dopłynęliśmy w dół rzeki do zatoki, dwaj pozostali marynarze zaczęli się stawiać. Pozbyłem się ich, zanim znalazł nas Vince. Gdyby nie on, nie wiem, jak dalibyśmy sobie radę.

- Powiedziałeś „my”. Czy ktoś jeszcze był z wami?

- Tak - odparłem. - Angelo wziął z Limy dziewczynę. Musiał mieć tłumacza.

- Musiał mieć dupę do rżnięcia - odparł wuj z wymuszonym śmiechem. - Czy można go przywieźć do Stanów?

- Nie, wuju. Jego ciało zostało pięćset kilometrów w głąb amazońskiej dżungli.

Zamilkł na moment.

- Mówiłem mu, żeby nie jechał. Nigdy mnie nie słuchał. Ciągle chciał się wykazać.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Nie chciałem też, żebyś ty jechał - ciągnął. - Nie powinienesz być jechać.

- Angelo był moim kuzynem; kochałem go - tłumaczyłem łagodnie. - Oczywiście, że powinienem był jechać. Był ze mną na Sycylii.

- Wracaj już do domu - poprosił. - Kiedy możesz złapać samolot?

- Teraz jest noc. Sprawdzę z samego rana.

- Leć Braniffem. Nie ufam żadnym zagranicznym liniom.

- Dobrze, wuju.

- Daj znać, jak tylko dostaniesz rezerwację.

- Dobrze, wuju.

- Kiedy wrócisz, zamówię mszę za Angela.

- Przyjdę na pewno.

- Co z dziewczyną? - spytał zachrypniętym głosem. - Nic jej się nie stało?

- Nie, wuju.

- Czy to miła dziewczyna?

- Tak. Angelo miał dobry gust. Nie zadawał się z byle kim.

- Opiekuj się nią. Dbaj też o siebie. Pamiętaj, że jesteś jedynym mężczyzną w rodzinie. I zadzwoń jutro.

- Dobrze, wuju.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Rozłączyliśmy się. Oddałem słuchawkę Almie.

- Co z nim? - spytała ze łzami w oczach.

- Załamany - odparłem. - Angelo był mu najdroższy świecie.

Rozdział VIII

Jedliśmy śniadanie na balkonie. Pogoda była piękna, powietrze świeże. Mamacita podała nam talerz jajecznicy, cebuli i pomidorów oraz cienkie plastry mięsa z rusztu polane pikantnym sosem, a do tego kromki ciemnego, gorącego chleba posmarowane masłem i mocną, gorącą kawę. Umierałem z głodu. Rzuciłem się łapczywie najedzenie.

- Zawsze tak jesz? - spytała Alma z uśmiechem.

- Tylko kiedy jestem głodny - wybełkotałem z pełnymi ustami. - To przynajmniej prawdziwe żarcie, a nie to gównno, jakie mieliśmy na rzece.

- Mamacita to wspaniała kucharka.

- Cudowna. Ale ty nie jesz zbyt wiele - zauważyłem.

- Dziewczyny powinny przestrzegać diety - wyjaśniła. - Peruwianki mają skłonność do tycia.

- Tak jak peruwiańskie cipki - roześmiałem się.

- Tłuste są dobre - odparła ze śmiechem. - Nie widziałam, żebyś narzekał.

- Wspaniałe. Najlepsze.

Alma pochyliła się nad stołem i pocałowała mnie w policzek.

- Jesteś słodki.

Z balkonu dobiegł głos służącej. Alma wstała z krzesła i wyjrzała na zewnątrz. Skinęła na mnie.

- Tam, na ulicy - powiedziała, gdy stanąłem obok niej. - Samochód i dwóch facetów obok. To może być policja.

- Nie wiesz? - zdziwiłem się.

- Wygląda jak samochód policyjny, ale nie jest oznakowany. To mogą być tajniacy.

- Skąd wiesz, że nas obserwują?

- Nie wiem, ale Vince mówił, że policja w Iquitos mogła dostać o nas cynk. Jeśli tak, mogą poinformować komendę główną w Limie.

- A jeśli to nie policja?

- W takim razie to *cocainas*, którzy szukają swojego towaru - powiedziała, odciągając mnie od poręczy. - Ubieraj się. Mam trochę przyjaciół w komendzie. Mój *patron* był generałem i przez jakiś czas piastował urząd szefa policji. Miałam tam wtedy znajomości. Wykonam parę telefonów i zobaczę, co wiedzą.

Wróciłem do pokoju. Służąca była niezrównana - znalazłem wszystkie rzeczy ułożone na łóżku: granatową kurtkę ze złotymi guzikami, szare flanelowe spodnie, niebieską koszulę i wąski krawat z dzianiny. Czarne półbuty lśniły jak nowe, a w każdym tkwiła jedwabna skarpetka. Ubranie się zabrało mi niecałe pięć minut. Potrzebowałem jeszcze tylko jednej rzeczy. Otworzyłem neseser, wyjąłem z niego broń i wsunąłem ją do kieszeni kurtki. Potem wyjąłem obiecane Almie dziesięć tysięcy dolarów i włożyłem je do koperty. Paszport i wizę do kieszeni na piersi, a do kieszeni spodni kilka paczek banknotów. Przeszedłem przez łazienkę do pokoju Almy.

Wciąż jeszcze rozmawiała przez telefon. Służąca wyjęła z szafy sukienkę i położyła ją na łóżku. Czekałem w drzwiach, aż Alma odłoży słuchawkę.

- Oni są z policji - powiedziała - ale nie ciebie szukają.

- No to nie mamy czym się martwić. Pokręciła głową.

- Szukają Angela i myślą, że to ty. - Zdjęła nocną koszulę i włożyła koronkowe figi, a potem szybko zapięła stanik. Usiadła na brzegu łóżka i patrzyła na mnie wkładając pończochy. - Co się tak gapisz? - spytała.

- Trudno się oprzeć - odparłem, rzucając obok niej kopertę.

- Co to?

- Obiecane pieniądze.

Milczała przez moment, a potem oddała mi ją.

- Nie musisz tego robić. Nie potrzebuję pieniędzy.
- Obiecałem ci. - Podałem jej kopertę z powrotem.
- Wtedy było inaczej. Teraz jesteśmy przyjaciółmi i kochankami.
- Proszę, weź te pieniądze - nalegałem. - Właśnie dlatego zależy mi na tym jeszcze bardziej niż przedtem.

Wstała i pocałowała mnie.

- Jesteś kochany - powiedziała czule.

- Dziękuję.

Wzięła z łóżka sukienkę i nałożyła ją.

- Mamacita! - zawołała.

Służąca wbiegła do sypialni. Alma powiedziała coś do niej szybko. Mamacita skinęła głową, zapięła zatrzask sukienki, wzięła kopertę i wyszła.

Alma odwróciła się do mnie.

- Jak wyglądam? - spytała.

- Wspaniale - przyznałem.

- Jeszcze tylko zrobię makijaż. Spakuj walizkę, za parę minut jedziemy na lotnisko.

- A co z policją na dole? - spytałem.

- Nie będzie żadnych kłopotów. Rozmawiałam z kapitanem policji. Odwoła ich, a nas odwiezie swoim samochodem.

- Uwierzył ci?

- Oczywiście. Będzie chciał jednak zobaczyć twój paszport. Masz wizę, ale nie zaszkodzi, jeśli włożysz tam jeszcze tysiąc dolarów.

- Myślałem, że to twój przyjaciel.

- Gdyby nim nie był, nie zrobiłby tego dla nas - odparła. - Ty tego nie rozumiesz. Nasi urzędnicy nie zarabiają zbyt wiele, potrzebują pomocy.

- Zdarza się to również w Stanach, ale nazywamy to łapówką.

- Nie masz prawa być złośliwy - powiedziała cicho. - Sam złamałeś niemal wszystkie tutejsze prawa.

Miała rację. Kimże ja byłem, żeby rzucać kamieniem? Wziąłem ją za rękę.

- Przepraszam.

Alma ścisnęła ją.

- Szybko, pakuj się.

Zamknąłem walizkę na klucz, a na wierzchu położyłem neseser. Zostawiłem wszystko na łóżku i wyszedłem na balkon. Po drugiej stronie ulicy nadal stał zaparkowany mały, czarny Volkswagen. Kiedy tak patrzyłem, obok niego zatrzymał się duży, czterodrzwiowy Ford Fairlane. Nie widziałem kierowcy, ale wyglądało na to, że tamci dwaj z nim rozmawiają. Po chwili Ford odjechał, a tajniacy wsiedli do Volkswagena i ruszyli za nim. Odprowadziłem ich wzrokiem, aż skręcili za róg, a potem wróciłem do pokoju. Wziąłem walizkę i neseser i przeszedłem do salonu. Alma już czekała. Zatkąło mnie na jej widok. Na ramiona zarzuciła ciemny żakiet z norek, na podłodze obok niej stały dwie wielkie walizy, torba na ramię i mała, kwadratowa torebka. Wszystko od Louisa Vuittona.

Uśmiechnąłem się.

- Masz klasę. Wybierasz się w podróż?

- Jadę z tobą do Nowego Jorku - roześmiała się.

- Chwileczkę, nie przypominam sobie, żebyśmy to uzgodnili.

- Daj spokój. Myślisz, że ten policjant uwierzyłby mi, gdybym mu nie powiedziała, że zabierasz mnie ze sobą do Nowego Jorku?

- To nie takie proste. Musisz mieć wizę. Alma znowu się roześmiała.

- Mam wielokrotną wizę do Stanów. W końcu jeździłam tam do szkoły.

Milczałem.

- Jeździłam też przez rok do Paryża - dodała.

- Tam też się wybierasz? - spytałem.

- Kto wie. Nie sprawię ci żadnego kłopotu. Mój *patron* zostawił mi niewielki apartament w hotelu Pierre.

- Może mnie przygarniesz - roześmiałem się. - Nie mam w Nowym Jorku żadnego mieszkania.

- Zapraszam, na jak długo zechcesz - odparła.

Przy drzwiach rozległ się brzęczyk domofonu. Alma nacisnęła guzik i odezwała się. W domofonach głos zawsze brzmi tak, jakby wydobywał się z puszkki; ten nie odbiegał od normy. Rozległ się podenerwowany głos jakiegoś mężczyzny, Alma odpowiedziała mu, a potem on mówił dalej. Na koniec Alma skinęła głową i powiedziała jedyne słowo, jakie zrozumiałem: - Dobrze.

- *El capitah* jest na dole, w podziemnym garażu. Jest z nim dwóch tajniaków. Powiedzieli mu, że przy wjeździe do garażu siedzi w samochodzie trzech podejrzanych typów. Kapitan sądzi, że to *pistoleros*, ponieważ samochód ma kolumbijskie numery. Powiedział, żebyśmy nie otwierali nikomu obcemu.

- Cholera - mruknąłem wyciągając z kieszeni pistolet. -Czy istnieje jakieś inne wejście do mieszkania?

- Dla służby przez kuchnię.

- Lepiej zastawmy je stołem. Nie chciałbym, żeby ktoś zaszedł nas od tyłu.

Alma zawołała służącą; poszedłem z nimi do kuchni i pomogłem ustawić przy drzwiach ciężki drewniany stół.

Potem wróciliśmy do salonu. Alma powiedziała coś do starej kobiety, którą kochała jak matkę. Ta zaczęła płakać, objęła Almę i ucałowała ją. Alma pocałowała ją również, powiedziała jeszcze coś po hiszpańsku, a potem służąca wyszła.

- Kazałam jej iść do swojego pokoju i zamknąć się na klucz - wyjaśniła Alma. - Powiedziałam, że przyjdzie tu policja.

- Dobrze. Może powinnaś iść razem z nią? Potrząsnęła głową.

- Muszę być tu z tobą. Nie poznasz kapitana po głosie.

- Dlaczego to robisz? - spytałem. - Czułbym się lepiej, gdybyś była bezpieczna.

- Jestem z tobą - odparła po prostu. - Uratowałeś mnie przed piraniami. Poza tym jesteśmy przyjaciółmi i kochankami.

Nie odezwałem się, tylko pochylałem i pocałowałem ją.

- Przyjaciółmi i kochankami - powtórzyłem.

Rozdział IX

Dziesięć minut - mruknąłem. - Długo każe na siebie czekać.

Alma podniosła wzrok.

- To bardzo ostrożny człowiek. Jestem pewna, że wie, co robi.

- Być może, ale zaczynam się denerwować.

Podszedłem do drzwi i wyjrzałem przez wizjer na korytarz - aż do samej windy nie dostrzegłem najmniejszego ruchu. Odwróciłem się do Almy.

- Czy można się z nim skontaktować?

- Nie, to działa tylko w jedną stronę; kiedy ktoś dzwoni tutaj.

Chwilę później przez głośnik domofonu rozległ się męski głos. Alma szybko odpowiedziała, potem znów odezwał się tamten, a w jego głosie słychać było zdenerwowanie. Alma odwróciła się i spojrzała na mnie. Na jej twarzy malowało się zdziwienie. W końcu znów powiedziała: „Dobrze” i zwolniła przycisk. Domofon zamilkł.

- Nie rozumiem - zwróciła się do mnie. - Powiedział do mnie „Alma”. Nigdy nie zwracał się do mnie po imieniu.

- Ale ty masz tak na imię?

- Tak. Wciąż jednak nie rozumiem. Kapitan starannie przestrzega wszelkich form. To nie było w jego stylu.

- Dobra, co jeszcze mówił?

- Najpierw spytał, czy spakowaliśmy się i czy masz swój neseser. Powiedziałam, że jesteśmy gotowi, na co on odparł, że zaraz przyjedzie windą. - Pokręciła głową. - Miałam wrażenie, jakby nie był sobą.

- Podejrzewam, że znalazł się w kłopotach. Gdyby było inaczej, nie wiedziałby o neseserze, ani nawet o niego nie pytał. - Przytknąłem oko do wizjera i spytałem przez ramię: - Nie powiedziałaś mu o neseserze, prawda?

- Daj spokój - obruszyła się. - Masz mnie za idiotkę? Roześmiałem się.

- Nigdy tak nie twierdziłem. Lepiej jednak spadajmy stąd jak najszybciej.

- To jedyna droga - odrzekła. - Przez kuchnię dojdziemy tylko do klatki schodowej.

Znów spojrzałem przez wizjer. Drzwi windy zaczęły się otwierać. Zawołałem Almę.

- Sprawdź, czy to twój przyjaciel.

- To on - odparła Alma, wyglądając na korytarz. - Ale ktoś z nim jest.

Wyrząłem jeszcze raz. Przyjaciel Almy nie był wysoki; miał na sobie policyjny mundur i oficerki na wysokich obcasach, które sprawiały, że był wyższy. Klapę skórzanej kabury miał odpiętą - nie dostrzegłem w niej jednak pistoletu. Nie trzymał też go w dłoni. Idący za nim człowiek był wyższy o głowę i zdawał się go popychać.

Przez drzwi dobiegł nas głos kapitana:

- Alma! *Estoy Felipe!*

- Co robimy? - spytała szeptem.

Stałem przy drzwiach tak, aby zasłoniły mnie przy otwieraniu. Uniosłem oburącz odbezpieczony pistolet i ruchem głowy wskazując drzwi, szepnąłem:

- Wpuść go.

Alma przekręciła gałkę i cofnęła się o krok. Kapitan został najwyraźniej wepchnięty do środka, bo omal na nią nie wpadł. Nie widziałem drugiego mężczyzny-wciąż zasłaniały go drzwi.

- *Americano!* - krzyknął ostro.

Alma nie odpowiedziała, tylko ruchem ręki wskazała sypialnię. Krzyknął coś jeszcze po hiszpańsku. Nie rozumiałem słów, ale mogłem domyślić się z tonu jego głosu. Alma pokręciła głową. Znów krzyknął i ruszył w jej stronę. Przyszła kolej na mój ruch.

Uderzyłem go z całej siły w rękę, w której trzymał spluwę. Upadła na podłogę, a mężczyzna rzucił się na mnie. Podczas służby wojskowej nauczyłem się paru rzeczy. Odskokczyłem i kopnąłem go w jaja. Facet jęknął i zgiął się wzdłuż; powaliłem go i przystawiłem pistolet do skroni. Spojrzał na mnie, a potem wyciągnął rękę, próbując dosięgnąć swojego pistoletu.

Policjant był jednak szybszy. Podniósł pistolet z ziemi i spojrzał na mnie mówiąc:

- To mój.

- Dobra -odparłem.

Pochylił się nad leżącym i wykręciwszy mu rękę za plecami, założył kajdanki. Potem przewrócił go na plecy i powiedział coś ostro. Mężczyzna odwarknął, na co policjant huknął go pistoletem w twarz. Z nosa i z ust zaczęła sączyć się strużka krwi. Policjant zamierzył się drugi raz, ale Alma przerwała mu:

- Nie na tym białym dywanie. Nie spierze się. Podniósł na nią wzrok, ale minęła chwila, zanim dotarło do niego to, co powiedziała. Uśmiechnął się lekko i skinął głową. Pomimo niskiego wzrostu był silnym facetem. Bez wysiłku przeciągnął mężczyznę przez cały pokój aż na balkon, a tam znów go uderzył. Tym razem krew popłynęła silnym strumieniem. Policjant krzyknął coś. Mężczyzna bez słowa pokręcił głową.

- Wie pan coś o nim? - spytałem.

- Nic, prócz tego, że jest Kolumbijczykiem - odpowiedział po angielsku kapitan. - Myśleliśmy, że jest ich tylko trzech. Obserwowaliśmy ich. Ten ukrył się w garażu i dopadł mnie, kiedy wysiadłem z samochodu.

- Gdzie są pańscy ludzie? - spytałem.

- Na ulicy; obserwują tamtych - odparł, po czym zwrócił się po hiszpańsku do Almy.

Odpowiedziała mu po angielsku.

- Nie mam pojęcia, czego od nas chcą. Może słyszeli o tamtym człowieku to samo co wy.

Spojrzałem na nią z uznaniem. Nie wymieniła nazwiska Angela. Nie było powodu.

- Czy spotkała pani kiedyś tego Angela di Stefano?
- Możliwe - odparła. - Może gdzieś na dyskotecę, na przyjęciu. Obracam się wśród wielu ludzi.
- A tego człowieka - spytał, wskazując głową na mnie - jak pani poznała?
- Przez szkolną koleżankę ze Stanów. Zadzwoiła do mnie i poprosiła, żebym się nim zajęła.

Kapitan zlustrował ją wzrokiem.

- Wyjechała z nim pani prawie na dwa tygodnie. Gdzie byliście?
- Zabrałam go do siebie na wieś.
- I jedzie z nim pani do Stanów? To wygląda na szybki romans.
- Miłość czasem przychodzi nagle i w tajemniczy sposób -powiedziała.
- Zna się pan na broni? - zwrócił się do mnie kapitan.
- W Wietnamie służyłem w jednostkach specjalnych.
- Skąd ma pan pistolet?
- Ode mnie - odpowiedziała szybko Alma. - Dostałam go od generała.

Zamilkł na chwilę, a potem wrócił do Kolumbijczyka. Spytał go o coś po hiszpańsku, ale znów nie uzyskał odpowiedzi.

Wtedy podniósł go i przycisnął brzuchem do poręczy balkonu. Trzymając jedną ręką pistolet przytknięty do głowy więźnia, drugą zdjął mu kajdanki. Nie zabierając pistoletu, krzyknął na niego ponownie. Mężczyzna odpowiedział coś, co zabrzmiało jak przekleństwo.

Kapitan jakby wzruszył ramionami, a potem uderzył go z całej siły pistoletem w tył głowy tak, że zawisł na poręczy tułowiem na zewnątrz. Zręcznym ruchem wepchnął mu rękę między nogi i podciągnął w pachwinie. Kiedy cofnął się o krok, Kolumbijczyk wypadł przez poręcz i zleciał z krzykiem na ulicę.

Kapitan wychylił się. Z dołu dobiegł głuchy łoskot. Gdy odwrócił się do nas, jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

- Co za niezdarny, tępą skurwiel - mruknął z dezaproba-

ta. - Wylądował na dachu nowiutkiego samochodu i zniszczył go.

Nie odezwaliśmy się.

Schował broń do kabury.

- Mógł nas wszystkich pozabijać - stwierdził.

- Tak, wiem - odparłem.

- Chce pan spojrzeć? - spytał. Pokręciłem głową.

- Miałem dość takich widoków w Wietnamie. Skinął głową.

- Świetnie. Wracajmy do środka. Wezwę więcej ludzi i sprawdzę wasze dokumenty.

Nie ma to jak jazda na lotnisko w towarzystwie policyjnej eskorty. Na przedzie dwa motocykle z wyjącymi syrenami, potem czarno-biały radiowóz, za nim my w samochodzie kapitana i na końcu jeszcze jeden czarno-biały radiowóz. Mknęliśmy ulicami, a przechodnie przyglądali się nam z zaciekawieniem.

Siedzieliśmy z Almą na tylnym siedzeniu, kapitan Gonzales z przodu, obok mundurowego policjanta za kierownicą. Kapitan odwrócił się.

- Chyba wszystko w porządku. Kolumbijczyków ani śladu.

- Ciekawe, dokąd pojechali - odezwałem się.

- Któż to wie? Moi ludzie zgubili ich w mieście, kiedy uciekli po tym, jak zdarzył się ten wypadek.

„Wypadek” to łagodny sposób opisanie tego, co zaszło. Tym bardziej, że przecież sam wypchnął tego sukinsyna za poręcz. Kapitan spojrział na zegarek.

- Już nie zdążycie na Braniffa. Odleciał o drugiej, a następny lot jest dopiero jutro.

- Niech to cholera! - zakląłem.

- Nie ma się czym przejmować - uspokoił mnie. - Air Peru odlatuje do Nowego Jorku o czwartej. Mogę was nim wysłać.

Spojrzałem na Almę. Skinęła głową.

- To dobre linie. Mają pierwszą klasę. Latałam nimi wiele razy.

- W porządku - zgodziłem się.
 - Musi pan kupić bilet - odparł, wyciągając rękę. - Proszę mi dać pieniądze i dokumenty, a ja wszystko załatwię. Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni kurtki dwa tysiąc dolarowe banknoty, paszport oraz wizę wyjazdową i podałem kapitanowi.
 - Niech pan kupi bilet dla Almy, skoro już się pan tym zajmuje.
 - Oczywiście. - Wsunął dokumenty i pieniądze do kieszeni. - Teraz jest trzecia. Posadzę was w poczekalni dla VIP-ów.
 - Dziękuję.
- Kapitan popatrzył na Almę.
- Kiedy zamierza pani wrócić?
 - Nie zastanawiałam się. Możliwe, że skoczę jeszcze na krótko do Paryża.
 - Ach tak - odparł. - Proszę wysłać teleks, kiedy będzie pani gotowa do powrotu. Zabiorę panią z lotniska.
 - Jest pan bardzo uprzejmy, Felipe - uśmiechnęła się Alma. - Dam panu znać.
- Siedzieliśmy w poczekalni dla VIP-ów w towarzystwie tajniaka, kapitan zaś poszedł załatwiać formalności. Alma zapaliła papierosa, a hostessa przyniosła nam dwie lampki szampana.
- Przepraszam na moment - powiedziałem. - Muszę iść do kibla.
 - Wracaj szybko.
- Poszedłem do toalety i odpiąłem rozporek opierając się o pisuar. Opróżniałem się z ulgą, dopóki nie spojrzałem w lustro; wtedy omal nie oblałem sobie spodni. Szybko zasunąłem rozporek i odwróciłem się. Przy drzwiach, opierając się o futrynę, stał Vince.
- Co ty tu robisz, do diabła? - zawołałem. - Myślałem, że wyjechałeś.
 - Musiałem jeszcze zostać. Rozmawiałeś z wujem?
 - Tak.
 - To dobrze. Powiedziałeś mu, co zrobiłem?
 - Oczywiście. Był bardzo zadowolony.

- W porządku - odparł wyciągając z kieszeni pistolet z tłumikiem. - Nie mogę pozwolić na to, żebyś mógł powiedzieć, że to nieprawda, iż was oszukano i że to była koka, a nie liście tytoniu.

- Oszalałeś.

- Oszalałem na punkcie dwudziestu milionów - przyznał i zaczął iść w moim kierunku.

Zobaczyłem, jak drzwi za jego plecami otwierają się, a potem rozległ się stłumiony strzał. Ledwo zdążyłem odskoczyć, kiedy Vince runął przed siebie, wypuszczając pistolet z ręki. Krew i strzępy mózgu z jego roztrzaskanej głowy wpadły do pisuaru.

W drzwiach stał kapitan Gonzales.

- To jeden z tych *Colombianos*- wyjaśnił.

Nie mogłem wydobyć z siebie głosu, skinałem więc tylko głową.

- No, niech się pan stąd zabiera. Przyślę tu kogoś, żeby to uprzątnął.

Dalej milczałem.

Na twarzy kapitana pojawił się lekki uśmiech.

- Szczęściarz z pana. Czas wsiadać na pokład samolotu.

Rozdział X

Kiedy wyszliśmy z toalety, kapitan Gonzales gestem wezwał stojącego w pobliżu policjanta. Powiedział mu coś po hiszpańsku, a policjant skinął głową i stanął przed drzwiami toalety, aby nikt nie mógł wejść. Spojrzałem pytająco na kapitana.

- Będziemy musieli wezwać policję z lotniska. Chcę, żebyście byli z Almą na pokładzie, zanim przyjdą. Kiedy tu się zjawia, zaraz ściągną służby imigracyjne i utknęlibyście na dwa, trzy dni, zanim załatwiliby wszystkie formalności. Z pewnością śpieszy się pan do domu.
- Dziękuję.
- Nie ma za co. W końcu u Almy uratował mi pan życie.
- A pan uratował moje.
- To mój obowiązek, chronić życie niewinnych ludzi. Wyciągnąłem dłoń.
- Jeszcze raz dziękuję. Poszliśmy w stronę poczekalni.
- Dziwne - odezwał się kapitan. - Nie rozumiem, dlaczego ci Kolumbijczycy nas śledzili.
- Prawdopodobnie otrzymali tę samą informację, która dotarła do waszego wydziału. Szkoda, że nie wiedzą, że nie jestem tym, kogo szukają.
- Nie rozpoznał pan tego człowieka w toalecie? Pokręciłem głową.
- Nie.
- On jednak chciał pana zabić.
- Nie wiem, dlaczego - odparłem. - Jednak dzięki panu nie udało mu się.

Kapitan skinął poważnie głową.

- Moi ludzie odprowadzą was do samolotu. Nie chciałbym, żeby cokolwiek wam się stało.

- Już się czuję bezpieczniej - powiedziałem z przekonaniem.

Kapitan roześmiał się.

- Czy zamierza pan iedyś jeszcze przyjechać do Limy?

- Nie sędzę - odparłem, wtórując mu. - Ta wizyta dostarczyła mi wystarczająco dużo wrażeń.

Skinął potakująco głową.

- Myślę, że to rozsądna decyzja. - Spojrzał na mnie, kiedy wchodziliśmy do poczekalni. - Nie ma sensu, żeby wspominał pan Almie o tym incydencie w toalecie. Całe to zamieszanie i tak napędziło jej porządnego stracha.

- W samą porę - zawołała Alma. - Właśnie zamówiłam butelkę szampana.

Kapitan uśmiechnął się do niej.

- Nie zdążycie jej wypić. Załatwiłem, że wpuszczą was na pokład wcześniej.

- Po co ten pośpiech? - spytała. - Do odlotu zostało czterdzieści minut.

- Chcę, żebyście wsiedli przed pozostałymi pasażerami. Będziemy was eskortować do samego samolotu. Dwaj moi ludzie będą sprawdzać wsiadających. Zauważyli trzech mężczyzn w samochodzie z kolumbijskimi numerami.

- Myśli pan, że to mogą być tamci?

- Nie chcę ryzykować - odparł, podnosząc torbę i mniejszą walizkę, którą Alma zostawiła przy sobie jako bagaż podręczny. - Chodźmy.

Opuściliśmy poczekalnię przez wyjście służbowe. Przeszliśmy przez płytę lotniska prowadzeni przez kapitana, a towarzyszyli nam dwaj tajniacy - jeden z boku, drugi za nami. W milczeniu weszliśmy po schodkach na pokład.

Minęła chwila, zanim moje oczy przyzwyczyły się do panującego wewnątrz półmroku.

Stewardesa powitała nas z uśmiechem.

- *Bienvenido*, señorita Vargas, panie Stevens. *Estoy*, señorita Marisa.

Alma uśmiechnęła się do niej i spytała o coś po hiszpańsku. Stewardesa skinęła głową. Wyglądało na to, że się znają. Dziewczyna zaprowadziła nas na nasze miejsca. Znajdowały się w ostatnim rzędzie pierwszej klasy tuż przed przegrodą.

- Powinno być państwu wygodnie - powiedziała stewardesa. - Pierwszą klasą, prócz was, leci tylko dwoje pasażerów.

- Dziękujemy - odparłem.

- Podać szampana? - spytała.

- Tak, *gracias* - poprosiła Alma, po czym spojrzała na kapitana Gonzalesa, który stanął przy oknie. - Przyłączy się pan do nas, kapitanie?

Kapitan pokręcił głową, kładąc jej bagaże na górnej półce.

- Nie, dziękuję, jestem jeszcze na służbie.

- Jestem przekonana, że już nie ma się czym martwić.

- Przestanę się martwić, kiedy odleciecie. Zaczynają wpuszczać pasażerów; chciałbym towarzyszyć moim ludziom przy kontroli. Pijcie na zdrowie, będę z powrotem za kilka minut.

Stewardesa postawiła przed nami butelkę szampana i kieliszki. Napełniła je szybko i też poszła do wejścia.

- Świetnie się z nami obchodzą - powiedziałem, wznosząc toast. - Gonzales nie spuszcza z nas oka. Zastanawiam się, co on takiego wie, czego my nie wiemy.

- To policjant - odparła Alma. - Oni lubią sprawiać wrażenie ważnych.

- Tu chodzi o coś więcej - powiedziałem, myśląc o tym, jak szybko poszedł za mną do toalety. - Ale nie narzekam. Gdyby nie on, byłoby po nas.

- Już po wszystkim. Siedzimy w samolocie lecącym do Stanów.

- Tak- zgodziłem się, a po chwili zakląłem. - Psiakrew, nie miałem kiedy zadzwonić do wuja. Będzie się niepokoił.

- Będziesz w Nowym Jorku za dziesięć godzin. Możesz do niego zatelefonować z JFK. - Dołała szampana do kieliszków. - Odpręż się. Czeka nas przyjemny lot. DC 8 Air Peru są

wygodniejsze od 707 Braniffa, chociaż trochę wolniejsze. Będziemy mogli się wyciągnąć.

- Nigdy nie udało mi się wyciągnąć w samolocie - odparłem.

Alma uśmiechnęła się.

- To dlatego, że nigdy nie latałeś ze mną. Całą drogę będę cię trzymała za kutasa. Natrę go lekko kokainą i będziesz miał swój własny odlot.

- Ależ z ciebie dziwka.

- Nie - roześmiała się. - Peruwiańska cipka.

Ponownie stuknęliśmy się kieliszkami. Spojrzałem w stronę przejścia między fotelami, którym szło dwoje ludzi. Oboje byli w średnim wieku, bardzo dobrze ubrani. Kobieta miała na sobie palto z norek i diamentowe pierścionki na palcach obu rąk. Mężczyzna zdjął filcowy kapelusz, odsłaniając przerzedzone pasma siwych włosów; jego oczy ukryte były za przyciemnionymi szklami okularów. Przyglądałem się, jak siadają, a stewardesa podaje im szampana. Wrócił kapitan Gonzales.

- Wszystko w porządku - obwieścił. - Wszyscy już wsiedli. Samolot jest prawie pusty - z tyłu siedzi tylko czterdziestu siedmiu pasażerów.

- Może teraz wypije pan z nami lampkę szampana? - zaproponowała Alma.

- Nie, raz jeszcze dziękuję. Czeka mnie parę godzin papierkowej roboty na komendzie. - Wyciągnął do mnie rękę.

- Powodzenia, panie Stevens. Zaszczycem było poznać pana.

- To ja się czuję zaszczycony, kapitanie Gonzales - odparłem, ściskając jego dłoń. - Dziękuję za wszystko, co pan dla nas zrobił.

- *Por nada* - powiedział kapitan, po czym z szacunkiem pocałował dłoń Almy. - *Hasta luego*, señorita Vargas.

Alma skinęła głową.

- *Mil gracias, Capitah*. Czy mogę prosić pana o jeszcze jedną przysługę?

- Proszę, śmiało.

- Przylecimy do Nowego Jorku między drugą a trzecią

nad ranem. Czy byłby pan łaskaw wysłać do mojego hotelu teleks, żeby przysłali na lotnisko samochód?

- Zaraz tego dopilnuję, señorita Vargas - odparł kapitan salutując, po czym odwrócił się i odszedł.

Drzwi zamknęły się; po chwili rozległo się wycie silników. Popatrzyłem na Almę. Wyglądała przez okno.

Pochyliłem się i przez jej ramię obserwowałem, jak kapitan i jego ludzie idą w kierunku terminalu. W głośnikach rozległ się głos wyjaśniający po hiszpańsku i angielsku instrukcje bezpieczeństwa, a w tym czasie samolot kołował powoli na pas startowy.

Hamulce były jeszcze włączone, ale silniki zaczęły wchodzić na wyższe obroty. Alma chwyciła mnie za rękę. W miarę jak nabieraliśmy rozpędu, jej uścisk stawał się mocniejszy. Twarz miała bladą jak kreda. Po chwili wzbiliśmy się w powietrze.

- Ten moment zawsze napawa mnie lękiem.

Nie myślałem o tym, co powiedziała. Przypomniałem sobie, jak prosiła kapitana o wysłanie teleksu do hotelu.

Dopiero teraz uderzyło mnie, że nie powiedziała mu, do jakiego.

- Hotel Pierre - powiedziałem, kiedy położyła mi dłoń na kolanie.

- O co ci chodzi? - spytała, podnosząc wzrok.

- Nie podałaś kapitanowi jego nazwy. Alma roześmiała się.

- Mówiłam ci, przyjaźnimy się od wielu lat. Kapitan wie nie od dziś, że mój *patron* podarował mi w nim apartament.

Kiedy minęły ponad trzy godziny lotu i skończyliśmy drugą butelkę szampana, zdrzemnąłem się trochę. Obudziłem się, czując na ramieniu dłoń stewardesy. Otworzyłem oczy i podniosłem wzrok. Trzymała nową butelkę szampana.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziała. - Właśnie przelatujemy nad równikiem.

Odwróciłem się do Almy.

- Spałaś? - spytałem.

- Trochę - odparła, a tymczasem stewardesa napełniła kieliszki i poszła do innych pasażerów. Alma podniosła kieliszek, pochyliła się i pocałowała mnie.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziałem, uśmiechając się i pocałowałem ją.
 - Mam dla ciebie specjalny prezent - zachichotała i wcisnęła mi coś do ręki.
 - Co to jest?
 - Powąchaj.
 - To pachnie jak cipka i perfumy. Alma roześmiała się.
 - Zgadłeś. To moje majtki; są jeszcze wilgotne. Ściągnęłam je, kiedy zasnąłeś. Włóż je do butonierki. Wszyscy będą myśleć, że to chusteczka.
 - Jesteś stuknięta - powiedziałem, wsuwając je do kieszeni marynarki.
 - Niezupełnie. Po prostu chciałam podarować ci coś, co będzie przypominać ci moment, gdy przekraczaliśmy równik na wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów.
 - Dzięki tobie latałem jeszcze wyżej bez samolotu - odparłem śmiejąc się.
- Podeszła stewardesa.
- Zaraz podamy kolację.

Rozdział XI

Poczułem dłoń Almy na ramieniu, przekręciłem się na drugi bok i otworzyłem oczy. Leżałem w komfortowym łóżku hotelowym, a przez okno wlewało się jasne światło dnia. Alma była już ubrana. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Spałeś jak zabity.

Potrząsnąłem głową, żeby przepędzić resztki snu.

- Która godzina?

- Dwunasta trzydzieści. Zerwałem się z łóżka.

- Muszę zadzwonić do wuja.

- Spokojnie - odparła. - Już do niego dzwoniłam. Powiedziałam mu, że śpisz. Prosił, żebyś zadzwonił o drugiej.

Popatrzyłem na nią zdziwiony.

- Skąd miałaś jego numer?

- Nie pamiętasz? Zamawiałam dla ciebie rozmowę w Limie. Nigdy nie zapominam numerów telefonów.

- Jaki ci się wydał?

- Chyba w porządku, chociaż trochę smutny.

- Nie był zaskoczony, że to ty do niego dzwoniłaś?

- Nie - odparła i wskazała na stojący przy łóżku stolik. - Mamy sok pomarańczowy, kawę i prawdziwe amerykańskie rogaliki.

- Napiję się kawy - powiedziałem, spuszczać nogi z łóżka. Kawa była dobra - gorąca i mocna. Senność całkiem minęła. - O której wstałaś?

- O ósmej.

- Dlaczego tak wcześnie? Położyliśmy się chyba po czwartej.

- Miałam do załatwienia parę telefonów. Rozległ się dzwonek do drzwi.

- To na pewno ktoś z obsługi hotelowej - powiedziała pośpiesznie Alma - po rzeczy do prasowania. Zajmę się tym, a ty się ogól i weź prysznic. - Złapała dwie walizki i wyszła z nimi do salonu, zamykając za sobą drzwi.

Dolałem sobie kawy i z filiżanką poszedłem do łazienki. Otworzyłem apteczkę, szukając golarki, ale nie znalazłem jej tam. Przez moment zastanawiałem się, po czym owinąłem się ręcznikiem kąpielowym i poszedłem do salonu. Kiedy otworzyłem drzwi, Alma stała plecami do mnie. Po drugiej stronie stołu stało dwóch mężczyzn. Na stole, prócz walizek Almy, leżały dwie inne. Wszystkie były otwarte; Alma ze swoich walizek wyjmowała celofanowe torebki z białym proszkiem i podawała je mężczyznom, którzy wkładali je do swoich.

- Dwadzieścia dwa kilo - powiedziała; w tym momencie jeden z mężczyzn zauważył mnie i wyciągnął z kurtki pistolet.

Alma odwróciła się. Poczulem się głupio.

- Nie mogłem znaleźć golarki - wyjaśniłem.

- Odłóż broń - zwróciła się chłodno do mężczyzny. - To bratanek di Stefano.

Mężczyzna spojrzał na mnie.

- Ten, który był razem z Angelem?

- Tak - odparła, a potem zwróciła się do mnie: - Golarka jest w szufladzie obok umywalki.

Skinąłem głową i zamknąłem za sobą drzwi. Wróciłem do łazienki. Nagle zrobiło mi się niedobrze i zwymiotowałem do sedesu. Wszystko przestało mieć dla mnie sens.

Podszedłem do umywalki i spojrzałem na swoje odbicie w lustrze przesuwanych drzwiczek apteczki. Wyglądałem żałośnie, błądy i spocony, w ustach czułem niesmak. Odsunąłem drzwiczki i wyjąłem buteleczkę latorisu, którą wcześniej tam zauważyłem.

Opróżniłem całą, zanim udało mi się dobrze wypłukać usta. Znalazłem golarkę - starą, dwuostrzową Gillette, ale nie

było kremu do golenia, więc namydliłem twarz damskim mydłem, które leżało na misce. Golarka była niezła, ale tak trzęsły mi się ręce, że pozacinałem się w paru miejscach. Wytarłem ręcznikiem drobne plamki krwi, a potem poprzyklejałem w miejscach zacięć kawałki mokrego papieru toaletowego, aby powstrzymać krwawienie.

Usiadłem na sedesie czekając, aż papier toaletowy wyschnie, a potem wszedłem do kabiny i wziąłem lodowaty prysznic. Wyszedłem trzęsąc się z zimna i owinałem się grubym ręcznikiem kąpielowym. Spojrzałem jeszcze raz w lustro. Nie było najgorzej. Szybko uczesałem się i poszedłem do sypialni.

Alma siedziała na skraju łóżka. Podniosła wzrok, kiedy wszedłem.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Świetnie - odparłem, otwierając szafę. W środku znalazłem tylko garnitury i buty. Wyciągnąłem walizkę i położyłem ją na łóżku.

- Twoje koszule, bielizna i skarpetki są tam, w dolnej szufladzie - powiedziała, wskazując na komodę.

Patrzyła w milczeniu, jak się ubieram, a potem wrzucam ubrania do pustej walizki. Nie pakowałem się zbyt starannie, ale udało mi się ją zamknąć. Podniosłem walizkę z łóżka i ruszyłem w stronę drzwi.

Alma dalej siedziała na krawędzi łóżka.

- Dokąd idziesz? - spytała.

- Do dawnego mieszkania mojego ojca.

- Poczekaj, proszę. Wszystko ci wytłumaczę.

- Co jeszcze mi wytłumaczysz? Jakimi nowymi kłamstwami?

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi i kochankami.

- Pieprzyliśmy się parę razy po przyjacielsku, ot i wszystko.

- Walczyliśmy o życie.

- Ale przeżyliśmy - odparłem rozdrażniony - a ty nie powiedziałaś mi, jaką odgrywasz w tym wszystkim rolę. Myślałem, że jedziesz do Nowego Jorku ze mną, a nie po to, żeby przewieźć dwadzieścia dwa kilo kokainy.

- To była dostawa dla wspólników twojego wuja.
- A ty, rzecz jasna, nic za to nie dostałaś. Byłem kompletnym idiotą.
- Twój wuj - odparła cicho - zawarł z generałem wieloletnią umowę. Ja stanowiąłam jej część. Po śmierci generała dalej pracowałam dla twojego wuja. W jaki inny sposób mogłam, twoim zdaniem, zarabiać na życie? Generał zostawił mi wszystko prócz pieniędzy.
- Jaką rolę odgrywał w tym Angelo? - spytałem.
- Przez ostatnie pięć lat był moim kontaktem, a ja jego. Potrzebował kogoś, komu mógł zaufać i kto znał hiszpański.
- Byliście kochankami?
- Niezupełnie. Powiedziałabym, że raczej wspólnikami. Pieprzyliśmy się od czasu do czasu, ale nic to dla nas nie znaczyło.
- Mój wuj wiedział o tym, co robisz?
- Tak. Generał po raz pierwszy wziął mnie do Nowego Jorku, kiedy ukończyłam siedemnaście lat.
- I cały czas byłaś kurierem?
- Dobrze to zorganizowali po obu stronach, w Limie i w Nowym Jorku. Nadawałam się do tego idealnie - najpierw jeździłam do szkoły, potem, jako modelka, wyjeżdżałam często do agencji.
- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?
- Nie mogłam. Nie wiedziałam, ile wiesz, więc musiałam milczeć. Angelo też nic ci nie powiedział.
- O Jezu - jęknąłem, kręcąc głową, a potem znów spojrzałem na Almę. - Kapitan też w tym siedzi?
- Tak. Jednym z jego zadań było chronienie cię na lotnisku. Pamiętasz, jak poszedł za tobą do toalety? Skinąłem głową.
- Dobrze się stało - ciągnęła. - Zauważyłam, że Vince cię śledzi, i powiedziałam mu o tym.
- Więc wiesz, co tam się stało?
- Tak. Twój wuj mi powiedział, kiedy rozmawialiśmy rano przez telefon.
- Co jeszcze ci powiedział?

- Żebym zadzwoniła do kapitana i powiedziała mu, że ma wysłać kokę facetowi nazwiskiem Ochoa w Medellm. To ten sam, do którego jeździł Angelo. - Wzięła papierosa z nocnej szafki i zaciągnęła się powoli. - Sugerowałam mu, że powinnam ci powiedzieć. Nie zareagował, powiedział tylko, żebyś do niego zadzwonił o drugiej.

- Nie wiem, czy chcę z nim rozmawiać.

- On ciebie kocha. I potrzebuje. Tym bardziej teraz, kiedy Angelo nie żyje.

Milczałem.

- A co ze mną? - spytała. - Przeżyliśmy coś niezwykłego. Ja też cię potrzebuję.

Spojrzałem jej prosto w oczy i dostrzegłem w nich coś jakby łzy.

- To straciło dla mnie sens. Dasz sobie radę, zawsze sobie dawałaś. A ja nie potrafię żyć w twoim świecie.

- Musisz jednak coś czuć - powiedziała ochryłym głosem. - Jeśli nie w stosunku do mnie, to przynajmniej do wuja.

Jesteście przecież rodziną.

- Rodzina nie dała mi nic prócz smutku - odparłem. -Powiedz wujowi, że jeśli chce ze mną rozmawiać, będę w dawnym mieszkaniu ojca.

Odwrociłem się, żeby Alma nie dostrzegła moich łez, podniosłem walizkę i wyszedłem.

Rozdział XII

Mieszkanie mojego ojca oddalone było od hotelu Pierre zaledwie o dziesięć minut jazdy taksówką, na drugim końcu Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy, przed Siedemdziesiątą, przy Central Park West. Znajdowało się w starej kamienicy czynszowej, w niczym nie przypominającej nowych budynków wznoszonych na East Side. Było to komfortowe mieszkanie na dziesiątym piętrze, wysokie, z dwoma sypialniami, salonem, jadalnią, kuchnią i dwoma łazienkami. Ojciec kupił je po śmierci matki. Nie był w stanie mieszkać w domu, w którym spędził z nią dużą część życia. Po przeprowadzce zrobił dla mnie sypialnię, chociaż większość czasu spędzałem poza domem, w szkolnym internacie. Kiedy wysiadłem z taksówki, podszedł do mnie Barney, portier.

- Witam w domu, panie Jed - powiedział z uśmiechem i wziął moje walizki.

Mówił do mnie „panie Jed”, odkąd się wprowadziliśmy. Miałem wówczas dwanaście lat.

- Jak się masz, Barney - zapytałem go.

- W porządku, panie Jed - odparł, prowadząc mnie przez hol do windy. - Trochę dolega mi artretyzm, ale jakoś sobie radzę.

- To dobrze - powiedziałem, wsuwając mu do ręki dziesięciodolarowy banknot.

Portier wstawił walizkę do windy i nacisnął guzik mojego piętra.

- Powinien pan zastać porządek. Sprzątaczką była wczoraj.

Wszedłem do mieszkania i rzuciłem walizkę na podłogę w przedpokoju. Barney miał rację. Było posprzątane. Wszedłem do salonu i otworzyłem okna. Świeże powietrze z Central Parku dobrze mi zrobiło. Wziąłem walizkę i przeszedłem do sypialni. Otworzyłem okno i wyjrzałem. Za parkiem widoczne były wieże Sherry Netherland, a za nimi dach Pierre'a na Piątej Alei.

Rozpakowałem walizkę i wrzuciłem ją na dno szafy, potem zdjąłem kurtkę i powiesiłem na krześle. Wziąłem neseser, przeszedłem do jadalni i położyłem na stole.

Otworzyłem go i sprawdziłem, czy są pieniądze. Siedemnaście tysięcy dolarów. Zza przegródki wyjąłem paszport Angela oraz portfel z kartami kredytowymi i prawem jazdy. Z zasuwaney kieszonki wyciągnąłem Rolex.

Przyglądałem mu się przez chwilę. Miał ciemnogrnatową tarczę z diamentami na jedyńce, szóście i dziewiątce. Na trójce znajdowało się okienko z datą. Na odwrocie przeczytałem wygrawerowaną drobnym pismem dedykację: „Ukochanemu synowi Angelowi na dwudzieste pierwsze urodziny - Tatuś”.

Schowałem zegarek na miejsce. Ciągle jeszcze byłem zły na wuja, ponieważ i on był zamieszany w tę grę. Był jednak bratem mojego ojca, Angelo zaś moim kuzynem. Czy tego chciałem, czy nie, byliśmy rodziną.

Zamknąłem neseser, przeszedłem do salonu i położyłem go na biurku ojca obok podwójnej srebrnej ramki z fotografią ojca z jednej strony, a z drugiej, matki. Przyjrzałem się jej. Miałem dziewięć lat, kiedy umarła. Zawsze miałem poczucie winy, ponieważ nie pamiętam jej zbyt dobrze. Potem spojrzełem na fotografię ojca. Poczuję się dziwnie - po raz pierwszy zauważyłem, jak bardzo podobny był do wuja.

Westchnąłem, poszedłem do kuchni, wziąłem butelkę Courvoisiera i nalałem sobie. Koniak spłynął mi do żołądka; zrobiło mi się ciepło, ale nie poczułem się lepiej.

Usiadłem przy biurku, pociągnąłem drugi łyk koniaku, po czym podniosłem słuchawkę telefonu. Zadzwoiłem do Pierre'a.

- Pani Vargas wyszła - poinformowała mnie profesjonalnie uprzejmym głosem recepcjonistka.

- Powiedziała, kiedy wróci? - spytałem.

- Nie.

- Czy mogłaby pani przekazać, że dzwonił Stevens? Mój numer...

- Zostawiła dla pana wiadomość - przerwała mi. - Prosiła, żeby przekazać panu, iż po południu leci do Francji.

- Dziękuję. - Odłożyłem słuchawkę. Zastanawiałem się przez chwilę, a potem spojrzałem na fotografię ojca.

- Co mam teraz zrobić, tato?

Fotografie jednak nie udzielają odpowiedzi. Ojciec tylko uśmiechał się z mądrą miną. Łyknąłem jeszcze trochę koniaku i dalej przyglądałem się zdjęciu. Może zaczynałem być pijany, ale wydawało mi się, że stał się jeszcze bardziej podobny do swojego brata. Zadzwoił domofon.

- Panie Jed, tu Barney - rozległ się głos w słuchawce. - Jest tu pana wuj, pan di Stefano.

- Dobrze, Barney - odrzekłem. - Wpuść go.

Odstawiłem kieliszek na biurko, poszedłem do przedpokoju i otworzyłem drzwi. Poczekalem, aż wuj wysiądzie z windy. Za nim szło dwóch ochroniarzy. Uniosłem rękę.

- Bez nich - powiedziałem. - Chcę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

Dał im znak ręką i zostali w korytarzu. Odsunąłem się, wpuściłem go do środka i zamknąłem drzwi.

Mój wuj był potężnej postury. Zanim zdążyłem się odsunąć, chwycił mnie w ramiona i ucałował w oba policzki.

- Synu.

- Wuju - odparłem sztywno. Pociągnął nosem.

- Piłeś.

- Trochę koniaku. Napijesz się?

- Nie. Wiesz, że rzadko kiedy pijam przed szóstą.

- Zapomniałem - odparłem i poprowadziłem go do salonu. Otworzyłem neseser Angela.

Wuj milczał.

- To wszystko jest własnością Angela - zacząłem. - Zostało siedemnaście tysięcy dolarów. - Otworzyłem przegródkę.
- Tu jest jego prawo jazdy, paszport i karty kredytowe. - Odsunąłem suwak kieszonki i wyjąłem zegarek.
- Wuj wziął go powoli do ręki i przeczytał napis na kopercie. Wówczas wybuchnął zdławionym płaczem, a po policzkach zaczęły mu spływać łzy.
- Objąłem go i drżącego zaprowadziłem na fotel przy biurku.
- Przykro mi, wuju Rocco - powiedziałem zduszonym głosem. - Naprawdę mi przykro.
- Wuj ukrył twarz w dłoniach.
- Nie mogłem w to uwierzyć. Aż do tej chwili nie wierzyłem.
- Proszę, wuju Rocco. Musisz być silny. Potrząsnął głową, trzymając dalej twarz w dłoniach.
- Mój wspaniały syn nie żyje. Odszedł. Nie mam syna. Nie mam potomka. Co ja mu zrobiłem?
- Nic mu nie zrobiłeś. Zawsze go tylko kochałeś.
- Powinienem był go powstrzymać - odezwał się, podnosząc wzrok. - Mówiłem mu, żeby nie jechał. Mówiłem mu, żeby nie zabierał ciebie. On jednak zawsze musiał robić wszystko po swojemu. Powiedział, że jeśli nie pojedzie, to nikt nigdy nie będzie go szanował.
- Milczałem. Nic nie przychodziło mi do głowy.
- Czy bardzo cierpiał? - spytał, spoglądając na mnie.
- Nie. To trwało chwilę. Pokiwał wolno głową.
- Dziękuję za to Bogu. Dziękuję też Bogu, że byłeś z nim. Przynajmniej miał przy sobie rodzinę.
- Przypomniałem sobie, jak trzymałem głowę Angela. Powiedziałem „rodzina”, a potem go zastrzeliłem. Spojrzałem na wuja.
- Rodzina była z nim. Uspokoił się.
- Zamówię mszę za Angela. Przyjdziesz?
- Tak-odparłem.

- I będziesz moim synem, moim spadkobiercą - dodał wyciągając rękę.
 - Nie jestem Anielem - odparłem, podając mu swoją. -Jestem inny. Nie potrafiłbym żyć w jego świetle.
 - Będziesz bogaty, bogatszy niż w najśmielszych marzeniach. Już teraz dostaniesz dwadzieścia milionów od Angela. Zapisał ci je w testamencie. Wyznaczył cię jedynym spadkobiercą.
 - Ojciec zostawił mi na wszystko, czego potrzebuję. Nie chcę być bogaty. Można przekazać pieniądze Angela ubogim.
 - Jesteś tak samo stuknięty jak twój ojciec. Posłuchaj mnie, a cały świat stanie przed tobą otworem. Dzięki kokainie w dwadzieścia lat będziesz miliarderem.
 - Albo martwym. Podczas tej wyprawy zrozumiałem, że nie jesteśmy w stanie kontrolować świata. Prędzej czy później Latynosi przejmą interes. Oni uprawiają koka, produkują narkotyki, wkrótce też będą chcieli zająć się jego dystrybucją. Wówczas albo wypadniemy z gry, albo będzie po nas.
- Wuj przyjrzał mi się badawczo.
- Może nie jesteś tak stuknięty, jak myślałem. Co w takim razie chcesz robić?
 - Ojciec prowadził dobry interes. Wynajmował samochody. Ja myślę o czymś podobnym. Linie lotnicze rozrastają się z roku na rok. Aby mieć samoloty, potrzebny jest kapitał, a kapitał trudno zdobyć. Ten pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy latałem TWA i zauważyłem, że w każdym samolocie przy kabinie pilotów wisi metalowa tabliczka z napisem: „Samolot stanowi własność Hughes Aircraft Corp., dzierżawa H.A.C.”.
 - Nie rozumiem - odparł wuj, kręcąc głową.
 - Hughes ma tylko TWA. Jestem pewien, że wiele innych linii chciałoby pójść na podobny układ.
 - Wynajem samolotów! Do tego potrzeba kupę forsy.
 - Z pewnością byłbyś w stanie coś załatwić. Możemy zacząć już od dwustu milionów - roześmiałem się.
 - Muszę o tym pomyśleć.

- Nie ma mowy - zaprotestowałem. - Nawet nie mógłbyś wejść do tej branży. Linie lotnicze są dokładnie kontrolowane przez siedem agencji rządowych. Zanim wziąłbyś się do czegoś takiego, musiałbyś wycofać się z interesu.

- Chyba jednak jesteś stuknięty - odparł wuj. - Na pieniądzech nie jest napisane, skąd pochodzą.

- Wiadomo jednak od kogo.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy zamówię mszę - powiedział wstając.

- Przyjdę na pewno.

Wuj ruszył w stronę drzwi, a potem odwrócił się.

- Wiesz, że ta dziewczyna wyjechała do Francji?

- Wiem.

- To miła dziewczyna, ale nie dla ciebie.

- A jaka dziewczyna byłaby dla mnie? - spytałem.

- Angelo znał miłą dziewczynę, z porządnej sycylijskiej rodziny. Sądzę, że miał zamiar kiedyś się z nią ożenić.

- Z porządnej sycylijskiej rodziny?

- Z bardzo porządnej sycylijskiej rodziny. Może kiedyś uda mi się ciebie z nimi poznać.

- Dziękuję, wuju Rocco. Czemu nie.

Objęliśmy się i tym razem ja go też pocałowałem. Otworzyłem drzwi i poczekałem, aż zniknie w windzie, a za nim obaj ochroniarze.

Capo Di Tutti Capi Emeritus I

Nikt nie był w stanie zabić wuja Rocco. Nie to, żeby nikt nie próbował-noże, broń palna, samochody-pułapki. Wuj Rocco miał szósty zmysł. Postanowił sobie, że nie umrze w ten sposób.

- Starzeję się - powiedział. - Teraz, kiedy Angelo nie żyje, a ty nie chcesz wejść do interesu, nie mam komu go zostawić. Po co miałbym dalej walczyć?

Spoglądałem na wuja przez dłuższą chwilę. Siedzieliśmy przy stoliku w restauracji Palm na Drugiej Alei. Jego ochroniarze siedzieli parę stolików dalej. Wuj Rocco nosił na rękawie marynarki czarną opaskę.

- Nie wiem, wuju. Ojciec mówił mi dawno temu, że tak naprawdę nigdy nie wycofasz się z interesu.

- Co on tam wiedział? - mruknął wuj, nawijając na widelec potężną porcję makaronu. - Dawne czasy minęły, mamy lata siedemdziesiąte. Jesteśmy ucywilizowanymi ludźmi interesu. Zawarłem już umowę z pięcioma rodzinami.

- Co to znaczy? Już nie będą chcieli cię zabić?

- Naoglądałeś się za dużo filmów - odparł wuj Rocco. Odkroiłem kawałek befsztyka. Był krwisty, dokładnie taki, jak lubię.

- Dalej nic mi nie powiedziałaś.

- Przenoszę się do Atlantic City - oświadczył.

- Dlaczego akurat tam? Zawsze wydawało mi się, że chciałeś wycofać się do Miami.

- To nie takie proste - wyjaśnił. - Miami jest kontrolowane przez Chicago. Bonanno załatwili mi opiekę nad związka-

mi hotelarzy i restauratorów w Atlantic City. To prosta robota, w sam raz dla mnie. Nie mam już ochoty zapracowywać się.

Powoli przeżulem następny kęs.

- A co ty dajesz im w zamian?

- Przejmą moją działalność tutaj. Nie mam nic przeciwko temu. Będę miał spokój.

- To kupa szmalu.

- Mam kupę szmalu - odparł z uśmiechem. - Coś koło pół miliarda dolarów.

Zamilkłem. Nie mogłem uwierzyć, że aż tyle, ale wiedziałem, że to prawda. Wuj nie okłamałby mnie w tej sprawie.

- Co jeszcze zamierzasz robić?

- Zaczę inwestować. Wszystko, co teraz mam, to żywa gotówka. Mogę zrobić, co tylko zechcę. - Wuj dokończył makaron i wypił kieliszek czerwonego wina. - Dlaczego nie jesz? - spytał.

Odkroiłem następny kawałek befsztyka.

- Nie rozumiem. Skoro możesz robić, co tylko zechcesz, to dlaczego decydujesz się, żeby pilnować paru zasranych związków na takim zadupiu?

Wuj pokręcił głową.

- Nic nie rozumiesz - powiedział, jakby wyjaśniał coś dziecku. - Znam się z tymi ludźmi całe życie. Nie mogę odmówić, kiedy proszą mnie o pomoc.

- Możesz wpaść za jakiś drobiazg tak samo jak za duży interes, może nawet gorzej. Pó co ryzykować?

Wuj dolał sobie wina.

- Wiem, co robię - odparł rozdrażnionym głosem. - Mam lepsze koneksje niż Bonanno i inne nowojorskie rodziny.

Za dziesięć lat Atlantic City będzie kwitnącym interesem.

- Więc, tak naprawdę, nie wycofujesz się.

- Wycofuję się - odparł z uśmiechem.

Przyglądałem się, jak popija wino. Nie miałem zielonego pojęcia, co mu chodzi po głowie, ale znałem go. Mój wuj był na swój sposób geniuszem. Wiedział dokładnie, do czego zmierza.

- A jak tobie się powodzi? - spytał.

- Nieźle. Udało mi się nakłonić pięć poważnych banków do udzielenia mi dziesięciomilionowego kredytu. To plus moje dwadzieścia, daje mi siedemdziesiąt milionów.

- No, całkiem ładnie. To ci wystarczy?

- Nie: Potrzebuję minimum ćwierć miliarda.

- Skąd masz zamiar wziąć tyle pieniędzy?

- Od ciebie - odparłem.

Wuj spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Zwariowałeś? Roześmiałem się.

- Sam powiedziałaś, że masz kupę forsy. I że chcesz zainwestować ją legalnie. Moja działalność jest legalna.

- Jeszcze mi nie odbiło - mruknął wuj. - Gdybym chciał wywalić moje pieniądze w błoto, sam bym sobie poradził.

- Miałbyś dziesięć procent odsetek i piętnaście procent zysku. Rocznie mógłbyś wyciągnąć czterdzieści milionów brutto. Legalnie.

- Musisz mi to udowodnić.

- Jutro rano przyniosę ci wszystkie dokumenty. Przekonasz się.

- Zobaczymy.

- Dobrze się zastanów - nalegałem. - Mógłbyś trzymać forszę w banku i żyć sobie wygodnie w Atlantic Syfie.

- Ależ z ciebie fiut.

- Rodzina - poprawiłem go.

Wuj rzucił na stolik studolarowy banknot.

- Chodźmy.

Rozejrzałem się, szukając wzrokiem obstawy. Ich stolik był pusty. Wskazałem w jego stronę.

- Gdzie są twoi ochroniarze, wuju Rocco? Spojrzał na opuszczony stolik.

- Prawdopodobnie poszli po samochód. Poczulem niemiły ucisk w dołku.

- Chwileczkę, czy mówiłeś im, żeby wyszli?

- Nie, niby dlaczego? Zawsze przyprowadzają mi samochód.

- Oni wiedzą, że wycofujesz się z interesu? - spytałem.

- Oczywiście - odburknął. - Teraz wszyscy o tym wiedzą.
- I nikt nie kręci na to nosem? Wuj zastanawiał się przez chwilę.
- Chyba tylko „Lilo” Galante, jeden z podrzędnych bossów rodziny Bonanno. Nigdy mnie nie lubił. Ale nic nie może zrobić, siedzi w więzieniu.
- Czy nadal utrzymuje kontakty z rodziną?
- Owszem - odparł wuj. - Wielu jej członków chciałoby, żeby po wyjściu na wolność został bossem. - Przerwał i po chwili namysłu dodał: - Słyszałem, że nie chciał dać mi nawet kawałka Atlantic City. To zachłanny sukinsyn.
- Czy myślisz o tym samym co ja? - zapytałem. Skinął głową.
- Tak. Wyjdziemy na korytarz przez kuchnię, a potem schodami na górę. Przejdziemy po dachu do następnego budynku.

Doszliśmy słabo oświetlonym korytarzem do starych, rozsypujących się schodów i weszliśmy po nich na dach. Wuj Rocco z trudem łapał oddech.

- Dobrze się czujesz? - spytałem.
- To już nie ta kondycja - mruknął niechętnie. Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął dwa srebrne pistolety.
- Poradzisz sobie z nim? - spytał, podając mi jeden z nich.
- Tak-odparłem.

Noc była ciemna, musieliśmy więc zachować ostrożność. Na szczęście stare budynki mieszkalne stawiano ciasno obok siebie, toteż można było bez trudu przejść z dachu na dach. Na każdym z nich próbowaliśmy otworzyć wyjście ewakuacyjne, ale udało nam się dopiero na czwartym.

Zeszliśmy do kompletnie ciemnej klatki schodowej. Budynek był opuszczony, tylko na schodach słychać było chrobotanie szczurów. Kiedy zeszliśmy na drugie piętro, uderzył nas w nozdrza ostry zapach chińskich przypraw.

- Na dole jest chińska restauracja - stwierdziłem. Wuj parsknął z obrzydzeniem.
- A na schodach szczury. Właśnie dlatego nigdy nie jadam u Chińczyków.

- Czegoś tu nie rozumiem. Budynek zamykają, a zostawiają restaurację.
 - To normalne - odparł. - W tej okolicy w połowie domów jest tak samo. Za pieniądze wszystko da się zrobić.
- Na parterze dostrzegliśmy migoczące po suficie światło. Przez otwarte drzwi po cichu wśliznęliśmy się do kuchni. W środku pracowało kilku mężczyzn. Nie zauważyli nas. Frontowymi drzwiami wyszliśmy na ulicę.
- Nie wychylaj się za bardzo - powiedział wuj. - Zobacz tylko, czy są tam moi chłopcy.
- Wyrząłem za róg budynku. Przed restauracją Palm and McCarthy stało kilka samochodów.
- Nie widzę ich.
 - A co z moim wozem?
 - Stoi kilka czarnych limuzyn, ale wszystkie wydają mi się takie same. Nie wiem, która jest twoja.
 - Sam zobaczę - rzekł wuj i wyrzął mi przez ramię, po czym cofnął się. - Tam stoi. Zaparkowany na samym rogu pod latarnią. - Zaklął. - Te skurwiele chcą mnie wystawić. Normalnie nie zaparkowaliby w takim miejscu.
 - Co robimy? - spytałem.
 - Pał ich lichem. Mam jeszcze trochę przyjaciół w mieście. Wracajmy do żółtków, muszę zatelefonować.
- Ruszyłem za nim korytarzem; do chińskiej restauracji weszliśmy przez kuchnię. Paru Chińczyków wydawało się zaskoczonych naszym widokiem, ale nikt się nie odezwał. Usiadłem przy barze i zamówiłem dwie szkockie, a wuj poszedł do telefonu. Po chwili wrócił, wypił swoją whisky i zamówił następną.
- Musimy poczekać - wyjaśnił spokojnie. - Dadzą mi znać, kiedy będzie po wszystkim.
- Spojrzałem na niego zdziwiony.
- Tak po prostu?
 - Jak to w interesach.
 - Przecież oni chcieli cię zabić.
 - Ryzyko zawodowe. - Uśmiechnął się. - Nieraz już przez to przechodziłem i dalej tu jestem.

Dopiłem swoją szkocką i zamówiłem następną.

- Co z twoimi ochroniarzami? - spytałem.

- Stracili pracę.

- Zamierzasz ich wylać?

- Nie muszę. U mnie stracili pracę w momencie, kiedy wyszli z restauracji. Teraz to już nie mój problem.

Pokręciłem głową.

- Nie kapuję.

Wuj uśmiechnął się rozbawiony.

- Nie szkodzi. No, powiedz mi więcej o tej propozycji.

- Nie ma pośpiechu. Masz teraz dość własnych problemów.

- Daj spokój. Powiedziałem ci, że niedługo będzie po wszystkim. Opowiedz mi o swoim wspaniałym pomysle.

- To proste - zacząłem. - Właśnie zawarłem umowę z jedenastoma niewielkimi krajami. Wszystkie one chcą mieć własne linie lotnicze, ale nie mają na to pieniędzy. Uważają jednak, że to ważne dla ich prestiżu. Wynajmę im samoloty, tak jak ojciec wynajmował samochody.

- Skąd wiesz, że uda ci się je zdobyć?

- Płacę gotówką. To się liczy. Poza tym na dyrektora mojej spółki wziąłem generała Havena Cartera. To gruba ryba, były szef Sił Powietrznych.

- Musiał cię kosztować kupę szmalu.

- Dwieście tysięcy rocznie - odparłem. - To i tak tanio. Gdyby zechciał, dałbym mu pół miliona.

Za naszymi plecami rozległ się tubalny głos:

- Panie di Stefano!

Odwróciliśmy się na stołkach. Głos pasował do stojącego przed nami człowieka. Był to Murzyn, dwa metry wzrostu, prawie metr w barach, ubrany w szary garnitur, białą koszulę i wąski, czarny krawat. Na jego lśniacej, czarnej głowie tkwił zsunięty do tyłu filcowy kapelusz z wywiniętym rondem. Mężczyzna uśmiechał się, odsłaniając potężne, białe zęby.

Wuj Rocco odwzajemnił uśmiech.

- Witaj, Joe - powiedział i przedstawił nas: - Sierżant Joe Hamilton, mój bratanek, Jed.

Jego dłoń miała wielkość rękawicy baseballowej.

- Miło mi pana poznać - powiedział, po czym zwrócił się do wuja: - Namierzyliśmy pańskich chłopaków.

- Gdzie?-spytał wuj.

- Kawalek dalej, w samochodzie między Czterdziestą Trzecią a Czterdziestą Czwartą. Jest z nimi jeszcze dwóch ludzi. Zaparkowali po drugiej stronie, żeby widzieć pański samochód.

- Psiakrew - mruknął wuj Rocco i spojrzał na policjanta. -Rozpoznał pan tych ludzi?

- Nietutejsi, pewnie kontraktowi. Tak sędzę, bo nigdy ich nie widziałem.

Wuj skinął głową.

- Co pan z nimi zrobił?

- Nic - odparł Hamilton. - Nie wiedziałem, jakie ma pan zamiary. Kazałem ich tylko obserwować.

- Zawsze znajdzie się jakaś chciwa świnia - odezwał się do mnie wuj. - Proponowałem wszystkim uczciwy interes.

- Nauczyle mnie w szkole handlowej, że nie istnieje coś takiego jak uczciwy interes. Zawsze ktoś wygrywa, a komuś innemu wydaje się, że traci - przypomniałem sobie.

- To co będzie? - spytał wuj. Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Ktoś myśli, że go wykiwałeś.

- A co ty myślisz?

- To twoja sprawa. Nie wiem nic na ten temat. Wiem tylko, że ktoś chciał cię zabić.

- Co mam w takim razie zrobić? - spytał, spoglądając mi prosto w oczy.

- Jesteś moim wujem. Kocham cię i nie chcę, żeby stała ci się krzywda. Te gnojki to jednak tylko chłopcy na posyłki.

Jeśli im się nie uda, naślą na ciebie kogo innego. Musisz złapać węża za głowę i usadzić go.

- To nie takie proste - odparł wuj Rocco. - „Lilo” siedzi w więzieniu. Nie mogę z nim pogadać.

- Ktoś na pewno by mógł.

- A tymczasem co mam zrobić z tymi gnojkami, po prostu puścić ich? - spytał z przekąsem.

- To byłby pierwszy krok. Potem znalazłbyś kogoś, kto się rozmówi z tamtym.
 - Ja mogę z nim pogadać - wtrącił policjant. - Powiem mu, że rachunek jest prosty. W tym więzieniu na jednego białego przypada czterech czarnych, jeśli nie będzie się dobrze zachowywał, wyjedzie stamtąd nogami do przodu. Wuj Rocco milczał.
 - W porządku - powiedział po chwili.
 - Dobrze - odparłem. - Wydaje mi się, że twoi przyjaciele docenią to, co robisz. Chyba nikt nie chce nowej wojny. Uśmiechnął się.
 - Niedawno umarł Frank Costello. Piastował po Luckym urząd sędziego. Bardzo długo udawało mu się utrzymać pokdj.
 - Może tobie daliby tę posadę - roześmiałem się. - *Capo di Tutti Capi Emeritus I*. Wlepił we mnie wzrok.
 - To idiotyczne - odparł, ale widziałem, że spodobał mu się ten pomysł. Następnie zwrócił się do policjanta:
 - Może pan dotrzeć do „Lilo”?
 - Spokojna głowa - odparł. - Ta puszka jest moja.
 - W porządku, załatwione.
- Sierżant Joe Hamilton skinął głową i zadał jeszcze jedno pytanie:
- Co mamy zrobić z tymi czterema delikwentami? Wuj Rocco podniósł szklanę.
 - Spuście tym skurwielom porządny łomot i niech zdychają w rynsztoku.
- Odprawiliśmy wzrokiem policjanta do wyjścia, a potem wuj wrócił do baru i zamówił nam następną kolejkę.
- Złożyłeś mi swoją propozycję, teraz ja mam dla ciebie swoją.
 - Jaką? - spytałem.
 - Kup moją kamienicę na Sześćdziesiątej ulicy. To wielki budynek z dobrą lokalizacją. Starczy w nim miejsca na przestrzeń biurową i mieszkalną; mieszkanie na West Endzie nie jest w dobrym tonie.

- To dla mnie za drogo - odparłem. - Jeszcze nie rozkręciłem interesu.
 - Już go rozkręciłeś. Spotkajmy się u mnie jutro rano. Weź ze sobą swojego prawnika i księgowego, a ja wezwę swoich. Dam ci pieniądze, których potrzebujesz, a ty kupisz mój dom.
- Spojrzałem na wuja ze zdumieniem.
- Myślisz, że mnie na to stać?
 - Trzysta tysięcy, w porządku? Za piętnaście lat będzie wart dwa miliony.
- Sięgnąłem po jego dłoń. Wuj przyciągnął mnie do siebie i przycisnął do piersi.
- Kocham cię.
 - Ja też cię kocham, wuju Rocco - odparłem i pocałowałem go w rękę.
 - Nie - zaprotestował wyrywając ją. - Jesteśmy rodziną. Członkowie rodziny całują się w policzki.

Część druga

MIŁOSC, MORDERSTWO I AKT RICO

Rozdział I

W kabinie rozbrzmiewał łagodny szum dwóch silników czteroosobowego Beechcrafta. Przy desce rozdzielczej siedział Daniel Peachtree, dyrektor Millennium Films Corporation. Rzucił okiem na tarczę monitora, a potem na wskaźniki nawigacji satelitarnej.

- Za jakieś dwadzieścia minut powinniśmy być na miejscu - obwieścił z zadowoleniem.

- Pieprzysz od czapy - sarknął Neal.

- Co za zrzęda - mruknął do siebie Daniel. - Zawsze narzeka. - Odwrócił się do dwóch sztywno odstawionych gwiazd MTV siedzących w fotelach za nim i zawołał: - No, jak tam?

- Sramy w majty ze strachu, kotku - odparła Thyme, a jej głos w niczym nie przypominał tego z wideoklipu, który dotarł na szczyt listy przebojów. - Nie powinieneś przypadkiem, kotku, patrzeć w okno albo coś w tym stylu, zamiast odwracać się do nas jak jakiś rzymski taksówkarz?

Daniel uśmiechnął się.

- Mamy automatycznego pilota. Nic nie muszę robić, dopóki nie zaczniemy lądować.

- No to sprowadź nas na ziemię, kotku. - Thyme otworzyła torebkę, wyjęła fiolkę koki i podała ją swojej przyjaciółce. - Weź, Methanie, parę machów i dojdiesz do siebie.

Methanie kiwnęła głową i szybko wciągnęła do nosa trochę koki.

- Ratusz mi życie, kochanie.

Thyme poszła w jej ślady, a potem wsunęła fiolkę z powrotem do torebki.

- To naprawdę dobrze robi. Daniel spojrział na nią.
 - Nie uwal się za bardzo. Na lotnisku będą dziennikarze i fotoreporterzy; pamiętaj, teraz mamy zero tolerancji.
 - Pieprzę ich, nawet nie zauważą różnicy, kotku - odparła Thyme. - Całe życie jestem uwalona, nikt mnie nie widział w innym stanie - dodała. - Jesteś pewien, że będzie Donald Trump? - zapytała.
 - Jeśli masz na niego ochotę, wybij to sobie z głowy - roześmiał się Daniel. - Ma żonę Czeszkę. Może jednak zrobi dla ciebie imprezę w swoim hotelu w Atlantic City.
 - Obejdę się bez niego i jego hotelu - parsknęła. - Chcę, żeby mnie poznał z Mikiem Tysonem.
- Daniel spojrział na nią zdziwiony.
- Skąd wiesz, czy Tyson będzie chciał?
 - Słyszałam, że na treningach cały czas puszczał moje płyty. Może sobie być mistrzem, ale dla mnie to tylko panto-flarz i przerośnięty dzieciak.
 - Nie wiedziałem, że w ogóle lecisz na facetów.
 - Na facetów nie - roześmiała się. - Na chłopców. Wyzwalają we mnie instynkt macierzyński.
 - Niezły z ciebie numer - mruknął Daniel. Nad jego głową rozległ się brzęczyk. Daniel nacisnął guzik i sięgnął po słuchawki. - Dolatujemy, dzieciaki. Pamiętajcie, pełny luz.
 - Jesteśmy na luzie - odparła Thyme z uśmiechem. - Trochę blade, ale na luzie.
- Otworzyła ponownie fiolkę z koką, a potem przyszczypała sutki Methanie i swoje.
- Będą trochę sterczeć, kochanie. To wygląda bombowo na czarno-białych zdjęciach w gazetach.
- Bradley Shepherd wcisnął się w fotel za małym biurkiem w sypialni żony i przyłożył do ucha słuchawkę telefonu. Z dołu dochodziły dźwięki orkiestry, więc zatkał sobie drugie ucho ręką.
- Ci w banku powiedzieli, że nie mogą nam dać większej zaliczki niż licząc dwanaście dolarów za baryłkę. - Chucie

Smith, wspólnik Shepherd, był zdenerwowany. - Poza tym chcą, żebyśmy spłacili im sześć milionów kredytu, bo federalni i stanowi rewidenci załączą im za skórę.

- Ten pieprzony świat całkiem ześwirował - mruknął Bradley. - Ta cena jest chwilowa, ropa pójdzie w górę. Wszystko przez pieprzonych Arabusów, to oni wypychają nas z rynku.

Chuck milczał.

- Czy mamy jakiś dochód z tych piętnastu dolarów za baryłkę, które dostajemy? - spytał po chwili Bradley.

- Według naszej analizy koszty wynoszą jedenaście czterdzieści, zostaje trzy dolary czterdzieści centów. Sto tysięcy baryłek miesięcznie daje nam ledwie trzysta sześćdziesiąt tysięcy.

- Możemy wysłać dziesięć razy tyle - odparł Bradley.

- Jasne, możemy. Tylko że nikt tego nie kupi. Długo cię nie było w Oklahomie, nie masz pojęcia, co się dzieje. Wszyscy w branży dołują, w tym roku splajtowało ponad siedemdziesiąt banków. Kompletna posucha, nawet lichwiarze cienko przędą.

- Pieprzony ajatollah - zaklął Bradley. - Mówiłem Carterowi, że zrobi nas w konia. Szach przynajmniej był po naszej stronie. Trzymałby OPEC w ryzach.

- Lepiej wracaj tutaj - poradził Chuck. - Jesteś jedynym człowiekiem, który może uratować nas przed krachem. W Oklahomie nadal jesteś królem.

- Właśnie wpadłem w gówno po uszy. Po tym, jak dałem Szwajcarowi czterysta milionów, musiałem wziąć do spółki Jarvisa. Ten wykupił Szwajcara, a teraz mnie przypiera do muru. Muszę dorzucić do puli jeszcze osiemdziesiąt pięć milionów w ramach udziałów w nowej produkcji.

- Masz je? - spytał Chuck.

- Gówno mam.

- Musisz je wyłożyć?

- Tak jest w kontrakcie.

- A jeśli nie wyłożysz?

- Wtedy on ma prawo wykupić mnie.

- Za ile?

- Za połowę. Czterysta milionów.

- Czy on ma taką kupę forsy? - spytał Chuck.
 - Ma więcej szmalu od Pana Boga - odparł Bradley. Chuck milczał przez moment.
 - W takim razie nie masz wyboru. Wylądowałeś między młotem a kowadłem.
 - Nie musisz mi mówić - mruknął ponuro Bradley. - Daj mi trochę czasu, oddzwonię do ciebie za pół godziny. Powiedz im, żeby uzbroili się w cierpliwość.
- Zapalił cygaro i utkwiał wściekły wzrok w przeciwległej ścianie.
- Sypialnia jego żony była piękna. Cały dom był piękny. Jednak za piętnaście milionów dolarów w gotówce tak powinno być. Pokręcił głową ze złości. Jak w ogóle mógł postąpić tak idiotycznie?
- Charlene wyszła ze swojej garderoby. Po trzydziestu latach małżeństwa nadal wyglądała wspaniale. Ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, ciemnoblonde włosy spięte w sztywny kok, naszyjnik wysadzany diamentami i szmaragdami, drogocenna bransoletka na lewym nadgarstku, na palcu skromna, złota obrączka ślubna, a na drugiej ręce pierścionek z wielkim, dwudziestopięciokaratowym diamentem. Spojrzała na męża.
- Może zeszlibyśmy na dół - zaproponowała. - Przybyła już prawie setka naszych gości.
 - Ilu się spodziewamy? - spytał zachrypłym głosem Bradley.
 - Blisko pięciuset - odparła.
 - Psiakrew - mruknął.
 - Coś nie tak? - spytała, przyglądając się zmarszczkom na jego twarzy.
 - Ile masz odłożone w kuchennej skrytce? - spytał. Wiedziała, o co mu chodzi. W pierwszych latach po ślubie, kiedy ledwie wiązali koniec z końcem, chowali pieniądze w kuchni, w pudełku na półce za naczyniami.
 - Około dwudziestu milionów - odparła cicho. - Czy jest aż tak źle?
 - Jeszcze gorzej. Dach się wali. Gdzie je masz?

- Chase Manhattan w Nowym Jorku.
- Potrzebuję z tego jutro dziesięć milionów. Charlene nie pytała o nic.
- Możesz wziąć wszystko, jeśli chcesz.
- Spróbuję poradzić sobie z tą dychą, skarbie - odrzekł z wymuszonym uśmiechem.
- To nasze wspólne pieniądze. Zawsze to mówiłam.
- Wiem, skarbie, ale miałem nadzieję, że będziesz miała z nich większy pożytek - powiedział, a potem wstał z za biurka i pocałował ją w policzek. - Dziękuję, skarbie. Teraz możemy zejść na to pieprzone przyjęcie.

Na długim podjeździe prowadzącym do szerokiej werandy stanowiącej wejście do willi stało mnóstwo limuzyn - głównie Rolls-y, czasem trafił się jakiś Mercedes. Błyskały flesze, stłoczeni dziennikarze i fotoreporterzy przekrzykiwali się wzajemnie, zadając pozostawiane bez odpowiedzi pytania swoim ulubionym gwiazdom muzycznym i filmowym, które tłumnie przechodziły przez dwuskrzydłowe drzwi, wręczając zaproszenia dobrze zbudowanym, ubranym w smokingi ochroniarzom-

Reed Jarvis i Sherman Siddely, jego osobisty adwokat, spróbowali przejść obok nich bez okazania zaproszeń.

- Nie można wejść bez zaproszenia, panowie - zatrzymał ich grzecznie jeden z bramkarzy.
- Ten pan to Reed Jarvis - wyjaśnił Sherman. - Nie mamy zaproszeń.
- Przykro mi - odparł ochroniarz z lekkim uśmiechem. - Nie ma karty, nie ma party. Do widzenia.
- Ależ to bez sensu - rozzłościł się Sherman. - Pan Jarvis jest współnikiem Shepherda.
- Dostałem takie polecenie. Nikt nie może wejść bez tej złotej kartki.

Jarvis nie tracił spokoju. W jego rękę pojawił się tysiąc-dolarowy banknot.

- Myślę, że nic się nie stanie, jeśli pozwoli mi pan zamienić dwa słowa z panem Shepherdem.

Strażnik rzucił okiem na banknot, który po chwili zniknął w jego ręku.

- Proszę chwilę poczekać, sir. Zaraz znajdę pana Shepherda.

- Dałeś mu tysiąc dolarów - zdziwił się Sherman.

- Ten kutas dużo więcej straci - odparł łagodnie Jarvis. - Jutro rano wyleci z roboty.

Strażnik dobrze się spisał. Tuż za nim, wyciągając w powitaniu rękę, nadszedł Bradley.

- Reed, tak się cieszę, że wpadłeś. Proszę, wchodź.

Wprowadził Jarvis i Shermana do gigantycznej sali bankietowej. W odległym końcu stało podium dla orkiestry.

Wzdłuż jednej ściany ciągnął się długi stół, na którym ustawiono bogaty wybór przekąsek i gorących dań. Po przeciwnej stronie znajdowały się przeszklone drzwi prowadzące do wielkiego namiotu, pod którym mieścił się olimpijskich rozmiarów basen. Po obu stronach basenu rozstawione były stoły, kunsztownie przyozdobione srebrem i złotem.

Bradley uśmiechnął się.

- Nikt by nie dał wiary, że jakiś prostaczek z Oklahomy potrafi urządzić takie przyjęcie. Teraz zobaczą.

- Owszem, spore - odparł Reed bez entuzjazmu. Bradley przyjrzał mu się badawczo.

- Coś cię gryzie - stwierdził.

- Jutro mamy zebranie rady nadzorczej - powiedział Reed.

- To wiem - odparł Bradley.

- Doszły mnie pogłoski, że twoje koncerty naftowe lecą na łeb, na szyję. Cienko z forszą.

- Skąd masz takie wiadomości?

- Z wiarygodnych źródeł.

- Do czego zmierzasz?

- Jutro rano masz wyłożyć osiemdziesiąt pięć milionów na nowy fundusz produkcyjny.

- Nie mam ich, potrzebuję trochę czasu.

- Przykro mi - odparł sucho Jarvis. - Zawarliśmy umowę. Chcę ci jednak zaoszczędzić niezręcznej sytuacji w obecno-

ści pozostałych członków zarządu. Po prostu sprzedaj swój pakiet kontrolny za czterysta milionów. Potem możesz wracać na swoją działkę i podciągnąć koncern naftowy.

- A jeśli nie mam ochoty tego zrobić?

- Z tego, co widzę, nie masz innego wyjścia - stwierdził chłodno Jarvis.

Twarz Bradleya pozostawała bez wyrazu.

- Pozwól mi się zastanowić, Reed. Dam ci odpowiedź przed końcem imprezy.

- Niech będzie - zgodził się Jarvis. Bradley wskazał ręką na zatłoczoną salę.

- Bawcie się dobrze. Muszę przywitać się z paroma osobami.

Tłum spragnionych gości oblegał długi barek usytuowany w głębi sali balowej. Reed przyglądał się im z niesmakiem.

- Nie znoszę tego. Musi się tu gdzieś znaleźć stolik z obsługą.

- Wszystkie stoliki są już zajęte - odparł Sherman. Tuż za nimi pojawił się Daniel Peachtree.

- Słyszałem was - oświadczył z uśmiechem. - Chodźcie za mną, wiem jak to jest. Kiedy nie ma stolika, to przesrane.

W milczeniu poszli za nim do gigantycznego namiotu cyrkowego. Daniel zajmował duży stół z widokiem na ustawioną przy jednym końcu basenu scenę, na której grała szesnastoosobowa orkiestra. Nad połową basenu zbudowano podest do tańca, natomiast pozostała część pozostała odkryta, gotowa na nieuchronne kąpiele gwiazdek filmowych. Na rozciągniętych między słupami namiotu drutach wisiały kolorowe żarówki i lampiony, których światło tworzyło nastrojową atmosferę.

Daniel przystąpił do prezentacji.

- Neala znacie. - Wskazał ręką przybyłych. - Reed Jarvis, Sherman Siddely. To jest Thyme i Methanie. - Odczekał, aż obaj mężczyźni usiedli. - Mamy szkocką, wódkę i szampana, lód jest na stoliku. Jeśli chcecie coś więcej, zawołam kelnera.

- Szkocka mi wystarczy - odparł Reed, siadając obok Thyme. - Wyglądasz bardzo znajomo - zagadał ją. - Spotka-
liśmy się już kiedyś?
- Nie sądzę. - Thyme nalała mu whisky z lodem i podniosła swój kieliszek szampana. - Zdrowie.
- Zdrowie - powtórzył Reed, popijając drinka. - Śliczna jesteś. Jesteś aktorką?
- Roześmiała się z przekorą.
- Nie.
- Co w takim razie robisz?
- Nagrywam płyty. Lubię też się zabawić. A ty co robisz?
- Pieniądze.
- Cudownie. Lubię pieniądze. Może moglibyśmy się kiedyś zabawić razem?
- Reed odwrócił się do Daniela.
- Ta dziewczyna jest szalowa. Skąd ją wytrzasnąłeś?
- Naprawdę jej nie znasz? - roześmiał się Daniel. Reed pokręcił głową.
- Jej wideoklip w MTV i nagranie są na pierwszym miejscu krajowych list, a jej album to platynowa płyta.
- Przepraszam - Reed zwrócił się znów do Thyme. -Niestety, nie mam zbyt wiele czasu na radio i telewizję.
- Nie szkodzi - odparła. - Robisz to, co najważniejsze -pieniądze. Przepraszam was na chwilę - dodała wstając.
- Muszę przypudrować nos.
- Dla mnie wyglądasz doskonale - stwierdził Reed. Pocałowała go lekko w policzek.
- Głuptasek - roześmiała się, a potem spytała Methanie: -Idziesz ze mną?
- Reed odprowadził obie dziewczyny wzrokiem, a potem zwrócił się do Daniela:
- Chcę ją przetrząść. Daniel pokręcił głową.
- Z taką tylko kłopot. Jest całkiem stuknięta.
- Lubię kłopoty. Umieć sobie poradzić z takimi kobietami - nie ustępował Reed.
- Poza tym to lesba. Ta druga to jej dziewczyna.

- To jeszcze lepiej - ożywił się Reed. - Mogę się zająć obiema. To tylko kwestia forsy.
 - Forsa nic dla niej nie znaczy. Jest z tych, co wyciągają dwa miliony rocznie.
 - Będę ją miał - powiedział stanowczo Reed. - Załatw tylko, żebym po imprezie mógł odwiedzić ją do miasta swoim samochodem.
 - Postaram się, ale nie mogę niczego gwarantować - odparł.
 - Uda ci się - uciał Reed. - W końcu masz zostać CEO, kiedy przejmę ten koncern.
 - Nie wiedziałem, że sutenerstwo należy do obowiązków CEO - odparł Daniel, starając się zachować spokój.
 - Do twoich obowiązków należeć będzie to, co zechcę - odrzekł chłodno Reed, wyczuwając złość w słowach Daniela.
 - Za trzy miliony rocznie, akcje i premie, które dostaniesz, mam do tego prawo.
- Daniel milczał przez chwilę, a potem spojrzał na Neala.
- Powiedz Reedowi i Shermanowi, co słyszeliśmy w weekend.
- Neal był zdenerwowany. Zaczął się jąkać:
- Zauważyłem na przyjęciu Donalda Trumpa, Marvina Davisa i Jeda Stevensa. Pewien mój przyjaciel, makler handlowy od nieruchomości, powiedział mi, że chcą kupić należące do Millennium siedemdziesiąt akrów na drugim końcu Marina del Rey.
 - Czy byli dziś razem? - spytał Sherman.
 - Widziałem ich osobno - odparł Daniel.
 - Myślisz, że w tym celu połączyli siły? - zapytał Reed.
 - Pojęcia nie mam - odpowiedział Daniel. - Jedno wiem na pewno: żaden z nich nie lubi wspólników.
 - Ile warta jest ta parcela? - spytał Reed.
 - Millennium kupiło ją zaraz po wojnie za trzy miliony pięćset. Zamierzali przenieść tam wytwórnię, ale to nigdy nie doszło do skutku. Ostatnio Shepherd wpadł na pomysł, żeby zbudować tam coś w rodzaju wesołego miasteczka. Zamówił już plany u paru specjalistów od lunaparków - powiedział

Daniel. - Nie wtajemniczył mnie, więc nie wiem, na jakim są etapie. Słyszałem tylko od Arthura Younga, że ta ziemia warta jest dziewięćdziesiąt milionów, chociaż w księgach figuruje stara cena.

- To znaczy, że każdy z nich lekką ręką zapłaciliby sto albo więcej. Mają w zwyczaju kupować drogo i sprzedawać jeszcze drożej - stwierdził Sherman.

- Nie przejmowałbym się nimi - odparł spokojnie Reed. - Sto milionów to za mało, żeby wyciągnąć Shepherda z dołka. Słyszałem, że potrzebuje dwieście pięćdziesiąt milionów, żeby wyjść na prostą. Poza tym ma kłopoty ze swoim koncernem naftowym. Jednak skontaktuję się z nimi i powiem, że udzielę im poparcia, kiedy ubiję ten interes.

- Rozmawiałeś już z Bradleyem?- spytał Daniel.

- Wciąż zastanawia się nad naszą ofertą, ale jestem spokojny - odpowiedział z przekonaniem Reed. - Mamy to jak w banku. - Potem dodał z uśmiechem: - Jedyne, co powinno ci zaprzętać w tej chwili głowę, to to, żeby ta czarna dziwka znalazła się dziś w moim samochodzie.

- Lepiej od razu zacząć jej szukać - stwierdził Daniel, wstając z miejsca. - Chodź, Neal, widziałem, jak szła do ogrodu. Spróbujemy ją złapać.

Rozdział II

Jed Stevens uchylił płachtę namiotu i wyszedł do wielkiego; wypielegnowanego ogrodu. Odetchnął z ulgą świeżym, nocnym powietrzem. Wszystkie przyjęcia w Los Angeles były takie same, nieważne - małe czy duże. Na wszystkich panował ten sam zapach - mieszanka perfum, potu, dymu papierosowego i trawy. Jed puścił płachtę i ruszył przed siebie. Ścieżka była nie oświetlona, toteż najpierw potknął się o jakiś krzak, a potem omal nie wszedł na dwie klęczące postacie.

- A niech to - mruknął.

Jedna z postaci wstała. Był to Neal.

- Co ty tu robisz, do diabła? - spytał wściekły Jeda.

- Przepraszam - odparł Jed. W ciemności nie widział twarzy Neala. - Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

Obok Neala stanął Daniel.

- Spieprzaj stąd albo ci skrucę zaszary kark - warknął. Teraz Jed poznał obu mężczyzn. Daniel Peachtree i jego chłopak, Neal. Spróbował zlekceważyć całe to zajście.

- Wybaczcie, chłopaki, nie chciałem wam przeszkadzać. Wracam na przyjęcie, zapomnijmy o tym.

- Niczego nie zapomnisz - rzucił ostro Daniel. - Spuszczę ci porządny łomot; muszę mieć pewność, że będziesz trzymał gębę na kłódkę.

Jed poczuł, że traci nerwy.

- Zanim cokolwiek zrobisz, lepiej obaj zapnijcie rozporki, bo wam siurki skostnieją i odpadną na tym chłodzie.

Neal zrobił krok w jego kierunku.

- Na twoim miejscu nie próbowałbym tego - ostrzegł spokojnie Jed.

- Obaj mamy czarne pasy - odparł sucho Neal, zapinając rozporek.
 - Gratulacje. Ja mam jednak coś lepszego. Dwieście milionów dolarów w transakcji Jarvisa.
- Obaj spojrzeli na niego zaskoczeni.
- Na wypadek, gdybyście nie wiedzieli, wszyscy jesteśmy w pewnym sensie współnikami - wyjaśnił Jed, po czym odwrócił się i ruszył ścieżką w stronę namiotu.
- Odchylił płachtę i wszedł do środka. Dopiero w tym momencie pożałował tego, co zrobił. Psiakrew, zaklął w myślach. Wuj Rocco będzie wściekły, że puścił parę z ust.
- Bradley usiadł przy telefonie w bibliotece. Szybko wystukał numer, a po chwili rozległ się głos Ghucka.
- Chcę, żebyś się tu natychmiast zjawił - zażądał Bradley.
 - Przylecę pierwszym porannym samolotem - odparł Chuck.
 - Powiedziałem natychmiast, to znaczy jeszcze dziś w nocy.
 - Jak ja się tam dostanę? Lear jest u ciebie w Kalifornii.
 - Zwykły odrzutowiec i tak byłby za wolny - odparł Bradley. - Zadzwoń do mojego kuzyna, generała brygady She-pherda z bazy Sił Powietrznych i powiedz mu, że chcę pożyczyć jeden z tych nowych, czteroosobowych myśliwców F-Zero-60 i przylecieć nim razem z sędzią Gitlinem.
 - Sędzia ma prawie siedemdziesiąt lat - odparł Chuck. - Pewnie już śpi.
 - Więc go obudź. Jest moim krewnym, a poza tym powiedz mu, że jak tu się nie zjawi, może się pożegnać z dwudziestoma pięcioma milionami, które mi pożyczył. To go na pewno obudzi.
 - A co mam powiedzieć generałowi?
 - On ma pół miliona moich akcji naftowych - te też pójdą w diabły, jeśli nam teraz nie pomoże. Jak wszystko załatwisz, F-Zero-60 przywiezie was tu w niecałe cztery godziny.
 - Spróbuję - odparł Chuck.
 - Masz tu być - uciął Bradley i odłożył słuchawkę. Spojrzał

na zegar. Była dziewiąta trzydzieści. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinni być koło drugiej w nocy, pomyślał. Wyszedł z biblioteki i natknął się na Daniela Peachtree i Neala Shifrina, którzy szli do łazienki.

Popatrzył ze zdziwieniem na ich pomięte smokingi.

- Co wam się stało, chłopaki? - spytał. Peachtree odwrócił się.

- Szliśmy przez ogród. Było ciemno i wpadliśmy na żywopłot.

- Co tam robiliście?

- Szedłem na scenę - odparł Daniel. - Chciałem pogadać z Rainbeau. Mamy problemy z jego nowym albumem.

- Znaleźliście go? - spytał Bradley.

- Nie - mruknął niezadowolonym głosem Daniel. - Za bardzo byliśmy zajęci otrzepywaniem się z trawy.

- Widziałem was przy stoliku z Jarvisem i jego prawnikiem. O czym rozmawialiście? - zapytał cicho Bradley.

Daniel był tak zaskoczony, że Bradley zauważył ich w tym tłumie, iż bez zastanowienia powiedział prawdę:

- Jarvis ma zamiar mianować mnie CEO.

- Nie może tego zrobić - odparł spokojnie Bradley. - Wciąż mam jeszcze coś do powiedzenia w tej kwestii.

Peachtree popatrzył na niego, a potem zaczął się wycofywać.

- Możliwe, że źle zrozumiałem.

- Możliwe - rzucił krótko Bradley. - Póki co, lepiej doprowadźcie się obaj do porządku.

Patrzył za nimi, aż zniknęli w łazience, a potem ruszył schodami na dół.

Patrick Beaufort, senator z Luizjany, był trochę wstawiony. Sięgnął po czwartego burbona z wodą.

- Ale odlotowa impreza - mruknął.

Roxane Darrieux, piękna Kreolka - jego asystentka, a zarazem kochanka - położyła mu dłoń na nadgarstku.

- Już dość, senatorze. To mocny drink.

Spojrzał na nią, ona zaś pokręciła głową. Odstawił szklanekę na stół. Uśmiechnął się do niej i spytał szeptem:

- Masz na sobie majtki?
 - Wiesz, że nigdy nie noszę nic pod sukienką.
 - Mam ochotę zanurzyć palce w twojej cipce.
 - Później - odparła, patrząc mu przez ramię. - Zbliży się Bradley Shepherd.
- Senator Beaufort odwrócił się i wstał, aby go powitać.
- Gospodarzu - zawołał serdecznie do Bradleya. - Muszę przyznać, że urządziłeś odlotową imprezę. - Wskazał ręką na Roxane. - Znasz pannę Darrieux?
- Bradley podał jej rękę.
- Miło mi znów cię widzieć, Roxane. Cieszę się, że wpadłaś.
 - Za żadne skarby nie przepuściłabym takiej okazji, Bradley - odparła miękim głosem. - Napijesz się z nami?
 - Szybkiego - zgodził się Bradley i usiadł obok senatora, a Roxane naląła mu drinka. - Jakie wieści z Waszyngtonu?
 - Druga kadencja Reagana stała się faktem - odparł senator.
 - Czy krajowi producenci ropy naftowej mają szansę na jakieś ulgi?
 - Mówi się o tym, ale nie podjęto jeszcze żadnych działań. Trzymam rękę na pulsie i gdy tylko nadarzy się sposobność, pchniemy tę sprawę. Nie zapominaj, że mój stan też jest tym zainteresowany.
 - Wiem, Patrick - odparł Bradley. - Wszyscy doceniamy twoje zaangażowanie i jesteśmy gotowi we wszystkim cię popierać. - Przerwał na moment i dodał: - Aż pod drzwi Białego Domu.
- Senator skinął poważnie głową.
- Dzięki, Bradley. Chyba jednak za wcześnie, żeby o tym myśleć.
 - Pamiętaj, senatorze, niezależni producenci ropy naftowej są z tobą. - Bradley pociągnął łyk ze szklanki. - Słyszałeś coś może o tym, żeby Reed Jarvis występował o specjalne rozpatrzenie jego wniosku o przyznanie amerykańskiego obywatelstwa?
 - Ten Kanadyjczyk?

Bradley skinął głową.

- Dlaczego on cię interesuje? - zdziwił się senator.

- Złożył ofertę Millennium Films i siedmiu naszym stacjom radiowym i telewizyjnym. Pamiętam, że Ted Kennedy poparł notę o szybkie przyznanie obywatelstwa Murdochowi.

- Jesteś za czy przeciw? - spytał senator. Bradley pokręcił głową.

- Jeszcze nie wiem. Muszę zdobyć więcej informacji na temat jego oferty.

Senator uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę.

- Daj mi tylko znać o swojej decyzji. Poprę cię.

- Raz jeszcze dziękuję, Patrick. - Bradley wstał i skinął głową Roxane. - Miło mi było znów cię zobaczyć.

Roxane odprowadziła go wzrokiem.

- Chodzą słuchy, że Bradley ma poważne kłopoty finansowe.

- Cóż za nowina - roześmiał się Beaufort. - Bradley to ostry zawodnik. Przyzwyczył się już do kłopotów finansowych; zawsze wychodzi z nich obronną ręką.

- Nie rozumiem - zastanawiała się Roxane. - Jeśli to prawda, że jest w dołku, dlaczego wydaje takie przyjęcie? Musiało go kosztować przynajmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

- Idzie na całość - odparł senator i ruchem ręki wskazał otaczający ich tłum. - Popatrz wokół siebie. Na liście gości znajdziesz wystarczającą sumę pieniędzy, żeby spłacić dług. Gdzieś w tym cieście znajdzie się rodzinna.

Roxane rozejrzała się, a potem uśmiechnęła się do niego zalotnie.

- Co powiesz na moją rodzinę? Tylko pamiętaj, będziesz musiał oblizywać palce, bo jest bardzo soczysta.

Mżyło, kiedy limuzyna wjechała na teren bazy Sił Powietrznych Tinker w Midwest City, piętnaście minut drogi z Oklahoma City. Podjechał do niej wojskowy jeep i kierowca dał znak, żeby jechała za nim. Oba samochody pojechały prawie na sam koniec pasa startowego.

Siedzący w wozie dostrzegli samolot. F-Zero-60 otaczała grupka ludzi ze służb naziemnych. Kiedy limuzyna zatrzymała się, podszedł do niej ubrany w biały kombinezon generał Shepherd i otworzył drzwi.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił po przywitaniu się z sędzią Gitlinem i Chuckiem.

Sędzia uważnie zlustrował samolot.

- Nie prezentuje się zbyt okazale - stwierdził zdenerwowanym głosem.

- Jest wystarczająco duży - zapewnił go generał. - Starczy miejsca dla całej naszej czwórki.

- Będziesz pilotował? - spytał sędzia.

- Jestem drugim pilotem - odparł generał. - Załatwiłem dla nas najlepszego pilota w całej bazie. Podpułkownik Shar-key. Przelatał na tych maszynach dwieście godzin.

- Który to? - zapytał sędzia.

Generał wskazał człowieka ubranego w podobny kombinezon. Był niewysoki, może metr siedemdziesiąt, i bardzo szczupły.

- Wygląda jak dzieciak - stwierdził sędzia. - Nie dałbym mu dwudziestu lat.

- Ma dwadzieścia jeden - odparł generał. - Odpowiedni wiek do prowadzenia tego typu samolotu. Piloci muszą mieć bardzo szybki refleks, żeby poradzić sobie z tą maszyną. Po ukończeniu dwudziestu czterech lat odsyłamy ich do innych zajęć.

- To dlaczego ty jesteś drugim pilotem? - spytał oschle sędzia. - Byłem na twoim chrzcie - masz pięćdziesiątkę, jeśli nie więcej.

- Podejrzewam, że wylecę, jak tylko dowiedzą się w Pentagonie, co zrobiłem, więc co mi szkodzi trochę poszaleć.

- Latałeś już którymś z tych paskudztw? - indagował sędzia.

- Pięć razy. Nie martw się, wiem, jak sobie z nim poradzić w razie potrzeby.

- Mam siedemdziesiąt trzy lata. Jesteś pewien, że to dobry pomysł lecieć tym?

Generał roześmiał się.

- Lepiej późno niż wcale. Chodźmy.

Pilot siedział już na swoim miejscu, ale odwrócił się, żeby powitać pasażerów.

- Panie sędzio, panie Smith.

Obaj uścisnęli mu rękę. Do kabiny wsiadł jeden z mechaników, zapiął obu pasażerom pasy, potem zdjął sędziemu biały filcowy kapelusz i wsunął mu na głowę hełm, a następnie założył hełm Smithowi.

- Nie przejmujcie się tymi hełmami. Czasem trochę trzęsie przy starcie i lądowaniu, a nie chciałbym, żebyście poroz-walali sobie głowy.

- Nie o głowę się martwię - mruknął sędzia z ironią w głosie. - Ile czasu potrwa lot? - spytał.

- Godzinę piętnaście do półtorej - odparł pilot. - To zależy od warunków atmosferycznych w punkcie docelowym.

- Ile to kilometrów?

- Tysiąc osiemset osiemdziesiąt.

- Chryste - jęknął sędzia. - To prawie tysiąc osiemset kilometrów na godzinę.

- Mniej więcej - zgodził się pilot.

Zaczął włączać przełączniki i po chwili kabinę wypełnił szum silników. Samolot zaczął powoli kołować, po czym wjechał na skraj pasa startowego, którego krawędzie wytyczała linia bladoniebieskich świateł. Samolot zatrzymał się i czekał, jak ptak gotujący się do lotu.

W głośnikach rozległ się głuchy głos dyspozytora lotów:

- F-Zero-60, zachowaj pozycję przez pięć minut. Na drodze dwie jednostki cywilne.

- Wieża, przyjąłem - odparł pilot.

- Jak się tym steruje podczas lotu? - spytał sędzia, słysząc własny głos odbijający się echem w słuchawkach.

- Nie muszę zajmować się niczym poza wprowadzaniem danych - wyjaśnił pilot. - Wznoszę go tylko w powietrze i sprowadzam na ziemię. Po osiągnięciu docelowego pułapu samoczynnie włącza się automatyczny pilot. Kiedy znajdziemy się nad Pacyfikiem, jakieś dwieście kilometrów

przed Los Angeles, przejmę stery i zacznę podchodzić do lądowania.

- Chryste panie! - zawołał sędzia. - Chyba jedyne, na co mamy jeszcze wpływ, to puszczenie bąków.

Ponownie rozległ się głos z wieży kontrolnej:

- F-Zero-60, droga wolna. Powodzenia.

Samolot drgnął i zaczął z hukiem rozpędzać się. Niemał sekundę później wzbijał się już pionowo w bezgwiezdne niebo.

Rozdział III

Ogromna sala gier znajdowała się na półpiętrze, pod salą balową. Znajdujące się za nią masywne, przeszklone drzwi obrotowe prowadziły do sali gimnastycznej, wyposażonej w najnowszy sprzęt i lustrzane ściany, w których mogli się przeglądać ćwiczący. Widoczna za oknami szeroka ścieżka prowadziła na basen. Całą salę wypełniał tłum artystów wynajętych przez Shepherdów na przyjęcie. W powietrzu unosił się zapach marihuany. Ponad połowa wykonawców była porządnie uwalona szampanem i podawaną z rąk do rąk koką.

Rainbeau siedział w rogu sali, a dostępu do niego broniło dwóch potężnych, czarnoskórych ochroniarzy. Obok niego siedziała piękna, czarnoskóra dziewczyna w długiej, rozczochranej blond peruce, prawie całkiem zasłaniającej jej twarz. Towarzyszyła Rainbeau na elektrycznej mandolinie, jej siostra zaś, podobna do niej niczym kropla wody, grała na gitarze basowej.

Dalej siedział Jaxon, perkusista, o twarzy bladej jak kreda, zastygłej w ekstazie wywołanej działaniem kokainy, oraz Blue Boy, pianista, wyglądający niczym czarnoskóra wersja postaci z obrazów Gainsborough. Cały zespół trzymał się razem; nie rozmawiali z nikim. Kiedy ma się w dorobku trzy teledyski w pierwszej dziesiątce, można sobie na to pozwolić. Rainbeau był poza tym wściekły, że nie został na to przyjęcie zaproszony jako gość, tylko wynajęty.

Najpierw ją usłyszał, a potem zobaczył. Wcielony seks. Nie mógłby jej pomylić z nikim innym. Stała poza obszarem zastrzeżonym dla zespołu.

- Thyme! - zawołał. - Chodź tu do nas. Ochroniarze przepuścili ją.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- Występuję. Ty też?

Thyme wydawała się zaintrygowana.

- Nie całkiem, przyleciałam prywatnym samolotem z Danielem Peachtree.

- Jesteś gościem? - zapytał.

- Tak sądzę - odparła. - To bez sensu. Widziałam tu Michaela i Brooke Shields.

- Michael nie pracuje dla Daniela. Ty też nie, prawda?

- Zgadza się.

- Wyłożył za ten występ sto kawałków - powiedział Rain-beau.

- To jednak nie w porządku - odparła. - Pewnie wystąpiłbyś za darmo, gdyby poprosił jak dżentelmen.

Rainbeau skinął głową.

- Niektórym brakuje klasy-przyznał i zmienił temat. -Co sobie życzysz? Mamy tu wszystko.

- Chcę z tobą zaśpiewać - odparła, patrząc mu w oczy.

- Nie mamy żadnej wspólnej piosenki, nie próbowaliśmy. Poza tym ty jesteś gościem, a ja tylko gram do kotleta.

- I co z tego? Możemy wymyślić coś w pięć minut.

- Zrobiłabyś to dla mnie? - spytał z lekkim zdziwieniem.

- Jesteśmy z tej samej gliny, nie? Ja jestem czarna, ty Portorykańczyk i do tego wychowaliśmy się na tej samej ulicy.

Rainbeau patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, a potem spytał:

- Jak nas tu znalazłaś?

- Któryś z tych pieprzonych ochroniarzy myślał, że jestem jedną z występujących dziś artystek i chciał mnie zepchnąć ze schodów.

- O, kurde. Gdzie był Peachtree?

- Pewnie polazł gdzieś ze swoim kolesiem i tamten obciągał mu lachę - odparła.

Spotkali się wzrokiem.

- Serio? - spytał Rainbeau. - To, co mówiłaś wcześniej?
 - W każdej chwili, gdziekolwiek - odparła. - Razem będziemy super.
 - Mam pomysł.
 - Jaki?
 - Znasz mój pierwszy przebój "Jestem tylko chłopcem"?
 - Na pamięć - odparła.
 - Świetnie, zaśpiewaj go, zmieniając chłopca na dziewczynę. Potem ja zaśpiewam twoją piosenkę, „Chłopiec, którego kocham”, tylko chłopca zmienię na dziewczynę. Melodie znamy, aranżacja to pestka.
- Thyme przytuliła go mocno do siebie.
- Och, mój słodki, kocham cię. Naprawdę. Rainbeau pocałował ją w policzek.
 - Chodź, spróbujemy.

Punktualnie o północy orkiestra zagrała tusz, a na środku sceny pojawił się Bradley z Charlene. Sięgnął po mikrofon i na sali zapanała cisza.

- Przyjaciele, szanowni goście - zaczął, a jego lekki, śród-kowozachodni akcent wzmocniony przez głośniki zabrzmiał jeszcze wyraźniej. - Od wielu lat wyprawiamy w Oklahomie coroczne przyjęcie na cześć naszego pierworodnego. Tego dnia, w roku 1955, staliśmy z Charlene obok wieży Szybu Naftowego Shepherd Numer Jeden, naszego pierworodnego, kiedy wystrzelił w niebo słup ropy, zalewając nas od stóp do głów czarnym złotem. Padliśmy sobie w objęcia i krzyčeliśmy z radości, ale najbardziej utkwiło mi w pamięci to, co krzyčwała Charlene: „No, Bradley, wreszcie będziesz mógł sobie kupić przyzwoity garnitur”.

Namiotem wstrząsnęła fala śmiechu; goście wstali z miejsc. Bradley uniósł ręce i goście powoli siedli z powrotem. Bradley uśmiechnął się i wziął Charlene za rękę.

- W końcu kupiłem przyzwoity garnitur, ale dopiero dwa lata później, kiedy stanął Szyb Naftowy Shepherd Numer Sto; był mi potrzebny, żeby pójść do banku, ponieważ, kiedy

miałem już pieniądze, musiałem wziąć kredyt, żeby móc opłacić podatki.

Tłum ponownie wybuchnął śmiechem i rozległy się oklaski.

- Dziękuję wam wszystkim za przybycie; teraz bawcie się dobrze. - Charlene i Bradley pomachali gościom serdecznie.

Rozległa się muzyka, scena zaczęła się obracać i orkiestra, Bradley oraz Charlene zaczęli stopniowo znikać. Światła przygasły, aż w końcu zapanowała kompletna ciemność.

Kiedy światła rozbłyły ponownie, z głośników popłynęła ostra, rockandrollowa muzyka. Po chwili reflektor wyłowił młodego mężczyznę, stojącego przed grupą akompaniujących mu muzyków. Jego półnagie, pomalowane ciało migotało cekinami, w ręku trzymał mikrofon. Wybuchła burza oklasków, tłum rozpoznał niepowtarzalny styl sceniczny Rain-beau. Chwilę później gości czekała kolejna, fantastyczna niespodzianka: na scenie pojawiła się Thyme i stanęła obok Rainbeau, ubrana w biały, zwiewny szyfonowy kostium, pod którym rysowały się jej piękne kształty.

Reed Jarvis opierał się o marmurową kolumnę. Obserwując scenę, poczuł ucisk w żołądku.

- To niemal pornografia. Nie do wiary, na takim przyjęciu - wyszeptał.

Obok niego pojawił się Daniel Peach tree.

- Reed, to nie jest Winnipeg w Ontario, to Hollywood. Reed odwrócił się w jego stronę.

- Nie wyglądasz najlepiej. Co się stało, zleciałeś ze schodów?

Daniel pokręcił głową.

- Wpadłem na cyprys, szukając w ogrodzie twojej laski. Co to za jeden, ten Jed Stevens? Powiedział, że wchodzi razem z tobą z dwustu milionami.

- Owszem, jeśli zechce wejść - odparł Reed. - Jednak to nie jego pieniądze. On tylko bada grunt dla swojego wuja.

- To on nie jest twoim wspólnikiem?

- Skąd ci to, kurwa, przyszło do głowy? - odparł Reed,

obserwując solowy występ Thyme. - Nie mam żadnych współników, a jutro on też nie będzie już z nami.

- Takie to proste? - powątpiewał Peachtree. - Słyszałem, że Bradley nie ma zamiaru pożegnać się z nami jutro.

Przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

Reed wzruszył ramionami, spojrzał na scenę, a potem znów na Daniela.

- Chcę przerznąć tę dziewczynę - oświadczył. - Rozmawiałeś już z nią?

- Próbowałem ją znaleźć, ale wpadłem na ten pieprzony żywopłot w ogrodzie. Dopiero teraz ją widzę, na scenie.

- Powiedz tylko - możesz mi ją skołować czy nie? Daniel odparł bez uśmiechu:

- Nie wiem. Tu liczy się tylko forsa. Jeśli forsa jej nie ruszy, to koniec.

- Nie obchodzi mnie za ile, po prostu załatw mi ją -zażądał Reed.

Sędzia Gitlin usadowił się na fotelu w bibliotece na piętrze i spojrzał na Bradleya.

- Tu, w Kalifornii, jest dopiero druga w nocy, ale dla mnie to piąta nad ranem - stwierdził ze znużeniem w głosie.

Bradley podał sędziemu pełną szklanę kukurydzianej whisky.

- Masz, to cię postawi na nogi. Sędzia skinął głową i wypił do dna.

- Całkiem inny smak.

Bradley przytaknął i ponownie napełnił szklanę. Sędzia popijał już powoli.

- Odstawiłeś całkiem niezłą imprezę.

- Hollywoodzkie gówno - odparł Bradley. - Tu trzeba to robić.

- Kosztuje parę groszy - mruknął sędzia. - Masz na to pieniądze?

- To zależy od ciebie - powiedział Bradley, nalewając sobie drinka. - Nie dość, że leżę z ropą, to na dodatek chcą mnie zjeść żywcem.

- A co z długami wobec banków? Dwanaście milionów? A dwadzieścia pięć milionów, które mi jesteś winien?

- Fortuna kołem się toczy - odparł Bradley z krzywym uśmiechem.

Sędzia przyjrzał mu się badawczo.

- Jak mam ci załatwić forszę, skoro federalni i stanowi rewidenci załóżą mi za skórę?

- Lunapark. Te osiem akrów, które kupiłem za zatoką i dałem ci w zarząd. Swoją drogą nigdy nie rozważaliśmy z Janasem włączenia go do kontraktu. Nie był tym wówczas zainteresowany. Zaczął o nim ze mną rozmawiać dopiero po otwarciu Disneylandu we Francji.

Sędzia spojrział na Bradleya przenikliwym wzrokiem.

- Nie włożyłeś w to żadnych pieniędzy z wytwórni filmowej?

- Nie, nic z tym w ogóle nie robiłem. Po prostu leży odłogiem.

Sędzia zastanawiał się chwilę.

- W takim razie to może być warte pięćdziesiąt, sześćdziesiąt milionów. Z tego, co widzę, nie masz wyboru. Nie oglądaj się i bierz te jego cztery sta. Skorzystaj z możliwości, na której nic nie tracisz. Jeśli chce je dać, bierz je. Jeśli nie, niech je sobie wsadzi w dupę.

- Czuję się jak palant - odparł Bradley. - Chciałem pokazać tym w przemyśle filmowym klasę.

- Są tacy, którzy gorzej umoczyli. Ty przynajmniej wyciągniesz czterysta milionów. Mogłeś stracić całą pieprzoną pulę. Nie załamuj się. Prędzej czy później rynek ropy naftowej wróci do normy, a cena nieruchomości wokół zatoki może iść tylko w górę. Ucierpi na tym jedynie twoja ambicja.

Bradley spojrział na sędziego.

- To wszystko? Tylko ambicja?

- Nikt z naszej rodziny nie ma w zwyczaju roztkliwiać się nad sobą. - Sędzia uśmiechnął się. - Powiedz po prostu temu Jarvisowi, że bierzesz jego forszę, i życz mu szczęścia. Zostań w tym, na czym znasz się najlepiej. Ropa naftowa i ziemia.

- Chyba masz rację - przyznał Bradley. - Ale ten biznes to prawdziwa frajda.
- Jeszcze będziesz miał szansę - powiedział sędzia. - Kto powiedział, że ten cały Jarvis poradzi sobie lepiej od ciebie? Równie dobrze może mu się powinąć noga. Może wtedy będziesz mógł wrócić.
- Dobra - zgodził się Bradley. - Skontaktuję się z nim i powiem o swojej decyzji.
- Daj spokój, olej go - odparł poirytowany sędzia. - Niech poczeka do jutra. Póki co, nalej mi jeszcze drinka.

Rozdział IV

Szpital Century City usytuowany był na tyłach kompleksu Century City Building, na rogu Alei Gwiazd i Pico Boulevard. Szpital zajmował dziesięć pięter, a na pozostałych mieściły się gabinety specjalistyczne oraz laboratoria medyczne.

Przychodnia doktora Fergus Maubussona, jednego z najlepszych chirurgów plastycznych, prezentowała się okazale. Składały się na nią dwie kompletnie wyposażone sale operacyjne, sala rehabilitacyjna, dwa prywatne gabinety - jeden należący do niego, drugi do jego asystenta i wspólnika, doktora Jona Takashimy'ego - biuro oraz recepcja, w której na zmianę przez całą dobę pełniły dyżur trzy pielęgniarki. Za recepcją znajdowała się niewielka, cicha, łagodnie oświetlona poczekalnia. Wizyty były starannie planowane, żeby pacjenci nie spotykali się.

Tego dnia zmieniono harmonogram wszystkich porannych przyjęć, ponieważ o piątej nad ranem pilną wizytę zamówił Reed Jarvis. Kiedy dyżurna pielęgniarka, nie przerywając połączenia z Jarvisem, obudziła doktora, ten nie wahał się ani chwili. Życzenie Jarvisa było rozkazem.

Doktor Fergus Maubusson naprawdę nazywał się Fred Markovits i pochodził z Lower East Side w Nowym Jorku. Już dawno temu doszedł do wniosku, że aby odnieść sukces w Beverly Hills, tej świątyni próżności, musi przybrać odpowiednie nazwisko. Wybrał je nieprzypadkowo - imię Fergus, ponieważ było szkockie, a Szkoci słyną z konserwatyzmu; Maubusson, ponieważ brzmiało z francuska, sugerując właściwy temu narodowi dobry gust, jeśli chodzi o estetykę i poczucie piękna. Odebrał staranne wykształcenie, między

innymi dwa lata studiował w sławnej, specjalizującej się w chirurgii plastycznej klinice w Lyonie. W recepcji wisiało tylko jedno zdjęcie, przedstawiało jego samego w towarzystwie doktora Ivesa Pitanguy, uważanego powszechnie za najwybitniejszego chirurga plastycznego na świecie.

Doktor siedział na wysokim stołku i spoglądał na pacjenta, którego nogi spoczywały na przyrządzie przypominającym fotel ginekologiczny.

- Nie widziałem jeszcze dziewczyny, która dokonałaby obrzezania tak precyzyjnie z chirurgicznego punktu widzenia. Musiała być Żydówką - stwierdził beznamiętnym głosem.

Reed spojrział na niego, mrużąc oczy z powodu ostrego światła stojącej za nim lampy. Był wściekły.

- Co można z tym zrobić, doktorze?

- Po pierwsze, muszę dać panu zastrzyk przeciwtężcowy. To zapobiegnie infekcji. Po drugie, chciałbym, żeby przyprowadził pan tę dziewczynę, która tak pana urządziła. Muszę przebadać ją na wszelki wypadek; nie można lekceważyć możliwości wystąpienia komplikacji.

- Do cholery, doktorze - warknął Reed. - Nie wystarczy, że szukając dupy, co mi obciągnie pałę, trafiłem na jakąś pieprzoną wampirycę?

- No cóż - odparł bezbarwnym głosem lekarz - to może być, na przykład, AIDS. Spotyka się wiele przypadków u prostytutek.

Reed poczuł zimny dreszcz.

- Czy to możliwe? Doktor rozłożył ręce.

- Któż to może wiedzieć? Nie wiadomo nawet, skąd się to bierze. Dziwki mogą być nosicielkami, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- Nie wiem, czy uda mi się skłonić ją do przyjscia. To bardzo znana osoba.

- Niech jej pan powie, że zapewniamy całkowitą dyskrecję.

- Nie przyjdzie - upierał się Reed.

- Może powinien ją pan namówić, żeby poszła do swojego lekarza?
 - Wątpię, żeby się zgodziła - odparł Reed. - Rozstaliśmy się w niezbyt przyjaznych nastrojach.
 - No to niech jej pan powie, że się badał i jest wynik pozytywny. Że powinna się przebadać dla własnego dobra.
- Reed skinął głową w milczeniu i spytał:
- Tymczasem co da się z tym zrobić?
 - Na razie dwie rzeczy - odparł doktor. - Po oczyszczeniu rany damy panu penicylinę i założymy opatrunek. Potem dostanie pan serię zastrzyków przeciwtężcowych. Mniej więcej sześć. To będzie nieprzyjemne, towarzyszą im bóle i gorączka.
 - Niech to szlag - zaklął Reed. - Co będzie z moim kutasem?
 - Może trochę zmienić wygląd, ale będzie funkcjonował normalnie.
 - Co to znaczy, trochę zmienić wygląd? - zdenerwował się Reed.
 - Widział pan członki Japończyków - są trochę skrzywione pod żołądźką i nieco krótsze.
 - Chryste panie! - zawołał Reed. - I tak mam małego fiuta. Może pan coś na to poradzić?
 - Oczywiście - odparł Maubusson z uśmiechem. - Mogę go zwiększyć do dowolnych rozmiarów. Najpierw jednak musimy poradzić sobie z tym problemem.
- Reed oparł się wygodniej.
- W porządku, zaczynamy. He czasu to zajmie?
 - Sam zabieg nie potrwa długo, jednak będzie pan musiał pozostać tu co najmniej trzy godziny na wypadek wstrząsu.
- Czasem zdarza się po penicylinie.
- Czy to konieczne? - spytał Reed. - Mam rano kilka bardzo ważnych spotkań.
 - Jeśli nie poddamy pana dokładnej obserwacji, konsekwencje mogą być bardzo poważne.
 - Postaram się przenieść te spotkania na późniejszą porę - odezwał się po chwili namysłu Reed.

- Bardzo rozsądnie, panie Jarvis - odparł doktor.
- Muszę skorzystać z telefonu. Powiniem skontaktować się z kilkoma osobami.
- Proszę skorzystać z mojego gabinetu - zaproponował Maubusson. - Nikt nie będzie tam panu przeszkadzał.
Była szósta rano i Daniel, popijając poranną kawę, zamierzał właśnie, jak zwykle, połączyć się ze wschodnim wybrzeżem, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Peachtree.

Jarvis odezwał się szorstko, bez powitania:

- Będę trochę później; powiniem zdążyć koło południa.
- Coś się stało? - spytał zaniepokojony Daniel.
- Nic związanego z kontraktem. Mam pewien problem, z którym nie mogę czekać.
- Czy mogę jakoś pomóc? - zapytał Daniel.
- Nie - uciął Jarvis, ale po chwili zmienił zdanie. - Możesz się skontaktować z tą czarnuchą?
- ZThyme?
- A czy mówiliśmy wczoraj wieczorem o jakiejś innej? - zirytował się Jarvis. - Muszę z nią porozmawiać.
- Powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła.
- Nie. Daj mi tylko jej numer, sam zadzwonię.
- Poczekaj chwilę. - Daniel wystukał w komputerze numer Thyme. - Masz, jest na linii. Jeśli nie odbierze, oddzwoni do mnie, a ja postaram się ją złapać.
- Dobra.

Peachtree milczał przez chwilę, a potem odezwał się z troską w głosie:

- Słuchaj, jeśli to coś poważnego, mogę to z nią załatwić.
- To moja sprawa - odparł Jarvis.
- A jeśli Shepherd wkurzy się, że cię nie ma? Sami zmusiliśmy go do tego porannego spotkania.
- Nic mu nie mów. Może na mnie poczekać - sarknął Jarvis. - I tak robię mu łaskę, jeśli chodzi o tę transakcję. Jak będzie się stawiał, wyrwę mu jaja. Nie ma szmalu i prócz nas nie ma do kogo z tym iść.

- Jeśli będziesz chciał mnie złapać, będę w biurze koło ósmej.
- Dobra - odparł Jarvis i rozłączył się bez pożegnania. Daniel przez chwilę stał ze słuchawką w ręku. Nie podobało mu się to wszystko. Wreszcie wykręcił numer Thyme.
- Słucham? - rozległ się jej zachrypnięty głos.
- Tu Daniel. Dzwonił do ciebie Jarvis?
- Właśnie z nim gadałam - odparła ze złością. - Ten facet to świr.
- Co się stało?
- Kiedy nie chciałam się z nim pieprzyć, zrobił się agresywny.
- I co zrobiłaś?
- A jak myślisz, do cholery? - spytała, a potem roześmiała się. - Żałuj, że nie widziałeś jego miny, kiedy ugryzłam go w kutasa.
- Jezu Chryste! - zawołał Daniel. - Zraniłaś go?
- Troszeczkę - odparła, wciąż się śmiejąc. - Zdaję się, że odgryzłam mu napletek. Kiedy wychodził, krwawił jak świnia.
- No, to teraz oboje jesteśmy w kłopotcie - mruknął Daniel. - Pewnie zerwie twój kontrakt.
- Nie spodziewam się żadnych kłopotów - odparła Thyme. - Dzwoniłam już do Jimmy'ego Blue Eyes. Powiedział, że jeśli ten dupek będzie się mnie czepiał, to się nim zajmie.
- Wyluzuj się - powiedział uspokajająco Daniel. - Wszystko będzie dobrze.
- Mam nadzieję - odparła chłodno Thyme i rozłączyła się.

Rozdział V

W Atlantic City była pierwsza po południu. O podwójnie oszklone szyby w oknach apartamentu, mieszczącego się na dachu wysokościowca World Resort and Casino, walił wściekle deszcz ze śniegiem. W przestronnym salonie na sofie siedział przykryty kocem mężczyzna. Wokół niego krzątało się kilka kobiet. Mężczyzna spojrzął na zegarek.

- Połączcie mnie z moim bratankiem w Kalifornii.

- Już, don Rocco - odparła siedząca za biurkiem sekretarka.

Po niespełna minucie Jed był na linii.

- Powinni w tej chwili zawierać transakcję - odezwał się Rocco, spoglądając raz jeszcze na zegarek. - U was jest już po dziesiątej.

- Nic o tym nie wiemy - odparł Jed.

- Ten pieprzony Kanadyjczyk robi nas w konia - zirytował się Rocco.

- Niemożliwe, wuju. Bez naszych pieniędzy nie jest w stanie pchnąć tej transakcji.

- Słyszałem, że Milken dał mu czterysta milionów od Japońców.

- Mam porozmawiać z Jarvisem?

- Nie. Jeśli próbuje nas wykiwać, możemy zrobić tylko jedno. Wykiwać go wcześniej.

Jed trzymał słuchawkę bez słowa.

- Wiedziałem, że trzeba było uważać na tego skurwiela -ciągnął Rocco. - Przy takim układzie nie wiemy nawet, co on robi; ani się obejrzemy, a nasze czterysta milionów przepadnie w tym głównianym interesie.

- Z kim mam rozmawiać? - spytał Jed.
- W południe mają w wytwórni zebranie rady nadzorczej. Chcę, żebyś porozmawiał z Shepherdem; nie gadaj z Janasem. Shepherd ma włożyć w fundusz produkcyjny osiemdziesiąt pięć milionów. Jeśli tego nie zrobi, Jarvis ma prawo go wykupić. Powiedz Shepherdowi, że go poprzysz.
- Skąd wiesz, że mi uwierzy? - zapytał Jed. - Nie zna mnie na tyle, żeby mi zaufać.
- Forsie uwierzy - odparł Rocco. - Przynieś czek na osiemdziesiąt pięć milionów.
- Co dalej?
- Wypieprzymy Janasa. Pogadaj z Milkenem. Na pewno pójdzie ci na rękę. Jesteś w końcu dobrym klientem. Ulokowałeś już u niego obligacje na cztery miliardy.
- A ty co zamierzasz?
- Wyciągnę od niego moją forszę. Nie popuszczę, musimy to załatwić.
- Dobra. Pojadę na to zebranie. Coś jeszcze?
- Tak - odparł Rocco. - Powiedz Shepherdowi, żeby nie wchodził już w żadne układy z Jarvisem.
- W porządku, wuju. Rocco nagle zmienił temat.
- Jaka tam u was pogoda?
- Jest pięknie. Słonecznie i gorąco.
- Niech to szlag - mruknął Rocco. Wstał z sofy i trzymając nadal słuchawkę, podszedł do okna i spojrzał na niknące w strugach deszczu ze śniegiem moło i ocean. - Co za pieprzone miejsce. Ja tu marznę na wschodzie, a ty obijasz się w krainie słońca i pomarańczy. My, Sycylijczycy, mamy pecha.
- Możesz się tu przeprowadzić, wuju - stwierdził Jed. - Mógłbyś żyć jak król.
- Nie - odparł Rocco. - Zawarłem umowę, i tu zostanę. Gdybym się przeprowadził, skończyłbym jak Bonanno. Też wszyscy mówili, że może się przenieść. Spokój, żadnych problemów. A potem, parę lat później, uruchamia pod domem swój samochód i koniec. Bum! Czuję się bezpieczniej na swoim terenie. Tu przynajmniej wiem, co jest grane.

Trzynaste piętro wieżowca stojącego tuż za wjazdem na teren wytwórni znane było powszechnie jako Wrota Raju. Najwyższe piętro należało wyłącznie do Bradleya Shepherd. Pozostali członkowie zarządu zajmowali niższe piętra, według hierarchii, im wyższa pozycja, tym wyższe piętro. Poniżej ósmego urzędowały już tylko płotki.

Dochodziła jedenasta trzydzieści. Jed zaparkował swojego, wykonanego na zamówienie, Chevroleta Blazera w miejscu, które wskazał mu strażnik przy wjeździe na teren wytwórni. Jego samochód prezentował się całkiem nieźle wśród stojących tu eleganckich limuzyn.

Nadęty strażnik, siedzący za potężnym kontuarem w przestronnym holu, którego ściany zbudowane były z różowego marmuru, spojrzął na niego lekceważąco. Spytał Jeda, po co przyszedł, mruknął coś do telefonu, aż w końcu wskazał pierwszy rząd wind.

- Pierwsze drzwi, panie Stevens. To prywatna, ekspresowa winda do biura pana Shepherd.

Jed wszedł do windy. W środku nie było żadnych guzików. Drzwi zamknęły się automatycznie i winda sama pomknęła na trzynaste piętro. Wysiadł. Bliźniaczo podobna do Meryl Streep recepcjonistka powitała go z chłodną uprzejmością.

- Pan Stevens? Skinął głową.

Dziewczyna wskazała drzwi starannie wypielegnowanym palcem.

- Numer jeden.

Otworzył je. Przy biurkach siedziały trzy sekretarki. Jedna z nich wstała i podeszła do niego.

- Pan Stevens? Skinął głową.

- Jestem Sherry - przedstawiła się miękki głosem. -Osobista sekretarka pana Shepherd. Pan Shepherd jest w tej chwili na zebraniu rady nadzorczej, ale prosił, żeby zechciał pan poczekać w jego gabinecie. Napije się pan kawy, herbaty?

- Nie, dziękuję - odparł.

Wszedł do gabinetu i podszedł do okna. W kierunku połu-

dniowo-zachodnim widać było budynki studia, natomiast na północy i zachodzie rozciągał się widok na siedemdziesiąt akrów jałowej ziemi, na której planowano budowę lunaparku. Jed wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił.

- Cholera - mruknął do siebie. - Dałoby się zgarnąć na tym kupę szmalu.

Odwrócił się od okna i spojrzał na biurko Shepherd'a. Było całkiem puste - ani kartki, ani nawet telefonu. Zaczął się zastanawiać, jak ten facet telefonuje.

- Sherry-zawołał.

Głos sekretarki rozległ się z głośników ukrytych w suficie i na ścianach.

- Tak, panie Stevens?

- Możesz przyjść na chwilę? Pojawiła się natychmiast.

- Czym mogę służyć? - spytała.

- Czy możesz wyciągnąć pana Shepherd'a na kilka minut z tego zebrania?

- To bardzo ważne zebranie.

- Mam mu do powiedzenia coś jeszcze ważniejszego. Zawahała się.

- Co takiego?

- Mam wystawiony na jego nazwisko czek na osiemdziesiąt pięć milionów.

Sherry ożywiła się.

- Zaraz mu powiem.

- Dziękuję. I poproś kogoś, żeby przyniósł mi kawę z dwiema kostkami cukru.

Bradley siedział na honorowym miejscu przy dużym, owalnym stole. W milczeniu przebiegł wzrokiem po zebranych. Z członków zarządu brakowało tylko Jarvis'a.

- Gdzie się, do diabła, podziewa Jarvis? - spytał Siddely'ego, adwokata Jarvis'a.

- Nie wiem - odparł zdenerwowany Siddely. - Szukałem wszędzie, ale bez skutku. Ostatni raz widziałem go, jak wychodził z przyjęcia koło drugiej w nocy.

- Reed mówił, że będzie miał dla mnie czek - powiedział Bradley i zwrócił się do Daniela: - Miałeś z nim jakiś kontakt, Danielu?

- Reed nigdy jeszcze nie spóźnił się na żadne spotkanie - odparł Peachtree. - Może nawalił mu samochód.

Na salę weszła Sherry i wręczyła Bradleyowi notatkę. Poczekala, aż ją przeczyta i spytała:

- Co mam odpowiedzieć?

Bradley bez słowa skinął głową. Kiedy Sherry wyszła, pochylił się do siedzącego obok sędziego Gitlina.

- Zdaje się, że możemy jeszcze trochę poczekać - rzekł cicho, a potem zwrócił się do zebranych: - Panowie, zapraszam na kawę i napoje do sąsiedniego pokoju. Będziemy z sędzią Gitlinem w moim gabinecie. Proszę dać mi znać, jak tylko pojawi się Jarvis.

Rozdział VI

Nad dwupasmowym wjazdem na teren wytworni widniał gigantycznych rozmiarów napis: MILLENNIUM FILMS CORP. INC. Pośrodku jezdni stała budka, w której siedział strażnik.

Reed Jarvis utkwił wzrok w napisie. Jechał białą, kuloodporną limuzyną z przyciemnionymi szybami w części dla pasażerów, a w rękę trzymał słuchawkę kodującego telefonu.

- Właśnie dojeżdżam - powiedział cicho do znajdującego się po drugiej stronie linii Daniela.

Pomimo dolegliwości fizycznych był w dobrym nastroju. Spółka, do której przystępował, reprezentowała świeżo zainwestowane trzy miliardy dolarów. Nie było to wyłącznie przedsiębiorstwo filmowe - w jego skład wchodziło dwanaście stacji telewizyjnych, trzydzieści radiowych oraz nieruchomości, obejmujące trzydzieści cztery biurowce, budynki mieszkalne i hotele. Całości dopełniała telewizja kablowa oraz sieć ponad dwustu tysięcy wypożyczalni i punktów sprzedaży kaset wideo, rozmieszczonych na terenie całego kraju. Panował nad tym wszystkim za jedyne dwieście milionów z własnej kieszeni i osiemset milionów należących do konsorcjum. Rozkręci handel nieruchomościami i będzie w stanie wykupić konsorcjum, a Milken i Drexel Burnham Lambert zgodzili się być gwarantami.

Palanty, myślał Reed o wspólnikach. W ciągu ostatnich dwóch lat stracili ponad pół miliarda dolarów, chociaż pozostające do dyspozycji środki pozwalały na odrobienie strat z nawiązką. Pokaże im, jak się działa w tym biznesie.

Spojrzał na kierowcę rozmawiającego ze strażnikiem, który wyszedł do nich ze swojej budki. Uśmiechnął się do siebie. To tylko pierwszy dzień - później wszyscy będą znali jego samochód.

Strażnik kiwnął głową i trzymając w ręku plastikową kartę, obszedł samochód, po czym umieścił ją pod tylną osią limuzyny. Potem dał kierowcy znak ręką, żeby jechał.

Odczekał, aż limuzyna minie zakręt, wszedł do budki i spojrzał na dwóch skrepowanych mężczyzn, leżących na ziemi. Spokojnie wyciągnął z kabury pistolet, nałożył tłumik, po czym strzelił obu prosto w czoło. Następnie bez pośpiechu opuścił budkę i wyszedł na ulicę.

Usiadł za kierownicą nie rzucającego się w oczy, ciemnozielonego Forda i włączył silnik. Rzucił okiem w kierunku bramy i spojrzał na zegarek. Dokładnie w momencie, gdy wskazówka sekundnika znalazła się na dwunastce, wmie[^]szał się w sznur przejeżdżających samochodów, a od strony wytwórni dobiegł go ogłuszający huk eksplodującej bomby

Daniel Peachtree wszedł do pokoju, w którym siedzieli pozostali członkowie zarządu.

- Właśnie dzwonił Jarvis. Już tu jedzie. Powinien być za parę minut.

Siddely uśmiechnął się.

- To dobrze - stwierdził z ulgą. - Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie zjawił się na ważnym zebraniu.

Ledwo skończył, a całym pomieszczeniem wstrząsnęło echo eksplozji. Siddely zbladł.

- Co to, do cholery? Trzęsienie ziemi? - spytał, chwytając się kurczowo stołu.

- Niemożliwe - odparł Peachtree. - Jestem Kalifornijczykiem; przeżyłem kilka trzęsień ziemi, to coś innego.

Chodźmy na balkon, zobaczymy, co się stało.

Na podjeździe przed budynkiem zobaczyli pocięty, poskręcany wrak białej limuzyny. Z jej wnętrza wydobywał się

dym. Gały podjazd zasypały odłamki szkła, zarówno z samochodu, jak i z okien biurowca. Rozległo się wycie alarmów przeciwpożarowych, pełno było umundurowanych strażników.

- Co się, kurwa, stało? - zawołał jeden z członków zarządu.

Daniel Peachtree patrzył z przerażeniem na wrak samochodu. Twarz miał bladą jak papier.

- Zdaje się, że właśnie straciliśmy Reeda Janasa - powiedział słabym głosem. - Poznaję jego wóz.

- To musiała być bomba w samochodzie - odezwał się McManus, przedstawiciel Bank of America. - Spędziłem dwa lata w Bejrucie i wiem coś na ten temat. Do diabła, kto to mógł zrobić?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Peachtree. - To jednak nie moja sprawa, tylko policji. Ja mam inne rzeczy na głowie.

Wrócił do sali konferencyjnej i podniósł słuchawkę pierwszego z brzegu telefonu. Wystukał szybko numer wewnętrzny.

- KFAN-TV - odpowiedział dziewczęcy głos.

- Z działem wiadomości, pilne - rzucił krótko. Siddely stanął za nim i spytał:

- Nie idziesz na dół zobaczyć, co się stało?

- Za chwilę - odparł Daniel. - Chcę ściągnąć tu ekipę, zanim pojawi się jakaś inna stacja. - Odwrócił się i odezwał do słuchawki: - Tu Peachtree. Na parkingu przed Wrotami Raju wyleciała w powietrze limuzyna. Jeśli natychmiast nie zjawi się tu nasza ekipa i nie puści tego przed innymi stacjami, to jutro wymienię cały personel wiadomości. - Zamilkł na chwilę, słuchając. - Nie wiem nic więcej - zakończył.

, Odłożył słuchawkę,

- Pomyślałem sobie, że skoro stało się to na naszym terenie, to przynajmniej nie powinniśmy dać się ubiec innym stacjom - powiedział.

Patrzyli na niego w milczeniu. Sherman Siddely, który

prowadził interesy Janasa, zapalił drżącymi rękami papierosa.

- Jeśli Jarvis rzeczywiście był w tym samochodzie, to mamy nie lada kłopot.

W korytarzu pojawił się Bradley.

- Właśnie wracam z dołu - oświadczył, wchodząc do sali konferencyjnej, a za nim wszedł sędzia Gitlin i Jed Stevens.

- W holu istne pobojowisko, ale na szczęście nie ma rannych. Recepcjonista potwierdził, że w samochodzie był Jarvis.

- Chryste. - Siddely zbladł. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Powinieneś się napić - powiedział Bradley i zwrócił się do pozostałych: - Wszyscy powinniśmy.

Daniel podszedł do baru i wyjął kilka butelek. Postawił na barze tacę ze szklankami i nalał do nich whisky. Zebrani zaczęli popijać w milczeniu. Peachtree sączył powoli drinka, obserwując Bradleya.

Shepherd trzymał szklankę w ręku, ale nie pił. Napotkał wzrok Daniela i skinął głową.

- Widziałem ekipę telewizyjną. Domyślam się, że to ty ich wezwałeś.

Daniel skinął głową twierdząco.

- Nie jestem cynikiem, ale dlaczego inna stacja miałaby ubiec nas na naszym własnym terenie?

- Myślisz rozsądnie - odparł Bradley z uznaniem. - Co takiego mówiłeś mi na przyjęciu? Że Jarvis chciał cię mianować CEO?

- Tak mi się wydawało - odparł nerwowo Daniel. Bradley skinął głową.

- To dobry pomysł. Dostajesz tę posadę. Daniel otworzył ze zdziwienia usta.

- Ja... nie rozumiem. Myślałem...

- Nie zagłądaj darowanemu koniowi w zęby - przerwał mu Bradley. - Nie ulega wątpliwości, że poradzisz sobie z tym lepiej niż ja. Właśnie dałeś tego dowód. Potrafisz wyciągnąć korzyści z każdej sytuacji.

Siddely poczerwieniał.

- Teraz jednak mamy problem. Skąd wyciągniemy bez Jarvisa pieniądze na dalszą działalność? - spytał.
- Damy sobie radę - uspokoił go Bradley. - Najważniejsze to nie wpadać w panikę. Odłóżmy naradę na piątą po południu. Mam wrażenie, że przez parę godzin nie będziemy się mogli opędnąć od glin i dziennikarzy. - Zwrócił się do Daniela. - Jesteś CEO, więc nie masz wyjścia; musisz się tym zająć.
- Zaraz ściągnę służbę informacyjną - odparł Daniel. -Dobra - zwrócił się do pozostałych. - Spotkamy się tu o piątej. Peachtree wkroczył do gabinetu Shepherd'a ze ściągniętą, zmęczoną twarzą.
- Policja chce rozmawiać ze wszystkimi członkami zarządu. Powiedziałem im, że jesteśmy wstrząśnięci, i zgodzili się poczekać z tym do jutra rana.
- W porządku - odparł Bradley. Sędzia Gitlin spojrzał na Daniela.
- Czy policja domyśla się chociaż, kto to mógł zrobić? Zapytany pokręcił głową.
- Uważają jedynie, że to zawodowiec. Zastrzelił obu strażników przy wjeździe, żeby nikt nie mógł go zidentyfikować.
- Zastanawiam się, czy ten facet był w budce, kiedy ja wjeżdżałem - odezwał się Jed. - Przyjechałem tu niecałe pół godziny przed Jarvisem.
- Dostał pan instrukcje dotyczące parkingu? - spytał Daniel.
- Tak. Przykleił mi na szybie nalepkę.
- W takim razie był to któryś z naszych. Może jeden z tych zabitych. Policja chce tymczasem sprawdzić, co robił Jarvis przez ostatnie kilka dni. Może odkryją coś, co naprowadzi ich na właściwy trop.
- Ten rozgłos nie wyjdzie nam na dobre - stwierdził Bradley. - Nasze akcje dawno nie stały tak dobrze na rynku, a teraz polecą na łeb, na szyję. Wracajmy na zebranie i zasta-

nówmy się, czy można temu jakoś zaradzić. Panie Stevens, zechce pan poczekać kilka minut.

W milczeniu weszli do sali konferencyjnej. Pozostali członkowie zarządu byli już obecni. Bradley stanął przy swoim krześle i poczekał, aż wszyscy usiądą. Potem przekazał zebrany, czego dowiedział się od Daniela.

- Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci, panowie, więc sądzę, że zebranie nasze powinno być krótkie i rzeczowe. Stoimy w tej chwili wobec dwóch poważnych problemów. Pierwszy to pieniądze na dalszą działalność. Na szczęście udało mi się załatwić krótkoterminowy kredyt na osiemdziesiąt pięć milionów dolarów i sądzę, że to nas w tej chwili ratuje. Rozwiązanie drugiego problemu zależy od nas wszystkich. Musimy skupić wokół nas naszych przyjaciół na rynku. W tej kwestii proszę o pomoc każdego z was.

Wszyscy zebrani wyrazili zgodę. Bradley zwrócił się do Siddely'ego:

- Sherman, muszę wiedzieć jak najszybciej, kto będzie kontrolował akcje Jarvisa i jakie ma zamiary.

Sherman spojrzał na niego, a potem na pozostałych.

- O ile wiem, Jarvis kupił udziały osobiście na swoje nazwisko. Nie znam szczegółów testamentu, ale wiem na pewno, że jedyną spadkobierczynią będzie jego żona.

- Czy możesz się z nią skontaktować i dowiedzieć, co zamierza?

- Mogę spróbować - odparł Sherman. - Wiem, że go nienawidziła. Pozostawali małżeństwem jedynie przez wzgląd na problemy finansowe, jakie pojawiłyby się, gdyby doszło do rozwodu. Mieszka w Toronto; pojedę zobaczyć się z nią.

- Dobrze, dziękuję - odparł Bradley. - Przejdźmy teraz do innych spraw, równie palących. Jak może wiecie, muszę poświęcić dużo więcej czasu koncernowi naftowemu i w związku z tym wydaje mi się, że byłoby nie w porządku wobec Millennium, gdybym pozostał na dotychczasowym stanowisku. Dlatego proszę panów o przyjęcie kandydatury Daniela na CEO spółki, ja zaś przejąłbym stanowisko przewodniczącego rady nadzorczej.

Przez chwilę wszyscy spoglądali po sobie w milczeniu. Potem odezwał się Siddely:

- Martwi mnie ewentualny publiczny oddźwięk takiej zmiany w kierownictwie w tym momencie. Może powstać wrażenie, że w ten sposób uciekasz przed trudnościami, wobec których stanął nasz koncern.

- Nie gadaj bzdur, Sherman - odparł Bradley. - Wiem, że razem z Jarvisem proponowaliście już zarządowi kandydaturę Peachtree. Moja propozycja różni się tylko tym, że zamiast Jarvisa ja zostałbym przewodniczącym. Siddely poczerwieniał.

- Jarvis miał plan zreformowania koncernu.

- Może to zabrzmiało trochę cynicznie, Siddely, ale umarli nie realizują planów. Ty zaś dopilnuj, żebyśmy wiedzieli, kto ma akcje Jarvisa. - Zwrócił się do pozostałych. - Proponuję przegłosowanie obu kandydatur.

Wniosek został przegłosowany i przyjęty. Bradley uśmiechnął się.

- Gratuluję, Danielu. Masz teraz co robić. Musisz przygotować informację dla prasy o reorganizacji i o smutku, jakim napełniła nas wszystkich śmierć Jarvisa.

Daniel popatrzył po zebranych.

- Służba informacyjna już pracuje nad oświadczeniem. Ukaże się jutro.

- Świetnie - odparł Bradley.

- Informację o zmianach na stanowiskach podamy następnego dnia - dodał Daniel i spojrzał na Bradleya. - Czy te osiemdziesiąt pięć milionów jest pewne?

- Są w banku, przeleją je na nasze konto, jak tylko dopełnimy formalności - potwierdził Bradley.

- To mi bardzo pomoże w działaniu - odparł Daniel. - Mam sporo pomysłów, ale główny problem w tym, że agencje chcą najpierw widzieć nasze pieniądze.

Bradley znów się zwrócił do członków rady nadzorczej:

- Proponuję zakończyć naradę i pozwolić Danielowi pracować. Jeśli chodzi o nas, to obawiam się, że media i policja

doprowadzą nas do szalu. Nie da się tego uniknąć. Moja rada to odprężyć się, powiedzieć im, co wiemy, i wkrótce będzie po wszystkim.

Siddely pokręcił głową.

- Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Nie mam pojęcia, komu mogłoby zależeć na jego śmierci.

- Ja wiem - odparł Bradley. - Mnie.

Rozdział VII

Gratuluje, panie Peachtree - powitała go sekretarka, kiedy prosto z zebrania wrócił do swego biura.

- Dziękuję, Gladys. Jak się dowiedziałas? Gladys roześmiała się.

- Poczta pantoflowa działa szybciej, niż się panu wydaje.

- Zebrała z biurka stertę notatek i poszła za nim do gabinetu.

- Thyme dzwoniła dwa razy. Mówiła, że to bardzo ważne.

- Zadzwoń do niej. Poproś do mnie Shifrina.

- Tak, proszę pana - odparła wychodząc, po czym odwróciła się w drzwiach i dodała: - Jack Reilly pytał się, czy chce pan, żeby zmienić wystrój gabinetu pana Janasa, zanim się pan przeniesie.

Daniel popatrzył na nią. Król umarł. Naprawdę umarł. Niech żyje król.

- Jakoś nie zastanawiałem się nad tym. Powiedz mu, że się odezwę.

- Dobrze, panie Peachtree. Zaraz wezwę Shifrina. Peachtree odczekał, aż zamknie za sobą drzwi, po czym sięgnął po telefon i wykręcił prywatny numer Thyme.

- Halo? - jej głos wydawał się zdenerwowany.

- Tu Daniel - odezwał się ściszym głosem. - Chciałem do ciebie dzwonić, ale byłem zajęty. Wiesz o Janasie?

- Nie mogłam przeoczyć. Był we wszystkich stacjach telewizyjnych. Musiał niezłe wyglądać. Chryste, a jaki był wściekły, kiedy odgryzłam mu kawałek kutasa. Ciekawe, co teraz sobie myśli?

- Nie wygłupiaj się, Thyme. Gliny na pewno się dowiedzą, że byłeś z nim ostatniej nocy.

- Gliny już tu były - odparła. - Dlatego właśnie dzwonię.
- Co im powiedziałaś?
- Prawdę - odparła sucho. - Odwiózł mnie do domu po przyjęciu i zaprosiłam go na drinka. Stał się za bardzo agresywny, chciał mi wsadzić w usta, więc ugryzłam go w kutasa. Potem wyzwał mnie i wyszedł wściekły.
- Powiedziałaś to policji? - spytał z niedowierzaniem.
- Nauczyłam się już dawno, że policji nie należy kłamać. I tak zawsze dojdą prawdy.
- Powiedziałaś im, że przyleciałaś na przyjęcie moim samolotem?
- To już wiedzieli.
- O co jeszcze pytali?
- O nic szczególnego. Spyтали, czy znam kogoś, kto mógłby go skasować, a ja na to, że nikogo prócz mnie. Pośmiali się i poszli sobie.
- Mam nadzieję, że byłaś trzeźwa, kiedy z nimi rozmawiałaś. Nie sądzę, żeby spodobało im się, gdybyś była na haju.
- Odwal się, Daniel. To koleś z wydziału zabójstw, a nie od narkotyków.
- Będą o tobie pisać w prasie.
- Nie ma nic lepszego niż reklama.
- Ależ z ciebie zdzira - stwierdził z podziwem. - Dla ciebie nie ma żadnej świętości.
- Ty nie jesteś lepszy - odparła. - Nie słyszę, żebyś płakał.
- Nie mamy wyboru, prawda? Musimy grać kartami, jakie nam rozdadzą. - Rozległo się pukanie do drzwi, a potem zajrzał Neal. Daniel dał mu znak, żeby wszedł. - Dobra, Thyme, dzięki za telefon i odezwij się, jak będziesz czegoś potrzebować.
- Spoko. Rainbeau zaprosił mnie na weekend do siebie na Puerto Rico. Lecimy jutro z Methanie jego prywatnym odrzutowcem.
- Powinnaś dobrze się bawić. Słyszałem, że ma tam odlotowy dom.

- To nie będzie tylko zabawa. Zamierzamy nagrać razem album i teledysk. Ma kilka piosenek, nad którymi możemy popracować.

- To jeszcze lepiej. Rainbeau jest w naszej wytwórni.

- Ale ja nie - roześmiała się Thyme. - Będziesz musiał gadać z moimi ludźmi.

- Wredne babsko - parsknął. - Jestem jednak dobrej myśli. Jakoś dojdziemy do porozumienia.

- Z pewnością - odparła sucho. - Szczególnie po tym wszystkim, co razem przeszliśmy.

- Dziwka - zaśmiał się.

- Pa, kotku - powiedziała i rozłączyła się. Daniel spojrział na Neala.

- To była Thyme - wyjaśnił. - Wszystko w porządku. Nie będziemy mieli żadnych problemów. Policja już z nią rozmawiała.

- Nie powiedziała im, że to ty ich spiknąłeś? - Neal był jeszcze zaniepokojony.

- To szczerwana suka - odparł Daniel. - Drobnny szantaż zostawia na potem.

Neal uśmiechnął się.

- Od razu mi ulżyło. To mógł być dla nas spory kłopot. - Stał ciągle przed biurkiem. - Gratuluję, Danielu. Udało ci się. Nie wiem, czy mam cię pocałować, czy uścisnąć ci dłoń.

- Na razie poprzestań na uścisku dłoni - roześmiał się Daniel. - Nie wiem, komu może przyjść do głowy, żeby tu zajrzeć.

- Z tych wrażeń aż mi stanął; chyba tak łatwo nie minie - powiedział Neal, masując krocze.

Daniel utkwiał wzrok na wypukłości w spodniach Neala i poczuł suchość w ustach.

- Wyjmij go - poprosił ochrypłym głosem. - Chcę go zobaczyć.

Neal szybko rozpiął rozporek; wyskoczył z niego jego nabrzmiały członek. Nie dotykając się, Neal spojrział Danielowi prosto w oczy.

- Powiedz tylko słowo - szepnął - a spuszczę ci się na biurko.
- Daniel poczerwieniał i wziął głęboki oddech.
- Schowaj go - powiedział nerwowo. - Nie pora na szaleństwa.
 - Kocham cię - oświadczył Neal.
 - Poczekaj, aż wrócimy do domu. Teraz mamy co nieco do zrobienia.
- Neal poprawił ubranie i usiadł na krześle naprzeciw Daniela.
- W porządku - uśmiechnął się. - Jestem gotów.
 - Czy dokumentacja dotycząca zmian w koncernie, którą przygotowaliśmy dla Janasa, jest jeszcze w drukarni?
 - Tak.
 - Zabierz papiery i przywieź do domu. Upewnij się, czy są wszystkie i daj je na przemiał prócz dwóch egzemplarzy. Gdyby wpadły jakiemuś dupkowi w ręce, mógłby nas usadzić.
 - To znaczy, że cała nasza robota poszła na marne? - spytał Neal.
 - Niezupełnie. Po prostu zrobimy to jeszcze raz pod kątem Shepherd'a. Ten program jest równie dobry dla niego, jak był dla Jarvisa.
 - Ale Jarvis miał pieniądze na jego realizację. Skąd wiemy, ile zostało Shepherdowi?
 - Myślę, że on ma pieniądze - odparł Daniel. Neal popatrzył na niego badawczo.
 - Czy sądzisz, że Shepherd miał coś wspólnego ze śmiercią Janasa?
 - Wątpię. Odniosłem wrażenie, że miał zamiar przyjąć jego ofertę - powiedział Daniel, wstając zza biurka. - Teraz zbieraj się, powinieneś zdażyć do drukarni, zanim zamkną o ósmej.
- Począł, aż Neal zamknie za sobą drzwi, a potem poprosił sekretarkę, żeby poszukała Siddely'ego. Znalazła go w gabinecie Janasa. Daniel połączył się z nim telefonicznie.
- Sherman, wydaje mi się, że powinniśmy pogadać.

- Myślałem o tym samym. Zaraz do ciebie zejdę. Adwokat przyszedł już do siebie po wstrząsających wydarzeniach tego popołudnia. Wyciągnął do Daniela rękę.
 - Gratuluję - powiedział. - Cieszę się, że Bradley dokonał właściwego wyboru.
 - Dzięki, Sherman. - Daniel wskazał mu krzesło. - Dalej jednak mamy parę problemów. Najważniejsze to, czy grożą nam jakieś zgrzyty ze strony koncernu Janasa albo jego spadkobierców?
- Sherman pokręcił głową.
- Próbowałem już skontaktować się z panią Jarvis, ale podróżuje po Ameryce Południowej i wygląda na to, że nikt nie wie dokładnie, gdzie jest.
 - To mi wcale nie poprawia nastroju - odparł Daniel.
 - To jeszcze nie wszystko - dodał Sherman. - Jarvis miał własne dwieście milionów, ale to było mało, wziął więc cichego wspólnika, który miał mu wpłacić kolejne dwieście. Spodziewał się też jeszcze czterystu milionów, żeby wykupić Bradteya. Nie wiem, skąd on miał zamiar wytrzasnąć takie pieniądze.
 - To kupa forsy. Jak on chciał to ukryć? - zastanawiał się Daniel.
 - Jarvis był dziwnym facetem. Wszystko trzymał w tajemnicy. Nawet ja nie wiem, z kim on robił takie interesy.
 - Brudne pieniądze - mruknął oschle Daniel.
 - Możliwe - odparł Sherman, unosząc ręce. - Tego jednak niewierny.
- Siedzieli przez chwilę w milczeniu.
- Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to - odezwał się w końcu Daniel - że powinniśmy wziąć na przeczekanie.
 - Sięgnął po pierwszego od pół roku papierosa. Zaciągnął się mocno i zakasłał, omal się nie dusząc. Szybko zgasił go.
 - Cholera - mruknął i popatrzył na Shermana. - Myślisz, że Bradley miał z tym jakiś związek?
 - Nie sądzę - odparł Sherman. - Bradley wypadł z gry.
 - Wydawał się bardzo pewny siebie. Nawet przed wybuchem - stwierdził Daniel. - Nie rozumiem jednak ciągle

dwóch rzeczy. Co znaczyło to spotkanie z sędzią Gitlinem i Jedem Stevensem?

- Sędzia Gitlin to adwokat Bradleya z Oklahomy. O Stevensie nic nie wiem.

- To CEO General Avionics Leasing Corporation - odparł Daniel. - Musi siedzieć przynajmniej na sześciu miliardach. Dzierżawi samoloty dla połowy linii lotniczych na świecie.

- Czy myślisz, że Bradley wciągnął go do gry?

- Wszystko jest możliwe - stwierdził Daniel. - To kolejna rzecz, jakiej musimy się dowiedzieć.

Rozdział VIII

Bradley siedział rozparty na krześle za biurkiem. Patrzył na sędziego Gitlina i Jeda, którzy ulokowali się naprzeciw niego w fotelach. Wyciągnął z kieszeni na piersi białą chusteczkę i otarł pot z czoła.

- O Jezu - wymamrotał. -O Jezu. Sędzia Gitlin popatrzył na niego.

- Moglibyśmy się jeszcze czegoś napić?

- Sherry - powiedział Bradley do interkomu - dla sędziego szklaneczka CC, dla mnie Glenmorangie z lodem - przerwał, zwracając się do Jeda: - Czego się pan napije?

- Czarnej kawy z cukrem - odparł Jed.

Po chwili weszła do gabinetu Sherry i postawiła przed nimi napoje.

- Nie ma mnie dla nikogo - oznajmił Bradley, zanim wyszła. Sherry skinęła głową i zamknęła za sobą drzwi.

Bradley podniósł swoją szklanekę.

- Zdrowie.

Sędzia skinął głową i jednym łykiem wypił połowę drinka. Bradley jeszcze raz nacisnął guzik interkomu.

Sherry, zapomniałem. Sędziemu nie wystarczy szklaneczka, przynieś całą butelkę.

Sherry natychmiast pojawiła się z butelką Canadian Club, postawiła ją na biurku przed Gitlinem i znów wyszła.

Bradley siedział przez chwilę w milczeniu, a potem odezwał się do Jeda:

- Zupełnie nie wiem, co myśleć. Pojawiłeś się z zaskoczenia. Co cię skłoniło do wejścia do gry?

- Byłem wczoraj na twoim przyjęciu-odparł Jed.

- Podobnie jak pięćset innych osób. Jednak nikt z nich nie przyszedł do mnie z osiemdziesięcioma pięcioma milionami.

- Interesuje mnie jeszcze inna sprawa - wtrącił sędzia. - To dokładnie tyle, ile potrzebował Bradley, żeby utrzymać się w spółce. Skąd wiedziałeś?

Jed uśmiechnął się.

- Wszyscy mamy przyjaciół. Przyjaciele mówią to i owo. Lubię hazard.

- To wysoka stawka - stwierdził sędzia.

- Nie wygrywa się, stawiając grosze - odparł Jed.

- Co zamierzasz z tego mieć?

- Jeszcze nie wiem. Właśnie dlatego powinniśmy porozmawiać.

- Nawet z tą sumą nie byłbym dość silny, by stawić czoło Jarvisowi. Pojawiłeś się jeszcze przed jego wypadkiem

- powiedział Bradley. - Wciąż nie rozumiem, dlaczego?

Jed uśmiechnął się.

- Może spodobał mi się twój styl. Wystawiłeś bombową imprezę.

Sędzia dolał sobie do szklanki.

- Jesteś młody, skąd wzięłeś takie pieniądze?

- Mam sześćdziesiąt procent udziałów w firmie, którą sam założyłem: General Avionics Leasing Corporation, której majątek wynosi sześć miliardów. - Jed popatrzył na rozmówców. - Widzicie, panowie, stać mnie na tę grę. A teraz odprężcie się, nie zamierzam niczego wam zabierać. Może uśmiechnie się do nas szczęście i zarobimy razem kupę forsy.

Bradley odwrócił się do sędziego.

- Co o tym wszystkim sądzisz?

- Nie masz wyboru - powiedział Gitlin. - Poza tym on mi przypomina ciebie. Obaj jesteście stuknięci.

- Niepokoją mnie udziały Jarvisa. Jego spadkobiercy mają prawo do czterdziestu procent udziałów Millennium.

Skąd wiemy, co oni robią? - zastanawiał się Bradley.

- Sam sobie nawarzyłeś piwa - odparł surowym głosem sędzia - sam będziesz musiał je teraz wypić.

- Bradley da sobie radę - zapewnił sędziego Jed. - Wierzę w to.
 - Dziękuję - odparł Bradley. - Pogadamy o tym, kiedy będziemy znali więcej faktów.
 - Oczywiście - zgodził się Jed. - Muszę już wracać do biura. - Wstał i położył na biurku kilka wizytówek. - Zadzwońcie do mnie albo ja do was zadzwonię. Ustalimy odpowiednie procedury - prawnicy, księgowi i tak dalej. Bradley podniósł wzrok.
 - Nie chcesz weksła na te osiemdziesiąt pięć baniek? Jed spojrzał mu w oczy.
 - A masz na nie pokrycie?
 - Nie - odparł Bradley.
 - No to co za różnica? - stwierdził Jed z uśmiechem. - Wystawisz mi go później. - Uścisnął dłoń Bradleya, a potem sędziego. - Do zobaczenia, panowie - powiedział na pożegnanie i opuścił gabinet.
- Sędzia Gitlin przez chwilę wpatrywał się w zamknięte drzwi. W końcu zwrócił się do Bradleya:
- Trzeba porządnie prześwietlić tego gościa. Na mój gust jest zbyt wyluzowany. Poza tym trudno ufać komuś, kto nie Pije.
- Bradley potrząsnął głową i zawołał Sherry przez interkom.
- Połącz mnie z McManusem w Bank of America - polecił, a potem zwrócił się do sędziego: - Poznałeś McManusa na zebraniu rady nadzorczej. Był już jej członkiem, kiedy ja przyszedłem do Millennium. On sprawdzi dla nas Stevensa.
 - Kiedy wreszcie pójdziemy do domu? - spytał sędzia. - Nie zapominaj, mam swoje lata i potrzebuję odpoczynku. Bradley roześmiał się.
 - W takim razie powiem Charlene, żeby odwołała twoją umówioną kolację.
 - Kolację? - zdziwił się sędzia. - Z kim?
 - Z Zsa Zsa Gabor - odparł Bradley. - Ona lubi starszych panów.
 - Nie chcę krzyżować planów Charlene - odparł pośpiesznie sędzia. - Z pewnością już wkrótce poczuję się lepiej.

Jed wjechał na parking znajdujący się na dolnej kondygnacji dziesięcioletniego budynku przy Century Boulevard, naprzeciwko terenów frachtu lotniczego LAX. Zostawił swojego Chevroleta parkingowemu i skierował się w stronę wind. Nacisnął guzik szóstego piętra, na którym znajdowało się jego biuro.

Przy drzwiach windy czekała jak zwykle Kim Latimer, wicedyrektor handlowy, oraz Jim Handley z wiecznie zatroskaną twarzą, wicedyrektor i skarbnik GALC. Nigdy dotąd nie udało się Jedowi przyjść do biura, nie spotykając tych dwojga przy drzwiach windy. Był przekonany, że przekupili parkingowego.

- Miałeś sporo roboty - powitała go Kim.

- Co nieco - odparł, kierując się do swego gabinetu.

- Co zrobiłeś z osiemdziesięcioma pięcioma milionami? - spytał Jim. - Nie starczyło nam na zapłacenie Boeingowi.

- Są bezpieczne - odparł. - Zapłać Boeingowi z konta rezerwowego.

Weszli za nim do gabinetu. Jed rzucił okiem na leżące na biurku informacje i pokręcił głową. Od wuja nie było żadnej. Handley spojrzał na Jeda.

- Co się stało z Jarvisem? - spytał.

- Stracił głowę - odparł Jed z ironią.

- Niewesoło - stwierdził skarbnik. - Czy to może nam jakoś zaszkodzić?

- Nie sędzę. Wszedłem w układ z Bradleyem.

- Jak na tym wyjdziemy? - spytał Jim. Jed wzruszył ramionami.

- Nie jestem jeszcze pewien. Rozgrywam to sam. Jutro przeleję pieniądze z mojego konta na konto firmy.

- W porządku - skwitował Jim. - Dbam tylko o nasze wspólne interesy.

- Wszystko będzie dobrze. Dzięki.

Jim wyszedł z gabinetu. Kim stanęła przed biurkiem.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Nieźle - odparł Jed, siadając na krześle. - To był potworny dzień. Jestem zmęczony.

Obeszła biurko i stanęła za plecami Jeda.

- Rozmasuję ci szyję i ramiona.

- Dobrze - zgodził się. Miała łagodny, czuły dotyk. Jed odwrócił głowę. - To działa; naprawdę pomaga.

- Twój wuj dzwonił na mój prywatny numer - oznajmiła Kim.

Jed podniósł głowę.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Nie chciałam przy Jimie.

- Co powiedział?

- Powiedział, że zadzwoni do ciebie do domu o północy naszego czasu.

- Co jeszcze mówił?

- „Rico” - odparła. - Nie mogli go dopaść w Nowym Jorku, więc teraz zbierają wielką radę przysięgłych, żeby przymknąć go w New Jersey. - Podniosła wzrok. - Chciał, żebyś sprawdził, czy nie masz podsłuchu w telefonach i w mieszkaniu.

- Zadzwoń do Scanlona z ochrony; niech się tym zajmie.

- Masz jakieś kłopoty? - spytała z troską w głosie.

- Ja nie - odrzekł. - Martwię się o wuja. - Popatrzył, jak Kim dzwoni do ochrony, a potem przejrzał informacje, leżące na biurku. Tylko jedna była godna uwagi. Podniósł słuchawkę drugiego aparatu. - Połącz mnie z Rudym Mayerem z działu zakupów - poprosił jedną z sekretarek.

- Tak, szefie? - zgłosił się Rudy.

- Co za biznes oferuje nam Aerospatiale z A 300?

- To ich nowy model. A 300-200. Ma zwiększoną pojemność, może pomieścić czterystu pasażerów. Jeśli zamówimy dziesięć sztuk i wprowadzimy na linie amerykańskie, oferują dwudziestoprocentowy rabat.

- Czy dali ci jakieś wyobrażenie o sumach?

- Nie - odparł Rudy. - Nie podadzą żadnych konkretów, dopóki nie wyrazi pan swojego zainteresowania.

- Linie krajowe nie mają zaufania do zagranicznych maszyn. Znajdziemy jednak dla nich rynek. Sezon wakacyjny. Na Florydę i do Meksyku śmiało można zwiększyć liczbę lotów.

- Co im powiedzieć?
 - Że jestem zainteresowany. Zacznę rozmowy z Eastern, American, Western i Mexicana.
 - Mexicana to nie są linie amerykańskie - zauważył Rudy. - Może będą chcieli sprzedać im bezpośrednio. Jed roześmiał się.
 - Meksykanie nie mają pieniędzy.
 - Dobrze, szefie. Zajmę się tym. Jeszcze tylko jedno pytanie: co pan zrobi, jeśli Boeing wkurzy się, że ich pan wykiwał?
 - Wszystko sprowadza się do pieniędzy - odparł Jed. - A 300 ma lepszą ładowność i zużywa o trzydzieści procent mniej paliwa niż B 727. Może nadszedł czas, żeby Boeingowi przestało się wydawać, że jest jedyną firmą lotniczą na świecie.
- Odłożył słuchawkę i spojrzał na Kim.
- Scanlon powiedział, że zaraz się tym zajmie - powiedziała.
 - Dobra - uśmiechnął się do niej. - Jedźmy do domii; wezmę prysznic i przebiorę się. Potem zabieram cię na kolację.
 - W porządku - odparła. - Tylko pod jednym warunkiem.
 - Jakim?
 - Nie pojedziemy tym gratem.
 - Nie ma sprawy, weźmiemy Corniche'a.
 - Cudownie - zawołała i sięgnęła po telefon.
 - Dokąd dzwonisz? - spytał.
 - Do Chasen's. Gdzie indziej można jechać Rollsem?

Rozdział IX

Czemu się nie położysz? - spytała Kim. - Już prawie druga w nocy, powinienes się trochę przespać.

- Wuj Rocco powiedział, że zadzwoni - przypomniał z naciskiem Jed.
- Na wschodzie jest już piąta rano. To starszy człowiek, pewnie już poszedł spać. Zadzwoni do ciebie później.
- Nic nie wiesz o mojej rodzinie. Wuj Rocco na pewno zadzwoni. Nie nazywają go *capo* ot, tak sobie.
- No, dobrze - uległa Kim. - Jeśli tak uważasz. Zadzwonił telefon. Nie na jego prywatny numer, tylko centrali. Jed był zaskoczony. Podniósł powoli słuchawkę.
- Stevens.

Telefonistka odezwała się przeproszającym tonem:

- Pana wuj jest tutaj, panie Stevens. Nie podał mi swojego nazwiska.
- Nie potrzebuje podawać nazwiska - odparł ze śmiechem Jed - skoro to mój wuj. Czy przyszedł sam?
- Nie, panie Stevens. Jest z nim dwóch dżentelmenów.
- Niech ich ktoś przyprowdzi do mnie. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Kim.
- Wuj Rocco jest tutaj.
- Lepiej coś na siebie włożę - stwierdziła.
- Spokojnie. Przyjmę ich w salonie. Wuj nie jest sam, ma ze sobą sekretarkę i ochroniarzy.
- Twój wuj musi być nie byle kim.
- Jest staroświecki. Ojciec Chrzestny nie rusza się nigdzie bez swojej świty.
- Jeśli jest staroświecki, to co sobie o mnie pomyśli? - spytała, wkładając spodnie.

- Dzwonił do ciebie, prawda?
- Tak- przyznała, zapinając bluzkę - ale chciał rozmawiać z tobą.
- Nie zadzwoniłby do ciebie, gdyby nie uważał, że jesteś w porządku - uśmiechnął się. Rozległ się dzwonek do drzwi. - Otworzę.

Wyszedł do przedpokoju i otworzył drzwi. Wcisnął gońcowi piątkę i wprowadził wuja do środka. Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem padli sobie w objęcia i ucałowali się. Wuj miał na sobie zimowe palto.

- Witaj w Kalifornii, wuju Rocco - powitał go Jed. - Pozwól, że zdejmę ci palto. Tutaj jest gorąco.
- Spocilem się jak mysz - przyznał wuj. Potem wskazał na towarzyszących mu mężczyzn. - Pamiętasz Danny'ego i Samuela?

Jed przytaknął i przywitał się z nimi. W tym momencie do salonu weszła Kim.

Wuj uśmiechnął się do niej.

- Ty jesteś Kim, dziewczyna Jeda. Rozmawiałem z tobą kilkakrotnie przez telefon - pocałował ją w rękę. - Bardzo ładna - zwrócił się do Jeda, a potem spytał Kim po włosku: -Siciliana?

Roześmiała się i odpowiedziała również po włosku:

- Nie, pochodzę ze szkocko-irlandzkiej rodziny.
- Całkiem nieźle - uznał wuj Rocco.
- Musisz być zmęczony - stwierdziła Kim. - Zrobić ci kawę i kanapki?
- Tylko kawę, czarną i mocną - poprosił.
- Już się robi - odparła i zniknęła w kuchni.
- Dobrze wyglądasz, wuju - odezwał się Jed.
- W moim wieku trzeba przestrzegać diety. Mniej potraw mącznych, mniej mięsa, więcej ryb i zieleniny.
- Wino?-spytałJed.
- Może później. Jesteś zaskoczony moim przyjazdem?
- Owszem.
- To sprawa rodzinna - wyjaśnił Rocco. - Nie możemy rozmawiać o tym przez telefon, więc przyleciałem czarterem.

Jed spoglądał na niego w milczeniu.

- Czy możemy gdzieś pomówić na osobności? - spytał wuj.

- Tu nikt nas nie usłyszy.

Kim postawiła przed nimi dzbanek z kawą i zamknęła za sobą drzwi. Jed napełnił filiżanki i usiadł wygodnie.

- W porządku? - spytał.

- Twoja dziewczyna robi dobrą kawę - przyznał wuj Rocco.

- Nie przyjechałeś tu na kawę.

- Zgadza się - odparł. - Kanadyjczyk dostał w czapę.

- Wiem. Byłem tam.

- To był zły człowiek.

- Nie gorszy od innych. Każdy staje się zachłanny, kiedy w grę wchodzi duże pieniądze.

- Nie chodziło tylko o pieniądze. Wystąpił przeciwko swoim przyjaciołom. To niezgodne z zasadami.

- Nie rozumiem-powiedział Jed.

- „Rico” - odparł wuj. - Ten facet pojechał do Nowego Jorku i powiedział Giulianiemu, skąd pochodziły pieniądze, które mu pożyczyłem. Giuliani nakłonił prokuratora okręgowego New Jersey do wytoczenia mi nowego procesu.

Próbowali mnie nakryć na Manhattanie, potem w Brooklynie, ale im się nie udało, więc próbują znowu.

- Powtórne pociągnięcie do odpowiedzialności za to samo przestępstwo?

Rocco roześmiał się.

- Nie wygłupiaj się. Każda sprawa jest inna. Teraz próbują wymyślić inne oskarżenie. Doszły mnie słuchy, że chcą mnie wpakować za związki i korupcję w Atlantic City.

- Mogą coś znaleźć przeciwko tobie?

- Nie wydaje mi się, żeby mogli. Kiedy zaoferowano mi związki w Atlantic City, zrzekłem się i przekazałem je rodzinie Scarfo z Filadelfii. Powiedziałem, że mogą wziąć je wszystkie. Nie interesowały mnie jakieś bzdury. Chciałem być jak Frank Costello. Statecznym obywatelem.

- W takim razie, czy masz się czym martwić?

- Mam nadzieję, że nie - odparł Rocco. - Jedyne obciąża-

jące mnie informacje pochodziły od Jarvisa. On jednak nie może już stanąć przed ławą przysięgłych. Umarli nie składają zeznań.

Jed popatrzył na wuja z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Nie powiesz mi chyba, że to ty go załatwiłeś?

- Masz mnie za idiotę? - oburzył się wuj Rocco. - Wtedy dopiero Giuliani dobrałby mi się do skóry.

- Jednak dalej próbuje cię przymknąć.

- Próbować a przymknąć to dwie różne rzeczy - odparł Rocco. - Nie powiem, chętnie dorwałbym tego sukinsyna, ale ktoś mnie ubiegł.

- Muszę się napić - powiedział Jed wstając. - Masz na coś ochotę?

Rocco skinął głową.

- Masz jakieś *vino rosso*?

- Bolla Chianti.

- Z winnicy?

- Oczywiście. Nauczyłem się czegoś od ciebie.

Jed przeszedł do salonu. Na sofie siedzieli ludzie wuja, a przed nimi, na stoliku, stał dzbanek z kawą. Wszedł do sypialni.

Kim siedziała na łóżku czytając gazetę. Podniosła wzrok;

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Świetnie. Jak się czujesz?

- Dobrze. Jestem tylko trochę zdenerwowana.

- Nie ma powodu - uspokoił ją. - Wuj Rocco chciał *vino rosso*, a ja też muszę się napić. Przyszedłem po drinki.

- Pomóc ci?

- Nie, dam sobie radę.

Przeszedł przez salon do kuchni. Otworzył butelkę wina, wrócił do stojącego w rogu salonu barku, wyjął z niego butelkę Glenlivet, kieliszki oraz wiaderko z lodem, po czym ustawił wszystko na tacy i zaniósł do pokoju.

Wuj wziął do ręki butelkę i przeczytał nalepkę.

- Osiemdziesiąty drugi — stwierdził z zadowoleniem. -Bardzo dobry rocznik. Rzeczywiście, czegoś się nauczyłeś.

Jed uśmiechnął się; przygotował szkocką z lodem, wuj Rocco zaś nalał sobie kieliszek wina. Podnieśli szkło.

- *Salute*.

Jed pociągnął mały łyk. Poczekał, aż wuj wypije, po czym ponownie napełnił jego kieliszek.

- Czy domyślasz się, kto to zrobił? - spytał.

- Domyślam się - odparł Rocco. - Zlecenie przyszło z Kanady. Zabójca to francuski Kanadyjczyk, pracujący po obu stronach granicy.

- W takim razie policja nie powinna mieć kłopotów z namierzeniem go.

Wuj uśmiechnął się.

- Policja nigdy do niego nie dotrze. To profesjonalista. Teraz jest prawdopodobnie w drodze do Europy albo do Ameryki Południowej.

- Wydajesz się tego całkiem pewien - stwierdził Jed.

- Tam mu zapłacą. We Francji albo w Peru. - Wuj pociągnął łyk wina. - Jeśli jest naprawdę sprytny, pojedzie do Francji. Jeśli wyląduje w Peru, koniec z nim. Załatwią go.

- Wiesz coś, czego ja nie wiem? - spytał Jed. Wuj skinął głową.

- Alma Vargas.

- Ta Peruwianka? - wykrzyknął zdziwiony Jed. - Co ona ma z tym wspólnego?

- Wyszła za męża za Jarvisa trzy lata temu we Francji. Zamierzał się z nią rozwieść. To jej się nie podobało. Jarvis był bardzo bogaty. Teraz ona jest bardzo bogata *putana*. - Rocco zaśmiał się. - Kiedyś chciała wyjść za ciebie za męża.

- O Jezu - jęknął Jed i nalał sobie kolejną szkocką. - Twoja forsa przepadła.

- Może nie - uśmiechnął się Rocco. - Ona dalej cię lubi.

- Zaraz, ona nie zwróci ci tych pieniędzy.

- Wiem o tym - odparł wuj Rocco. - Chcę tylko tyle, żebyś postarał się, aby udziały Jarvisa wspierały Shepherdę.

- Czy ona wie, że dałeś Jarvisowi pieniądze?

- Sama mnie z nim poznała. Wydawało mi się, że ma świetny plan. - Utkwił wzrok w kieliszku. - Może nie okaza-

łem się zbyt sprytny, ale to samo dotyczy Jarvisa. Ta peruwiańska *putana* okazała się sprytniejsza od nas wszystkich.

- Peruwiańska cipka - roześmiał się Jed.

- Nie rozumiem. Jed spojrział na niego.

- Kilkanaście lat temu stanęła przede mną nago na pokładzie łodzi płynącej Amazonką i powiedziała, że jeśli chodzi o te rzeczy, jest najlepsza na świecie. Nie powiedziała mi jednak, że jest również najsprytniejsza.

- Co ty na to? - spytał wuj Rocco. - Pogadasz z nią?

- Oczywiście. Nie musimy jednak nic robić. Pieniądze należą już do spółki i nie ma sposobu, żeby mogła wyciągnąć je z powrotem. Wierz mi, wuju Rocco, to coś, na czym się naprawdę znam. Kiedy doprowadzę wszystko do końca, będziemy mieć z Shepherdem pełną kontrolę, a jej udziały pozostaną nieznaczące.

- Jesteś pewien?

- Na tym polega mój biznes - odparł Jed.

Wuj Rocco siedział przez chwilę w milczeniu, a potem westchnął.

- Starzeję się - powiedział. - Dziesięć lat temu za żadne skarby nie poszedłbym na taki interes. Byłby dla mnie za legalny.

- Legalny, nielegalny, to tylko kwestia podejścia. Chodzi przecież o to samo.

- Nie - odparł Rocco. - Jestem za stary. Straciłem wyczucie.

- Jesteś taki jak zawsze, wuju - zaprotestował łagodnie Jed. - Zmieniły się tylko zasady gry.

Wuj Rocco pokręcił powoli głową.

- Chcę, żebyś wrócił do rodziny.

- Nigdy nie zerwałem z rodziną. Co mam zrobić?

- Starzeję się - odparł Rocco znużonym głosem: - Chcę, żebyś mi pomógł.

Jed wziął starca za rękę. Poczował, że drży.

- Jak, wuju Rocco?

- Zabierz mnie z pola bitwy. Chcę umrzeć w łóżku.

Ostatni człowiek honoru

Irysy toffi. Molo. Domy aukcyjne, dzięki którym fałszywe antyki zalewały sklepy na bulwarze nadbrzeżnym. Dwuosobowe ryksze przemykające bulwarem w tę i z powrotem, pchane przez uśmiechniętych Murzynów, którzy za siedemdziesiąt pięć centów za godzinę wynajmowali się jako przewodnicy. Piaszczyste plaże oblegane przez rodziny. Przekupnie, głównie kilkunastoletni chłopcy, oferujący kandyzowane jabłka i lody na patyku. Takie Atlantic City pamiętam z czasów, gdy miałem osiem lat i spędzałem dwa tygodnie u ciotki Rosy, w małym domku, który wynajęła na samym końcu bulwaru.

Z okien,, położonego na dachu wieżowca, apartamentu wuja Rocco rozciągał się widok na hotele i kasyna, których było tak dużo, że miasto wyglądało niczym drugie Las Vegas. Odszedłem od okna i wróciłem do masywnego mahoniowego biurka, na którym stał duży słoik wypełniony irysami toffi.

- Nie wiedziałem, że je lubisz.
- Czemu nie? Prezydent ma na swoim biurku słoik gumisiów.

Roześmiałem się.

- Pamiętam, że kiedy byłem u ciotki Rosy, nie pozwalała mi ich jeść. Mówiła, że od tego robią się dziury w zębach.
- Kobiety miały w tamtych czasach dziwne pomysły. Miałeś po toffi jakieś dziury?
- Miałem dziury, ale nie wiem, czy to z powodu toffi. Nigdy nie jadałem ich zbyt wiele.
- Jajem bez przerwy i nie mam żadnych dziur. Przykleja-

ją się tylko do mojej protezy i muszę ją potem wyjmować i czyścić.

- Nie wiedziałem, że masz sztuczną szczękę.

- Od dawna - odparł. - Kiedy byłem młody, pewien skurwiel przywalił mi kijem baseballowym w twarz.

- Co mu zrobiłeś? - spytałem.

- Nic - powiedział. - Chciałem rozpieprzyć sukinsyna, ale twój dziadek mnie powstrzymał. Tamten pochodził z Geno-veze i wynikłaby z tego wojna. W tamtych czasach Genovese stanowili najsilniejszą rodzinę w Nowym Jorku i mogli nas zmieść z powierzchni ziemi. Tak więc ojciec wysłał mnie do najlepszego protetyka na Manhattanie i skończyłem z najdoskonalszą sztuczną szczęką na świecie.

Roześmiałem się.

- Ciągłe wygląda nieźle.

- To już chyba piąta - odparł wuj. Popatrzyłem na niego.

- Mieliśmy o czymś porozmawiać.

- To prawda - przyznał. Zadzwoił telefon i wuj podniósł słuchawkę. Słuchał przez chwilę, a potem skinął głową.

-Niech wejdzie. - Po chwili spojrział na mnie. - Muszę porozmawiać z pewnym człowiekiem. To nie potrwa długo.

- Mogę poczekać. Chcesz, żebym wyszedł?

- Nie - odrzekł. - Możesz stać przy oknie. - Otworzył szufladę, wyjął z niej pistolet i podał mi go. - Wiem, że umiesz się nim posługiwać.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

- Spodziewasz się kłopotów?

- Raczej nie - odparł. - Jednak w mojej branży... - Wzruszył ramionami.

Podszedłem do okna i wsunąłem pistolet do kieszeni marynarki. Kątem oka dostrzegłem wchodzącego mężczyznę

-był śniady, ubrany w przyciasny garnitur i miał wściekły wyraz twarzy.

Mój wuj wstał zza biurka i wyciągnął rękę na powitanie.

- Nico - zawołał z udaną serdecznością - miło mi ciebie widzieć.

Mężczyzna zignorował wyciągniętą dłoń.

- Orznąłeś mnie na trzysta kawałków - rzucił ostro. Wuj nie tracił spokoju.

- Dureń z ciebie. Gdybym chciał cię orznać, straciłbyś trzy miliony.

Sądząc po głosie, był jeszcze bardziej wściekły.

- Nie chodzi o forszę - warknął. - Chodzi o zasady.

- Co ty wiesz o zasadach, gnojku? - odezwał się chłodno wuj Rocco. - Okantowałeś swojego ojca, zanim zdążył ostygnąć na łożu śmierci. Co się stało z pieniędzmi, które twój ojciec chciał rozdzielić między ciebie a twojego wuja?

- Mój wuj zniknął - odparł Nico. - Nie udało nam się go znaleźć.

- Upewnij się, czy nikt go przypadkiem nie szuka - odparł Rocco. - Szczególnie na świńskiej farmie koło Secaucus.

- To wszystko brednie - wybuchnął Nico. - Mam u ciebie trzysta kawałków.

Wuj Rocco wstał.

- Jestem człowiekiem honoru - zaczął cicho. - Kiedy tu przyjechałem, zawarłem z twoim ojcem umowę. Przejął związki, ja zaś dostawałem od niego pięć tysięcy miesięcznie. Po jego śmierci nigdy nie prosiłem o pieniądze.

Przysyłano je co miesiąc przez posłańca, tak jak to robił twój ojciec.

Nico popatrzył zdziwiony.

- Nikt nie został do tego upoważniony.

- To twój problem - oświadczył krótko wuj. - Może w twojej organizacji nikt ciebie nie lubi.

- Wywalę tego sukinsyna - oświadczył Nico.

- To wciąż twój problem - odparł Rocco. - Dopilnuj tylko, żeby co miesiąc docierało do mnie pięć kawałków.

Zgodnie z umową, jaką zawarłem z twoim ojcem.

- A jeśli nie?

Wuj Rocco uśmiechnął się i usiadł z powrotem za biurkiem.

- Tak jak powiedziałem, jestem człowiekiem honoru. Dotrzymuję słowa i mam nadzieję, że ty uszanujesz słowo

swego ojca. - Przerwał na chwilę, a potem dodał z łagodnym uśmiechem: - Albo znajdziesz się u boku swego wuja na świńskiej farmie. Nico wbił w niego wzrok.

- Jesteś stukniętym staruchem. Mogę cię załatwić tu, na miejscu.

Wuj Rocco, który obserwował mnie kątem oka, pokręcił ledwo dostrzegalnie głową.

- W takim razie jesteś większym głupcem, niż myślałem - odparł spokojnie. - Nie wyszedłbyś stąd żywy. - Roześmiał się. - Ja mam siedemdziesiąt dwa lata, ty zaledwie czterdzieści siedem. Masz straszny niefort. Agencje ubezpieczeniowe dają mi jeszcze cztery lata, tobie zaś dwadzieścia siedem.

Nico siedział przez chwilę w milczeniu, aż w końcu skinął głową.

- Don Rocco - odezwał się z szacunkiem - przepraszam. Poniosły mnie nerwy.

- Nie szkodzi, synu - odparł spokojnie wuj. - Po prostu pomyśl, zanim coś zrobisz. Wtedy życie stanie się prostsze.

- Tak, don Rocco - zgodził się Nico, wstając z krzesła. -Raz jeszcze przepraszam.

- Do widzenia, synu - pożegnał go wuj. Popatrzył, jak opuszcza gabinet, a potem odwrócił się do mnie. - Teraz widzisz, dlaczego chcę, żebyś mnie z tego wyciągnął. Mam już dość zajmowania się takimi szaleńcami.

- Czy naprawdę sądzisz, że mógł coś zrobić? - spytałem.

- Kto wie? - odparł pytaniem na pytanie. - Jednak nie będzie miał już więcej okazji. Dzięki mnie pewien facet -jego prawa ręka - zgłosił się do fedsów. Usadzą go.

- Zadajesz się z FBI? - spytałem.

- Nie.

- Ale kazałeś jego człowiekowi gadać z fedsami.

- Ten człowiek zwrócił się do mnie po radę. Wiedział, że jestem człowiekiem honoru z dużym doświadczeniem - wy-

jaśnił cichym głosem. - Powiedziałem tylko, że fedsy go nie zabiją, a Nico tak. Decyzję podjął sam. - Wyciągnął rękę.

-Oddaj mi broń.

Położyłem pistolet na biurku. Wuj przetarł go miękką szmatką i schował do szuflady.

- Nie chcę, żeby zostały na nim twoje odciski palców.

- Dziękuję - odparłem. - Powiedz mi, dlaczego nie był naładowany? Mogłem przecież zginać.

Wuj Rocco uśmiechnął się.

- Nie ma obawy. Mam wbudowany w biurko karabin wycelowany w krzesło, na którym siedział ten facet.

Wyleciałby w strzepach do oceanu.

Przyjrzałem mu się z uwagą.

- Bardzo często kłamiesz, wuju Rocco. O czym jeszcze mi nie powiedziałeś?

Wuj pokręcił smutno głową.

- Należysz do rodziny. Jestem człowiekiem honoru. Cokolwiek ci mówię, robię to dla twojego bezpieczeństwa.

- O jakim bezpieczeństwie mówisz? Prowadzę uczciwe życie. General Avionics jest poważną firmą. Kupujemy samoloty i oddajemy je w dzierżawę liniom lotniczym. Wszystko jest legalne.

Wuj spojrzał na mnie ze smutkiem.

- Di Stefano to di Stefano, nawet jeśli nosi nazwisko Stevens. Być może świat, w którym się obracasz, nie wie o tym, jednak świat, w którym się urodziłeś, wie, kim jesteś. To dlatego samochód twego ojca wypadł z szosy pod Trapani. Stare światy nie umierają, ich nienawiść i wendeta żyją nadal.

- Nie wycofałeś się, prawda? Wuj nie odpowiedział.

- Już ojciec mi to mówił - ciągnąłem z goryczą w głosie. -Nie można wierzyć w żadne twoje słowo.

Wuj Rocco spojrzał mi prosto w oczy.

- Musisz mi wierzyć. Nigdy nie zdradziłem własnej rodziny.

- Człowiek honoru - odparłem z sarkazmem. - Nie słyszałem tego wcześniej. Skąd wytrzasnąłeś to określenie?
Wuj zdawał się urażony.
- Pięć najpotężniejszych rodzin żyje obecnie w Nowym Jorku. Obdarzają mnie szacunkiem. Komisja sycylijska, złożona z najważniejszych rodzin - w tym Corleone i Borgetto - uważa mnie za jedyne go równego im Amerykanina. Nigdy nie zawiodłem ich zaufania.
- Jeśli to prawda - spytałem - to dlaczego obawiasz się, że ktoś chciałby cię zabić?
- Starsi odeszli z tego świata. Interesy przejmują młodzi; są chciwi i niecierpliwi.
- Czego od ciebie chcą? - indagowałem. - Powiedziałeś mi, że wycofałeś się z interesu.
Wuj Rocco pokręcił głową i przyłożył palec wskazujący do skroni.
- Tego chcą. Pozostałem jedyną osobą stanowiącą kontakt między starym a nowym światem. Zdają sobie sprawę, że wystarczy jedno moje słowo, a zostaną odcięci od ojczyzny.
- Dlaczego to dla nich takie ważne?
- To dziesięć do piętnastu miliardów rocznie - odparł.
- Sycylijczycy mają taką władzę?
- Posiadają armię obejmującą cały świat. Zawarli układy z chińskimi triadami i kolumbijskimi kartelami. Mają tysiące żołnierzy. - Wuj westchnął głęboko. - Jednak tu, w Ameryce, nic nie jest już jak dawniej. Kiedyś byliśmy królami, teraz zbieramy z ziemi okruchy. Amerykanie są coraz słabsi, rodziny coraz mniej liczne, nie bez zasługi amerykańskiego rządu, który osacza ich ze wszystkich stron na mocy Aktu Rico.
- Milczałem przez moment.
- Ciągle nie wiem, co chcesz, żebym zrobił. Wuj popatrzył na mnie.
- Ile, twoim zdaniem, wart jest twój interes?
- Około dwóch, trzech miliardów - odparłem.
- Ile z tego wyciągasz?

- Ponad milion rocznie. Roześmiał się.
- Marne grosze. Patrzyłem na niego bez słowa.
- Co byś powiedział, gdybym wprowadził cię do legalnej firmy inwestycyjnej, dysponującej ponad dwudziestoma miliardami w gotówce i aktywach, z czego posiadałbyś czterdzieści procent i wyciągał ponad pięć milionów rocznie? - spytał słodkim jak miód głosem.
- A kto posiadałby pozostałe sześćdziesiąt procent? - spytałem.
- Inni ludzie honoru - odparł. Pokręciłem głową.
- Wuju Rocco, wuju Rocco! - zawołałem ze śmiechem. - Czuję się szczęśliwy na własnych śmieciach.
- Stajesz się coraz bardziej podobny do swego ojca - mruknął wuj. - Mogłem uczynić z niego multimilionera, on jednak poszedł swoją własną drogą.
- Postąpił właściwie - odparłem. - Miał dobrą pracę i dobre życie. Czegóż więcej potrzeba do szczęścia?
- Może masz rację - stwierdził wuj, wruszając ramionami.
- Nie potrzebował niczyjego pozwolenia, żeby się wycofać. - Przypatrywałem mu się przez chwilę w milczeniu, a potem spytałem: - Więc jak mogę ci pomóc?
- Po pierwsze, przyjmij moją ofertę prowadzenia firmy inwestycyjnej. Potem zaczniemy kupować firmy rokujące nadzieję na zyski. Millennium Films Corporation, kompanie naftowe Shepherda, kanadyjskie towarzystwa holdingowe Janasa. Wszystkim im brakuje gotówki i grozi plajta, ale można je podciągnąć. Zbadaliśmy jeszcze wiele innych przedsiębiorstw i mamy ich listę. Do ciebie należałoby zebranie wszystkich w całość. Mogłoby powstać coś na kształt RJR i Nabisco, jednak z dużymi zasobami gotówki. - Wuj skończył i przyglądał mi się uważnie, jakby chciał poznać moją decyzję, jeszcze zanim się odezwę.

- Jak myślisz, co zrobią władze, kiedy odkryją, że w tym biznesie siedzą wszyscy twoi ludzie honoru? - spytałem.
- Oni nie będą należeć do koncernu. W jego skład wejdą jedynie legalnie działający biznesmeni, Japończycy, Europejczycy, Arabowie. Wszystkie banki to poważne instytucje. Citicorp, Morgan Stanley, Chase. Stockbrokers, Merrill Lynch, Hutton, Goldman Sachs. Wszystkie absolutnie uczciwe i czyste jak łąza.
- A co ty będziesz z tego miał? - spytałem.
- Będę mógł wreszcie z tego wyjść - odparł. - Wycofam się całkiem legalnie. Wziąłem głęboki oddech.
- Wiesz, że cię kocham, wuju Rocco?
- Wiem - odparł cicho.
- Jednak nic z tego nie wyjdzie. To sen na jawie.
- Wszyscy z nich to ludzie honoru. Zawarliśmy porozumienie. Mamy potrzebne pieniądze. Czyste dwadzieścia miliardów. Władze nie mogą się do niczego przyczepić, wszystkie podatki są opłacone. Będziemy mieli legalny interes. Dla nas mafia się skończyła.
- Dla was, ludzi starej daty, może się skończyła, ale mafia nigdy nie zniknie. To tak jak z krzywą wieżą w Pizie. Pochyla się coraz bardziej z roku na rok, ale nie upada.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał wuj, patrząc na mnie.
- Nie masz wyjścia, wuju Rocco - odparłem. - Musisz pozostać. Za dużo wiesz. - Spotkaliśmy się wzrokiem. - Jak myślisz, jak długo jeszcze pociągniesz?
- O to samo spytał mnie twój ojciec pięćdziesiąt lat temu.
- Mój ojciec był mądrym człowiekiem. Wuj Rocco westchnął.
- W takim razie, co mam robić?
- Wygląda na to, że masz tu wszystko pod kontrolą - odparłem. - Po prostu rób to, co zawsze. Pieprz ich wszystkich.
- Muszę dostać z powrotem działkę Jaryisa. To tłusty ką-

sek, a paru moich wspólników chce mieć z powrotem swój wkład.

- Powiedziałem, że w tym ci pomogę - przypominałem.

- Dobra. - Uśmiechnął się nagle. - Zejdźmy do jadalni. Mam dla ciebie niespodziankę.

Wuj Rocco uwielbiał niespodzianki. Ta była niesamowita. Na dole stała Alma Vargas z jedenastoletnią córką Angelą, nazwaną tak po ojcu.

Część trzecia

MINĘŁY CZASY OJCÓW CHRZESTNYCH

Rozdział I

Kim była wściekła.

- Jesteś dureń. Co to cię, do diabła, obchodzi, że twój wuj straci dwieście czy czterysta milionów? Ma tyle szmalu, że nawet tego nie zauważy.
- Poprosił mnie o pomoc - odparłem. - Jesteśmy rodziną.
- Ciągłe dajesz się na to nabierać. Gównu go obchodzi, co będzie z tobą. Jedyne, czego pragnie, to złapać cię w swoją sieć. Ty musisz troszczyć się o jego interes, ale on ma gdzieś, co się stanie z twoją firmą, którą własnymi rękami rozkręciłeś i rozwijałeś przez wiele lat. Poza tym masz dosyć forsy, nie potrzebujesz jego pomocy.
- Uspokój się i chodź do łóżka, Kim - powiedziałem. - Wszystko będzie w porządku.
- Jasne - odparła z przekąsem. - Albo wylądujesz w więzieniu, albo w ziemi, razem z resztą towarzystwa.
- Nie porzucam General Avionics. Porządkuję tylko parę spraw. Potem się z tego wycofam.
- Póki co jesteś do tyłu na osiemdziesiąt pięć milionów - odparła z goryczą. - Nie widzę, żeby wuj śpieszył się z oddaniem tych pieniędzy.
- Zwróci je - stwierdziłem z przekonaniem. - To kwestia honoru.
- Podpisałeś już jednak umowę z Bradleyem. Dałeś mu gwarancje na czterysta milionów dolarów, a ten stary cwaniak, jego prawnik, załatwił to tak, że nie dostaniesz żadnego udziału w spółce, dopóki nie wpłacisz całej sumy. - Popatrzyła na mnie. - Czyś ty rozum postradał? Nie postępujesz w ten sposób w General Avionics. Zawierając jakąkolwiek umowę

zawsze pilnujesz, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik.

- O co się wkurzasz? - zdenerwowałem się. - To mój problem, nie twój.

Kim podeszła do łóżka.

- A dlaczego rozmawiasz z senatorem Beaufortem, żeby załatwić amerykańskie obywatelstwo dla tej pindy? - spytała zdenerwowana.

- Jarvis też się starał je zdobyć, zanim go skasowali. Teraz ona musi dostać obywatelstwo, bo inaczej federalna komisja telekomunikacji nie pozwoli jej kupić żadnej akcji w spółce, ponieważ prawo do posiadania stacji radiowych i telewizyjnych mają tylko obywatele amerykańscy. Tak samo zrobił Rupert Murdoch. Wuj nie przejdzie ze względu na swoją przeszłość.

- A jeśli nic z tego nie wyjdzie? - spytała, nie patrząc na mnie.

- Wówczas wuj Rocco kiepsko się na tym przejdzie. Kim odwróciła się do mnie.

- Nie przejdzie się.

- Co masz na myśli? - spytałem.

- Za cwana z niego sztuka. Już cię złapał na haczyk. Na blisko pięćset milionów dolarów. Będziesz musiał sprzedać General Avionics, żeby się wypłacić.

- Wymyśli coś i wykombinuje te pieniądze. Kim popatrzyła na mnie.

- Tak samo jak wykombinował z dzieckiem Angela. Blondyneczka o zielonych oczach, takich jak twoje. Czy tak wyglądał Angelo?

Nie odezwałem się. Angelo był czarnookim brunetem.

- Twój wuj zapłacił tej zdzirze, żeby wyjechała za granicę, kiedy chciała wyjść za ciebie za żonę. Sam mi to powiedziałeś.

Pokręciłem głową.

- Za dużo mówię.

- Obaj z Angelem ją rznąliście - powiedziała.

- Nie w tym samym czasie.

- Wystarczająco. Dziecko może być twoje.

- Zwariowałaś.

W tym momencie zobaczyłem, że po jej policzkach płyną łzy.

- Mężczyźni są tacy głupi. - Zagryzła wargi. Wzięłem ją za rękę i przyciągnąłem do siebie.

- Nie jestem głupi - powiedziałem - skoro ty jesteś ze mną.

Wtuliła twarz w mój tors.

- Boję się - wyszeptala - że stracisz wszystko, co zdobyłeś ciężką pracą.

- Nie ma mowy - odparłem. Podniosłem jej twarz i pocałowałem.

- To suka - powiedziała. - Chirurdzy plastyczni przerobili ją od stóp do głów.

- Skąd wiesz? - spytałem zdziwiony.

- Sam mi powiedziałaś. Mówiłaś, że wygląda tak samo jak dwanaście lat temu. Nie ma tak dobrze. Żadna kobieta tak by nie wyglądała. Szczególnie po urodzeniu dziecka.

Zacząłem się śmiać.

- Ciekawe, czy przerobili jej też cipę.

- Niewykluczone. Miałbyś ochotę to sprawdzić? - spytała poważnie.

- Nie - odparłem pośpiesznie. - Nie interesują mnie podróże w czasie.

Sięgnęła ręką poniżej mojego pasa.

- Stanął ci - stwierdziła. - Ona cię podnieca.

- Dziwka! - Pocałowałem ją i wciągnąłem na siebie. -A myślisz, że twoje dłonie na moim ciele mnie nie podniecają?

- Jesteś okropny - mruknęła.

- Jesteś zła - odparłem. - Chodź, usiądź mi na twarzy. Wyszę z ciebie całą złość.

Mniej więcej trzy miesiące wcześniej odwiedziłem wuja Rocco w Atlantic City; mieliśmy zjeść kolację razem z Alną i jej córką. Jadalnia znajdowała się na dolnym piętrze apartamentu wuja. Kiedy zeszliśmy, Alna siedziała w rogu, przy

barku i wyglądała przez okno na ocean. Słyszac nas, odwróciła się i wstała.

Uśmiechnęła się, wyciągając do mnie ręce.

- Jed - zawołała uradowana.

Ująłem jej dłonie i pocałowałem w oba policzki.

- Alma, to prawdziwa niespodzianka.

- Zawsze wiedziałam, że się jeszcze kiedyś spotkamy - powiedziała.

- Nie do wiary. Wyglądasz równie olśniewająco jak wtedy, kiedy się poznaliśmy. Jesteś chyba nawet piękniejsza.

Roześmiała się.

- Francuski makijaż czyni cuda.

- To chyba jednak coś więcej. Ja postarzałem się i przybrałem na wadze, a ty wyglądasz jak uosobienie młodości.

- Nie wygłupiaj się. - Roześmiała się. - Byłeś wtedy chłopcem, teraz jesteś mężczyzną. Wyglądasz cudownie.

- Dziękuję. Wuj Rocco wspomniał, że masz córkę. Przez jej twarz przebiegł lekki cień.

- Tak - powiedziała. - Zaszłam z Anżelem w ciążę. Spojrzałem jej w oczy.

- To się zdarza.

- To prawda - zgodziła się.

- Nie wiem, czy ci gratulować, czy składać kondolencje.

- Jedno i drugie - odparła, nie odwracając wzroku.

Za barem pojawił się kamerdyner ubrany w biały smoking. Dolał drinka Almie i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Szkocką z lodem - poprosiłem.

Postawił przede mną napełnioną szklanę i wyszedł. Podniosłem ją.

- Zdrowie - powiedziałem do Almy.

- *Salud.*

Powoli sączyliśmy drinki.

- Mój mąż był ścierwem - odezwała się po chwili Alma. Milczałem przez moment.

- Jednak wyszłaś za niego. Dlaczego?

- Z trzech powodów. Po pierwsze; był bogaty; po drugie;

miał najtwardszego kutasa, jakiego w życiu widziałam; po trzecie; oświadczył mi się. - Roześmiała się. - Miał świra na punkcie mojej peruwiańskiej cipki. Mówił, że moja lechtaczka jest prawie tak twarda jak jego kutas.

- To brzmi romantycznie - stwierdziłem ironicznie.

- Był stuknięty - powiedziała. - Naprawdę nienawidził kobiet. Chciał mnie zniszczyć. Kiedy przekonał się, że nic z tego, postanowił wziąć rozwód.

Milczałem.

- Przed ślubem podpisaliśmy umowę. Milion za każdy rok naszego małżeństwa, ale na koniec chciał mnie wyrolować także z tego.

- Teraz to już nieistotne. Jesteś wdową po nim, dostaniesz wszystko.

- To nie będzie takie proste - odparła. - Miał dwóch synów z poprzedniego małżeństwa. Jeden ma trzydzieści dwa lata, drugi trzydzieści. Obaj są członkami zarządu jego spółki i jedynymi spadkobiercami jego majątku.

- Skąd to wiesz? - zdziwiłem się. - Sherman Siddely mówił mi, że jesteś jedyną spadkobierczynią.

- W takim razie był w błędzie. Dowiedziałam się od jego kanadyjskich adwokatów. Powiedzieli, że jeżeli będę chętna do współpracy, to dopilnują, żebym coś z tego dostała.

- Zrobisz to? - spytałem.

- Wypruję z nich flaki - odparła ze złością. - Dostanę swoją działkę. - Westchnęła głęboko. - Byłoby lepiej, gdyby nie został zabity.

- Coś tu nie gra. Myślałem, że to ty go załatwiłaś. Wyglądała na zdziwioną.

- Dlaczego miałabym zrobić coś tak głupiego? Przecież wiedziałam, że wszystko dostaną jego synowie.

- W takim razie kto go zabił? - spytałem.

- Nie wiesz? Pokręciłem głową.

- Twój wuj - odparła cicho. - Kiedy odkrył, że Jarvis zamierza go wykołować, wpadł w szal. - Zamilkła na moment.

- Ojcowie Chrzestni nigdy nie przebaczą.

Wuj Rocco jadał kolację zawsze o siódmej wieczór. Tego wieczoru stół był nakryty na cztery osoby. Wyglądał pięknie. Nigdy nie sądziłem, że wuj przykłada wagę do takich szczegółów. Świece. Kieliszki na smukłych nóżkach. Angielskie naczynia Coalporta i przepiękne, francuskie srebra.

Wchodząc do jadalni, wuj skinął głową i spojrzał na Alnę.

- Gdzie dziecko? - spytał.

- Zaraz tu będzie - odparła Alma.

- Mam dla niej coś specjalnego. Hamburgery z McDonalda - oświadczył, a potem zwrócił się do mnie: - Widziałeś już dziecko?

Alma roześmiała się.

- Ona nie jest już dzieckiem. Ma jedenaście lat.

- Ależ jest - upierał się wuj. Odwrócił się w stronę drzwi, w których pojawiła się dziewczynka. - Angela! - Pocałował ją na powitanie.

- Dziadku - zachichotała. - Łaskoczesz mnie wąsami.

- Mam ochotę cię zjeść, moja duszko.

- Nie jesteś złym wilkiem - odparła i spojrzała na mnie. - Jesteś moim wujkiem?

Miała zielone oczy i ciemnoblond włosy, takie jak moja matka. Była wysoka jak na swój wiek. Zdziwił mnie też jej brytyjski akcent.

- Chyba nie - odparłem. - Prawdopodobnie jestem twoim kuzynem.

- Dziadek nie jest twoim tatą?

- Nie. Jest moim wujem. Twój ojciec był jego synem. Dziewczynka spojrzała na matkę.

- Mówiłaś, że jest moim wujkiem - powiedziała z wyrzutem.

- W pewien sposób jest - wyjaśniła Alma. - Byli z twoim ojcem jak bracia.

Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę, a potem spojrzała na mnie.

- Mogę mówić do ciebie „wujku”?

- Oczywiście - zgodziłem się.

- Masz śmieszne imię, Jed. Żaden z moich kolegów nie ma takiego imienia.

- Jed to zdrobnienie od Jedediah - odparłem.
- To imię biblijne - stwierdziła. - Słyszałam je w szkółce niedzielnej, kiedy pastor czytał Stary Testament.
- Angela chodzi do szkoły w Anglii - wtrąciła Alma. - W Ameryce dziwi ją wiele rzeczy.

Dziewczynka nie ustępowała:

- Widziałam tatusia na zdjęciach. Miał czarne włosy jak ty - stwierdziła, patrząc na matkę. - Wujek Jed jest do mnie bardziej podobny niż wy oboje. - Ucichła na chwilę, a potem zwróciła się do mnie: - Czy pieprzyłeś się kiedyś z mamusią?

Zatkało nas. Miała taki słodki i niewinny głosik.

- Mamusia chodziła do łóżka z różnymi wujkami. - Spojrzała na mnie raz jeszcze i dodała: - Czasami nawet z dziadkiem.

Zerknąłem na wuja. Cały poczerwieniał. Roześmiałem się i wziąłem dziewczynkę za rękę.

- Skończ już te bajki i siadajmy do kolacji.

Kolacja była doskonała. Dziewczynka dostała hamburgery, a my jedliśmy *spaghetini al pomodoro al dente* i krwiste befsztyki przyprawione zieloną i czerwoną papryką oraz cebulą.

Rozdział II

Kiedy wchodziliśmy po kolacji na górę do salonu, wuj spojrzał na mnie badawczo.

- Jak ci się podoba dziecko? - spytał.
- Jest śliczna - odparłem. - I taka bystra.
- TodiStefano.
- Jak najbardziej - zgodziłem się.
- Przepisałem na nią fundusz powierniczy na milion dolarów.

Uśmiechnąłem się.

- Jest twoją wnuczką.
- To nie ma znaczenia - odparł. - Ona jest di Stefano. Poza tym wiem, że Angelowi spodobałby się ten pomysł.

Kiedy doszliśmy na górę, wuj spojrzał na mnie raz jeszcze. Napotkałem jego wzrok.

- Wuju Rocco - odezwałem się - postąpiłeś właściwie. Angelo zasługiwał na to.
- Nie została mi po nim żadna pamiątka - odparł ciężko. Uścisnąłem go lekko za rękę.
- Teraz już masz.

Wszedłem za nim do salonu i usiedliśmy przy szklanym stoliku do gry w karty. Za krzesłem wuja stała drewniana komoda z trzema ręcznie malowanymi szufladami. Wuj wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył gdrną. Ostrożnie wyjął z niej czarno lakierowaną skrzynkę. Postawił ją na stole i otworzył.

- Co to jest? - spytałem.
- Chwileczkę - odparł, po czym wyciągnął kilka celofanowych torebek i rozłożył przed sobą. - Oto największy biznes

w Stanach Zjednoczonych. Lepszy niż General Motors i American Express razem wzięte. Ponad trzysta miliardów dolarów w detalu.

Spoglądałem na niego w milczeniu.

Wuj uderzył lekko każdą z torebek i z każdej wysypało się trochę proszku. Pierwszy był żółtobrazowy.

- To heroina z południowo-wschodniej Azji - powiedział, wskazując go palcem. Następny był biały. - To heroina z Pakistanu i Afganistanu. - Dalej leżała kupka niebieskawobiałej, krystalicznej substancji. - Południowoamerykańska kokaina. - Następna torebka zawierała niewielką ilość rozdrobnionej marihuany. - To pochodzi z Kolumbii i Meksyku. W ostatniej, otwartej przez wuja torebce, znajdowały się różnokolorowe drażetki i tabletki, które rozsypał na stoliku. - Te są nowe - wyjaśnił. - Mówimy na nie dropsy.

- Dobra - przerwałem mu. - Po co mi to pokazujesz?

- Wszystko to wytwarza się na Sycylii. Dawniej rodziny kontrolowały ulice, ale teraz pojawiło się wielu drobnych dealerów, którzy sprowadzają towar na własną rękę i sprzedają go po cenach znacznie niższych.

- Jak do tego doszło? - spytałem.

- Ludzie stali się chciwi. Porozumienie zawarte między rodzinami upadło i nastąpiła wojna. Wielu zginęło, a rząd skorzystał z okazji i ruszył do natarcia.

- Wycofałeś się, wuju - odparłem. - Nie masz z tym nic wspólnego.

Spojrzał na mnie.

- Też tak myślałem. Jednak tamci myślą inaczej. Patrzyłem na niego bez słowa.

- Wiele lat po wojnie - ciągnął wuj - Lucky Luciano powołał do życia komisję. Nie można było nic zrobić bez jej zgody. Nie można było zajmować terytoriów, wykupywać interesów, zabijać capo lub głowy rodzin, jeśli nie otrzymało się zgody komisji. - Wziął głęboki oddech. - Przez wiele lat panował spokój, wszyscy żyliśmy dostatnio i czerpaliśmy zyski z interesów. A potem wszystko się rozpadło.

- Dlaczego?

- Luciano umarł. Sędzią został Costello, ale daleko mu było do Łuckiego; był dobry, ale nie nadążał za zmianami Hazard, związki, uliczne transakcje, ochrona przedsiębiorstw - z tym dawał sobie radę. Potem jednak pojawiły się narkotyki. To był nowy biznes. Więcej pieniędzy, niż ktokolwiek był w stanie sobie wyobrazić. Wszyscy stali się zachłanni i rzucili się sobie do gardeł jak dzikie bestie. -Zamilkł.
- Czego od ciebie chcą? - spytałem.
- Komisja sycylijska wie, że jestem człowiekiem honoru -odparł po chwili milczenia. - Podobnie Amerykanie. Obie strony zgodnie chcą, abym stanął na czele komisji. Miałbym zostać *capo di tutti capi* i cokolwiek bym powiedział, tak by się stało.
- Chryste - odezwałem się. - Jakie pieniądze dostawałbyś za to?
- Więcej, niż mógłbyś sobie wyobrazić - odparł. - Ale to nieważne. Nie chcę tego. Mówiłem ci już, że chcę umrzeć w łóżku. Gdybym się zgodził, zginąłbym w ciągu roku. Na ulicy. Jak Castellano, Bonanno, Galante.
- Jak mogę ci pomóc, wuju? - spytałem.
- Porozmawiaj z nimi - odparł cicho. - Powiedz im, że jestem stary. Mam problemy z głową. Zapominam o różnych rzeczach. Że nie poradzę sobie z tak złożonymi obowiązkami i odpowiedzialnością. Powiedz im, że zamierzam osiąść w domu starców.
- A oni mi uwierzą? - spytałem z powątpiewaniem.
- Może - odparł, wzruszając ramionami.
- Przecież nawet mnie nie znają.
- Znają - zaprzeczył z przekonaniem. - Znali twojego ojca. Wiedzą, że był prawym człowiekiem. Wiedzą też, że jesteś do niego podobny.
- O Boże - jęknąłem. - I kiedy miałbym to zrobić?
- Masz trochę czasu - uspokoił mnie. - Najpierw doprowadź do końca interesy z koncernem filmowym.
- Nie wiem, kiedy to się skończy. Synowie Jaryisa nie chcą nawet słyszeć o mojej ofercie.

Wuj Rocco uśmiechnął się.

- Dostaniemy ich udziały - odparł z pewnością siebie. - Zapłacili za nie pieniędzmi, które pochodziły z mojego kanadyjskiego banku. Bank zażądał od nich zwrotu pieniędzy. To czterysta milionów plus odsetki, a Jarvis Corporation nie ma tyle. Zgodzili się oddać bankowi swoje udziały w zamian za anulowanie pożyczki bez kary. Za naszymi plecami rozległ się głos Almy. Nie słyszałem, kiedy weszła do pokoju.

- Ja też się zrzekłam roszczeń do majątku Jarvisa. Nalegali, żebym to zrobiła.

Wuj Rocco spojrzął na nią.

- I tak dostaniesz z tego trzy miliony. A jeśli wszystko się powiedzie, dostaniesz dobrą prowizję.

- Chcę pięć milionów dolarów - powiedziała. Roześmiał się.

- Jesteś tylko peruwiańską *putaną*. Alma zawtórowała mu.

- Jestem też matką twojej wnuczki.

- Świetnie się oboje bawicie - zwróciłem się do wuja - ale, jak na razie, jestem jedyną osobą, która źle wyszła na tym interesie. Wyłożyłem już osiemdziesiąt pięć milionów w gotówce i obiecałem kolejne czterysta; jak dotąd nie otrzymałem od ciebie ani grosza.

Wuj Rocco spojrzął na mnie.

- Jeśli się niepokoisz, dam ci pieniądze z samego rana.

- Wuju - odparłem, potrząsając głową - wiesz przecież, że rano mnie tu nie będzie. Muszę wyjechać o piątej, żeby zdążyć na ósmą na zebranie.

- W takim razie prześlę ci pieniądze, kiedy wrócisz do Los Angeles.

- Jasne - odparłem. Wiedziałem, że nie wyśle mi tych pieniędzy następnego dnia. To nie było w jego stylu.

- Jestem człowiekiem honoru - powiedział spokojnie. - Kiedy potrzebowałeś pieniędzy na rozkręcenie biznesu, dałem ci je. Teraz też je dostaniesz.

- Pieprzę to. Naprawdę mam w dupie, czy dostanę te pieniądze, czy nie. To w końcu rodzina.

Wuj skinął głową.

- Rodzina. To jedyne, co się naprawdę liczy. - Zerknął na zegarek. - Dziesiąta. Możemy złapać wiadomości z Filadelfii.

Obrócił się na krześle i włączył pilotem telewizor. Spiker nie był w stanie ukryć podniecenia.

- Niespełna dwadzieścia minut temu dotarła do nas wiadomość, że jeden z bossów filadelfijskich gangów został zastrzelony, kiedy wysiadał ze swej limuzyny przed ulubioną restauracją.

Przez chwilę widać było twarz zamordowanego. Spiker mówił coś jeszcze, ale wuj Rocco nie był już zainteresowany i wyłączył odbiornik.

Spojrzałem na niego.

Wiedział, że poznałem tego człowieka. To on był wcześniej w gabinecie wuja.

- Co się stało? - spytałem. Wuj wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci, że to szmata. Nikt go nie lubił. Prędzej czy później ktoś musiał go skasować.

- I to jest ten świat, nad którym chcą, żebyś sprawował kontrolę? - spytałem po chwili milczenia.

- Powiedziałem ci, że nie dałbym sobie rady. Dlatego chcę się wycofać.

- Lepiej pójdę już spać - stwierdziłem, wstając z krzesła, - Muszę wstać bardzo wcześnie rano.

Alma uśmiechnęła się do mnie.

- Myślałam, że będziemy mieli trochę czasu, żeby pogadać.

- Będziemy - odparłem. - Jednak jutro muszę się spotkać z senatorem Beaufortem w sprawie twojego wniosku o przyznanie obywatelstwa.

Schyliłem się i pocałowałem wuja Rocco w policzek. Pogłaskał mnie lekko po twarzy. - Śpij dobrze. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odparłem. Wiedziałem, że wuj nie ma co do tego wątpliwości.

Pocałowałem również Almę.

- Dobranoc, kochanie. Masz śliczną córkę.

- Dziękuję - powiedziała.

Zostawiłem ich w salonie, a sam zszedłem do sypialni.

W apartamencie wuja były cztery pokoje gościnne; mój znajdował się na końcu korytarza. W pewnym sensie był najlepszy: duży i narożny. Przeszkłone drzwi prowadziły na długi taras, ciągnący się wzdłuż pozostałych sypialni. Położyłem się w samych slipach i zgasilem światło. Zakląłem pod nosem. Pomimo grubych zasłon w oknach przez szpary nadal docierało światło. Na zewnątrz paliło się za dużo neonów. Odwróciłem się na bok, twarzą do ściany. Po chwili zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem, ale nagle poczułem powiew zimnego powietrza, a w pokoju zrobiło się jaśniej.

Odwróciłem się. Usłyszałem głos Almy.

- Śpisz?

- Teraz już nie.

- Wpuść mnie pod kołdrę. Omal nie zamarzałam.

- Idiotka. Dlaczego nie weszłaś drzwiami?

- W korytarzu siedzi jeden z ochroniarzy twojego wuja. Daj spokój, wpuść mnie, umieram z zimna.

Przesunąłem się; Alma weszła do łóżka, nakrywając się kołdrą. Wzięła mnie za rękę.

- Zobacz. Naprawdę jestem zimna.

Położyła moją rękę na swoich piersiach. Rzeczywiście, była zimna. Potem przesunęła ją na brzuch, a potem niżej, do futerka.

- Ale moja cipka jest ciepła. Zawsze jest gorąca.

- Wspaniale - mruknąłem. - Co jeszcze?

- Stał ci? - spytała.

- Nie.

- Mogę się tym zająć.

- Czekaj no - odparłem. - Po co właściwie tu przyszałaś?

- Chciałam, żebyś wiedział, że Angela jest twoim dzieckiem.
- Wuj Rocco nieźle to wykombinował.
- Mam w dupie, co sobie myślał wuj Rocco - odparła cichym, lecz wściekłym głosem. - Nie czujesz nic w stosunku do własnej córki?

Popatrzyłem na Almę i odparłem obojętnie:

- To nie jest moje dziecko. Ubiłaś z wujem niezły interes, więc nie spieprz go teraz.

Uderzyła mnie otwartą dłonią w twarz.

- Ty podły skurwielu!

Potrząsałem głową, a potem włączyłem nocną lampkę i w jej słabym świetle uśmiechnąłem się do Almy.

- Jestem zawiedziony. Myślałem, że przyszłaś tu, żeby się pieprzyć jak za dawnych czasów.

- Sam się pieprz! - odparła rozwścieczona i zamierzyła się drugi raz.

Tym razem złapałem ją za rękę. Spróbowała uderzyć mnie drugą. Teraz już przesadziła. Straciłem cierpliwość i przywaliłem jej w szczękę. Wylądowała głową na podłodze, a jej jedwabna koszula nocna zsunęła się, odsłaniając nogi i nagie pośladki.

Stanąłem nad nią. Podniosła wzrok i odezwała się zachrypniętym głosem:

- Stań ci.

- Muszę się odlać - odparłem.

Na twarzy Almy pojawił się lekki uśmiech.

- Odlej się na mnie - poprosiła.

- Zwariowałaś. Wracaj do siebie.

Podniosła się, ściągnęła mi slipy i ujęła w dłonie moje jądra.

- Masz jaja ciężkie od spermy.

- Wynoś się - zdenerwowałem się - albo przyrznę ci w dupę.

Szybko uklękła, wypinając tyłek. Zanurzyła palce w cipie i zwilżyła swoimi sokami odbył.

- Zrób to - powiedziała. - Przepadam za tym.

Stałem przez chwilę niezdecydowany, a wtedy Alma złapała mojego kutasa i wsadziła go sobie do środka.
Chwyciłem ją za biodra i przyciągnąłem do siebie.
Nagle rozległ się szmer otwieranych drzwi i pojawiła się w nich Angela, obramowana wpadającym z korytarza światłem.
- Czy jest tu moja mama? - spytała cichym głosem.

Rozdział III

Alma szybko stoczyła się z sofy na podłogę, a kiedy wstała, koszula nocna zasłaniała ją do ziemi. Stał mi jeszcze trochę, więc odwróciłem się plecami do dziewczynki i sięgnąłem po slipy. Alma krzyknęła na córkę rozgniewana:

- Mówiłam ci, żebyś nie chodziła za mną!
- Nie szłam za tobą, mamó - odparła cicho Angela. -Chciałam ci tylko powiedzieć, że strażnik na korytarzu nie żyje.
- Znowu naoglądałaś się telewizji - sarknęła Alma. Dziewczynka spokojnie otworzyła szerzej drzwi.
- Popatrz.

Mówiła prawdę. Strażnik siedział na swoim krześle z wyrazem zdziwienia na twarzy, a pośrodku jego czoła widniał otwór od kuli. Na ziemi, obok jego wyciągniętej ręki, leżał pistolet.

- Co jeszcze widziałaś? - spytałem szeptem Angełę, wciągając ją szybko do środka.
 - Wyglądałam przez szparę w drzwiach. Było dwóch panów. Poszli schodami na górę, do pokojów dziadka - odpowiedziała.
 - Zabierz ją do łazienki i zamknijcie się w niej - zwróciłem się do Almy.
 - Co masz zamiar zrobić? - zapytała.
 - Najpierw wezmę pistolet strażnika. Potem coś wykombinuję. Idźcie do łazienki, szybko.
- Popatrzyłem, jak znikają w łazience, i usłyszałem trzask przekręcanego zamka. Potem podszedłem do drzwi na korytarz i wyjrzałem. Był pusty. Stałem przez chwilę, nadślucho-

jąc. Panowała kompletna cisza. Szybko przebiegłem przez korytarz, podniosłem pistolet martwego strażnika, wróciłem biegiem do sypialni i zamknąłem za sobą drzwi.

Rzuciłem okiem na pistolet. Był to jedenastostrzałowy automat, beretta 380. Magazynek był pełny - nie zużyto żadnego naboju. Umocowałem magazynek i odbezpieczyłem broń. Potem spojrzałem na stojący przy łóżku telefon. Miał sześć guzików, a pod jednym z nich był napis „Sypialnia p. di Stefano”. Podniosłem słuchawkę i nacisnąłem guzik.

Rozległy się trzy długie sygnały, a kiedy serce zaczynało mi już podchodzić do gardła, rozległ się zaspany głos wuja Rocco:

- Czego chcesz, do jasnej cholery?

- Wszystko w porządku? - spytałem.

- Jak najbardziej - odparł zirytowany. - Do diabła, powiesz mi wreszcie, czego chcesz?

- Chciałem ci powiedzieć, że na dole ktoś zabił strażnika. Dwóch uzbrojonych ludzi poszło schodami na górę.

- Niczego nie słyszałem - powiedział. - Na pewno usłyszałbym strzały ochroniarzy pilnujących moich drzwi.

- Może ich też kropnęli. Ja także nie słyszałem nic, kiedy zastrzelili strażnika. Muszą używać tłumików.

- Psiakrew - mruknął wuj. - Nikt już nie walczy.uczciwie.

- Zaraz będą u ciebie w pokoju - ostrzegłem.

- Nic z tego. Nie uda im się wejść. Moja sypialnia to forteca. Mam stalowe płyty w drzwiach i ścianach. Szyby w oknach są kuloodporne.

- A jeśli mają plastikowe materiały wybuchowe i rozwalą drzwi? - spytałem.

- To mogłoby stanowić pewien kłopot - przyznał spokojnie wuj. - Ale dla nich, nie dla mnie. Kiedy sforsują drzwi, mam wycelowane prosto w nich dwa uzi i spiłowaną dubeltówkę.

- W Wietnamie wrzucali najpierw gaz łzawiący - nie dawałem za wygraną. - Nie trafisz w nic, kiedy łzy zalewają ci oczy i dusisz się od kaszlu.

- Gdzie jest ta *putana* i moja wnuczka? - spytał.

- Są bezpieczne - odparłem. - Zamknęły się w mojej łazience.
 - To gówno pomoże, jeśli te gnojki przyjdą do ciebie -stwierdził wuj. - Wyprowadź je na schody przeciwpożarowe i niech zejść na sam dół. Ludzie z ochrony zaopiekują się nimi.
 - A co z tobą?
 - Wyprowadź je na schody; potem, jeśli chcesz strugać bohatera, przyjdź do mnie.
 - Jak się do ciebie dostanę?
 - Z twojego tarasu na mój prowadzą zewnętrzne schody. Dochodzą do oszklonych drzwi mojego gabinetu. Masz broń?
 - Zabrałem strażnikowi - odparłem.
 - To specjalna beretta. Umiesz się z nią obchodzić? -spytał.
 - Oczywiście.
 - W porządku - rzekł cicho. - Kiedy tu dotrzesz, strzelaj tym skurwielom w plecy. Żadnych ostrzeżeń, bo rozwalą cię na kawałki.
 - Jasne.
 - Wychodząc na taras włóż sweter, bo na dworze jest mróz i nie chcę, żebyś się przeziębiał.
 - W porządku, włożę sweter.
 - Dobrze. Teraz zobacz, która godzina. Podejdź do moich drzwi dokładnie za siedem minut i zacznij strzelać. W tym samym momencie ja wyskoczę z sypialni z dubeltówką. Jeśli nie ty ich trafisz, to ja.
 - Chcę, żebyś został w swoim pokoju - powiedziałem.
 - Nie wygłupiaj się. To sprawa rodzinna.
- Telefon rozłączył się z cichym trzaskiem. Zapukałem do drzwi łazienki.
- Chodźcie - zawołałem.
- Alma otworzyła drzwi; przytuliła do siebie Angelę.
- Co się dzieje? - zapytała.
 - Rocco kazał mi zabrać was z tego piętra - wyjaśniłem, wkładając sweter. - Chodźcie za mną.

Po dwóch minutach znalazłem schody przeciwpożarowe. Otworzyłem drzwi.

- Zejdźcie na dół. Rocco powiedział, że ludzie z ochrony zaopiekują się wami.

- A co z tobą? - spytała Alma.

- Mamy z wujem pewien plan. No, idźcie już. Angela spojrzała na mnie z podziwem.

- Wujku Jed, jesteś prawdziwym bohaterem. Roześmiałem się.

- Idź już, słonko.

Kiedy stanąłem przy drzwiach na taras, minęły dwie i pół minuty. Otworzyłem je; mroźny powiew znad oceanu zaparł mi dech w piersiach. Wyszedłem na zewnątrz i zacząłem z trudem posuwać się oblodzonymi stopniami tarasu. Ręce niemal przymarzały do ciągnącej się wzdłuż schodów żelaznej bariery. Nie wiem, jak dotarłem na górny taras; kiedy przykucnąłem przy drzwiach, mijało sześć i pół minuty.

Psiakrew, zaldąłem rw duchu. Wuj Rocco powiedział; siedem minut. Miałem jeszcze trzydzieści sekund.

Trzydzieści sekund w szalejącym, piekielnie mroźnym wietrze. Beretta zamarzła w mojej zaciśniętej dłoni.

Modliłem się, żebym był w stanie zgiąć palec na spuście tego cholerstwa. Piętnaście sekund później wstałem. Tak jak przewidział wuj Rocco, w środku zobaczyłem dwóch uzbrojonych ludzi. Oparłem się o drzwi i spróbowałem przekręcić gałkę, ale zamarznęta nie dała się otworzyć. Spróbowałem kopnąć drzwi. Nie puszczały.

W tym momencie obaj skurwiele celowali już we mnie. Nie wiedziałem, która modlitwa da mi lepszą ochronę .Adonai" mojej matki czy „Święta Mario, Matko Boża" mojego ojca. Zobaczyłem oślepiające, niebieskawe błyski z ich pistoletów, ale nie usłyszałem strzałów. Może już byłem martwy. Potem doszły do mnie słabe puknięcia kul uderzających w oszklone drzwi tarasu.

Wtedy zobaczyłem za ich plecami wuja Rocco; wyszedł z sypialni z dubeltówką w ręku. Dobiegł do mnie odgłos dwóch strzałów. Wuj Rocco trafił obu mężczyzn w plecy,

kiedy odwrócenii w stronę wyjścia na taras strzelali do mnie. Upadli na podłogę, a wuj Rocco ominął ich ostrożnie i dyndając potężnym kluczem podszedł do drzwi i otworzył je.

- Właż do środka - zawołał. - Zamarzniesz tam.

- Niech cię cholera! - warknąłem, szczękając zębami. -Przez ciebie omal życia nie straciłem.

- Nic ci się nie mogło stać - odparł. - Mówiłem ci przecież, że te szyby są kulo odporne.

- A co z zapaleniem płuc? - spytałem, nie przestając trząść się z zimna.

- Poczekaj chwilę. Mam świetną sycylijską grappę. Jedna lufka i będziesz jak nowo narodzony.

Podszedł do barku i nalał dwie szklanki.

- *Salute* - powiedział, wznosząc toast.

- *Salute* - odparłem. Grappa rozpała mi wnętrze. Odwróciłem się i popatrzyłem na leżących na ziemi mężczyzn, a potem rozejrzałem się po pokoju. - Gdzie twoi ochroniarze? - spytałem. - Nigdzie ich nie widać.

- Tutaj. - Wuj Rocco wskazał dwa trupy.

- Jak to? - zdziwiłem się.

- Dotarli do nich. Pieniądze stanowią źródło wszelkiego zła i one ich zniszczyły.

- Kto ich opłacił? - spytałem. Wuj wzruszył ramionami.

- Pewnie Nico. Myślę jednak, że nie wiedzieli, że Nico już nie żyje. W przeciwnym razie nie próbowaliby tego, ponieważ nie mogliby liczyć na zapłatę.

- To ty załatwiłeś Nico? - spytałem.

- Nie - odparł wuj. - Nie zniżam się do takich rzeczy.

- Do czego ty mnie właściwie potrzebujesz, wuju? - spytałem. - Wygląda na to, że sam sobie świetnie radisz.

- Nieprawda. Kiedy jesteś w tym biznesie, prędzej czy później cię dostaną. Nie mogę już wytrzymać tego stresu, jestem na to za stary. - Spojrzał na mnie. - Należysz do rodziny. Będziesz musiał mnie z tego wyciągnąć. Popatrz na podłogę. Czy w ogóle można tak żyć?

- Napiję się grappy - odparłem, patrząc na niego.

Obaj wypiliśmy jeszcze po lufie. W końcu poczułem, że robi mi się ciepło.

- Jak sobie z tym poradzimy? - spytałem.

- Mam znajomości na dole. Obejdzie się bez kłopotów. -Wuj spojrział na leżących na podłodze. - Jedna tylko rzecz psuje mi nastrój. Ten orientalny dywan na podłodze kosztował mnie sto pięćdziesiąt kawałków. Istnieją tylko dwa takie na świecie, a te sukinsyny zniszczyły go.

Rozdział IV

Jedno trzeba przyznać, jeśli chodzi o grappę: wypala co prawda wnętrze na wylot, ale jednocześnie rozjaśnia umysł. Poczulem, jakbym miał w głowie superszybki komputer. Usiadłem na stołku barowym i przyglądałem się, jak wuj Rocco rozmawia przez telefon. Wokół nas kręciły się sprzątaczkę, doprowadzające pomieszczenie do ładu.

Wuj Rocco rozmawiał po włosku. Nie znałem włoskiego aż tak dobrze, ale komputer w mojej głowie pozwalał mi zorientować się, co mówi. Nie wiem, z kim rozmawiał, w każdym razie stwierdził, że są palantami i że nikt z nich nie potrafi postępować zgodnie z zasadami. Jeśli nie będą przestrzegać zasad, to czeka ich wszystkich marny koniec. Potem uśmiechnął się, powiedział „*ciao*” i odłożył słuchawkę.

- Alma z dzieckiem już idą na górę - poinformował mnie.

- To dobrze. Ja idę na dół trochę się przespać. Muszę złapać samolot do Nowego Jorku, żeby zdążyć na lot do Los Angeles.

- Nie pojedziesz - odparł tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Mamy tu jutro dużo ważniejsze spotkanie.

- Umówiłem się w moim biurze na sfinalizowanie kontraktu z Aerospatiale. Wpłaciłem im już pół miliarda zadatku i jeśli go nie podpiszę, mogę wszystko stracić.

- Nie stracisz - odparł wuj z przekonaniem. - Jeśli jednak nie będziesz na tym jutrzejszym spotkaniu, stracisz na pewno.

Włączył się mdj napędzany grappą komputer.

- Wuju, myślałem, że wezwałeś mnie tu w sprawie rodzinnej, ale o co innego chodzi, prawda?

Wuj Rocco w milczeniu nalał grappę do szklanek.

- PU- Jesteś moim wujem - odezwałem się ze złością. - Byłem gotów umrzeć za ciebie, gdyby zaszła taka potrzeba. Ty jednak nie jesteś ze mną uczciwy. Zabawiasz się w Ojca Chrzestnego.

- Minęły czasy Ojców Chrzestnych - odparł cicho. - Jesteśmy po prostu uczciwymi biznesmenami.

- W takim razie, co to za biznes? - spytałem drwiąco. - Śmierć?

- Nie szukałem jej. Ci ludzie to bawiące się dzieci. Naogłą-dali się za dużo filmów.

Przyglądałem mu się uważnie przez chwilę.

- Nie kapuję. Co wspólnego ma twoje jutrzejsze spotkanie z moją umową z Aerospatiale?

- Spotkanie jest z Europejczykami - odparł. - Oni mają większy wpływ na Aerospatiale niż ty, Amerykanin. A twoim największym konkurentem jest holenderska firma, która stanęła do przetargu na tę samą ofertę.

- To wiem - przerwałem. - Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Ta holenderska firma wykupi cię za trzy miliardy - odparł. - W gotówce.

- Za dwa lata mój interes będzie wart pięć miliardów.

- Magiczne słowo „deregulacja” spowodowało w ciągu trzech lat podwojenie się liczby linii lotniczych. Powodziło ci się dobrze, ponieważ cię potrzebowali. Teraz jednak koszty robocizny, utrzymania i paliwa idą gwałtownie w górę - powiedział poważnie wuj Rocco. - Siedemdziesiąt procent nowo powstałych linii lotniczych cierpi na niedofinansowanie i jest obciążonych śmieciowymi obligacjami i lichwiarskimi kredytami. Wystarczy mała recesja, a zostanie ci zwróconych więcej maszyn, niż będziesz w stanie wsadzić sobie w dupę.

- Nic takiego się nie stanie - zaprotestowałem. - Rynek wciąż zwężkuje, a wszystkie prognozy są optymistyczne.

- Mam wieloletnie doświadczenie - odparł wuj cichym głosem - i nauczyłem się jednej rzeczy. Życie jest jak kolejka w lunaparku. To jedzie w górę, to w dół.

- Jednak prędzej czy później znów w górę - odparłem.
- To prawda - zgodził się wuj. - Musisz jednak uważać, żebyś zjeżdżając na dół, nie został wykastrowany. - Łyknął trochę grappy i spytał: - Jeślibyś dostał trzy miliardy za twoją firmę, ile miałbyś na czysto? Przeliczałem chwilę.
- Sześćset, sześćset pięćdziesiąt milionów po opodatkowaniu.
- Jesteś bogaty - ocenił wuj Rocco z podziwem na twarzy.
- Nie tak jak ty, wuju.
- Jednak powiodło ci się lepiej - odparł ciężkim głosem. - Nie musiałeś, mając piętnaście lat, babrać się w takim gównie jak ja, nie przeżyłeś ciężkich jedenastu lat, nie musiałeś mordować dla ratowania własnego życia albo dla zdobycia szacunku rodzin. Nigdy, kładąc się spać, nie miałeś przed oczami umarłych. Położyłem mu dłoń na ramieniu.
- To było wiele lat temu, wuju. Inne czasy, inny świat.
- Ja jednak wciąż żyję - odparł cicho. - Dla mnie jest to wciąż ten sam świat. Dlatego chcę się z niego wyrwać. Teraz przyszła moja kolej, żeby nappełnić szklanki grappą.
- *Salute* - powiedziałem i wypiliśmy. Drzwi otworzyły się i weszło czterech ludzi w kombinezonach, niosąc wielki dywan, który następnie ułożyli na miejscu zakrwawionego.
- Przyglądałem się ze zdziwieniem dywanowi, a potem zwróciłem się do wuja Rocco:
 - Mówiłeś, zdaje się, że na świecie są tylko dwa takie dywany.
- Skinął głową, uśmiechając się.
- To prawda. Nie chciałem jednak narażać swojego na jakiegokolwiek ryzyko, kupiłem więc oba.
- Co zrobisz z tym drugim?
- Wyślę do Pakistanu. Został tam wykonany ponad dwieście lat temu; Pakistańczycy potrafią go wyczyścić i naprawić.
- Zszedłem ze stołka. Chwiałem się trochę na nogach.
- Idę spać - oznajmiłem.

Pojawiła się Alma; podeszła do wuja Rocco.

- Nic ci się nie stało? - spytała. Wuj potrząsnął głową.

- Wszystko w porządku.

- Angela już śpi - zwróciła się do mnie.

- To dobrze - odparłem.

- Ona cię uwielbia - dodała. - Uważa cię za bohatera. Roześmiałem się.

- Jak dorośnie, będzie mnie uważać za głupka.

- Jesteś bohaterem - wtrącił wuj Rocco. - Ratowałeś mi życie.

- Byłem głupi - odparłem. - Tak naprawdę, nie potrzebowałeś żadnej pomocy. - Zaczynała mnie boleć głowa. -

Lepiej pójdę już spać, kręci mi się w głowie.

- Pomogę ci zejść po schodach - zaproponowała natychmiast Alma.

- Nie, dzięki. Dam sobie radę. Alma spytała wuja:

- Mówiłeś mu, że wybieram się do Los Angeles? Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

- Nie powiedziałeś mi.

- Zapomniałem - odparł, rozkładając ręce.

- Niech to diabli - mruknąłem, a potem wyszedłem z pokoju i omal nie spadłem ze schodów. Trzech ludzi z ochrony piętra pomogło mi wtoczyć się do łóżka. Sufit zawirował nade mną i urwał mi się film. Grappa. Obudziłem się dopiero w południe.

Kiedy otworzyłem oczy, na skraju łóżka siedział wuj Rocco.

- Jak się czujesz? - spytał.

Zmrużyłem oczy, oślepiiony światłem dnia. Czuję, jakby głowa miała mi eksplodować.

- Potwornie - wybełkotałem.

Z szafki nocnej wziął pustą szklanekę oraz dzbanek wypełniony kostkami lodu i czerwono-brązowym płynem. Nalał mi go i podał, mówiąc:

- Wypij to. Poczujesz się lepiej.

Podniosłem szklanę do ust; w nozdrza uderzył przeraźliwy smród.

- Co to jest, do cholery? - spytałem.
- Krwawa Mary z Fernet Branca - wyjaśnił wuj. - Wypij. Wypiłem szybko. Zaczęło mi się robić niedobrze.
- Smakuje jak szczyny - stwierdziłem. Szybko napełnił szklanę ponownie.
- Jeszcze raz - rozkazał.

Automatycznie zrobiłem, jak kazał. Nagle znów mogłem oddychać, a ból głowy minął jak ręką odjął.

- O Jezu - odezwałem się. - Kto ci dał ten przepis? Roześmiał się.
- To lekarstwo na grappę mojej matki.
- Działa - przyznałem. - Skoczę pod prysznic i ubiorę się. O której, mówiłeś, mamy to spotkanie?
- Już byłem na spotkaniu. W żaden sposób nie mogłem cię dobudzić - odparł.
- To co się, do diabła, na nim wydarzyło?
- Wszystko w porządku - uspokoił mnie wuj z uśmiechem. - Powiedziałem im, że się tym zajmiesz.
- Czym się zajmę? - spytałem. Uśmiechnął się.
- Wykupieniem pakietu kontrolnego Millennium Films.
- Co mam z nim potem zrobić? Nic mi nie wiadomo o tym interesie.
- Przekazać go im - wyjaśnił. Zastanawiałem się przez chwilę.
- A co się stanie, jeśli postanowię go zatrzymać?
- To właśnie chciał zrobić Jarvis.
- W takim razie nie mam wyboru.
- Ja również - powiedział wuj Rocco. - Jestem *patrone*. Obaj będziemy martwi.

Rozdział V

Wjechałem Blazerem do garażu mojego biurowca i zatrzymałem się przed budką dozorca parkingu. Dozorca wyszedł na zewnątrz i powitał mnie z uśmiechem.

- Dzień dobry, panie Stevens.
- Dzień dobry, John.
- Panna Latimer czeka na pana w salce przy windzie.
- Dziękuję, John - powiedziałem i skierowałem się w tamtą stronę. Otworzyłem drzwi. Kim na mój widok zgasła papierosa w stojącej obok popielniczce.
- Co się stało? - spytałem.

Nigdy nie widziałem, żeby paliła w ciągu dnia.

- Nie mówiłeś mi, że ta zdzira przychodzi na spotkanie - powiedziała z wyrzutem.
- Powiedziałem ci, że będą wszyscy. Ona jest jednym z głównych udziałowców. Nie mogłem jej pominąć.
- Nie ufam jej.
- Jesteś zazdrosna. Daj spokój, to tylko interesy. Już jej więcej nie zobaczysz.
- Ja może nie - odparła. - A ty?
- Nie bądź głupia. Ja też.
- Owszem, jestem zazdrosna - przyznała. - Ona rzeczywiście jest niesamowita.
- To przeszłość - roześmiałem się. Kim popatrzyła na mnie.
- Naprawdę?
- Kocham cię - odparłem, całując ją.
- Przepraszam. Zdenerwowałam się. Ruszyłem w stronę windy.

- Wszyscy już są na górze? - spytałem.

- Wszyscy - odparła. - Zjawili się dość wcześnie. Shepherd i jego adwokat, Gitlin. McManus z B. of A., Peachtree i jego asystent, Shifrin, ta zdzira i jej bankier z Kanady, załoga z D.B.&L, Siddely, adwokat reprezentujący Millennium, dalej Jim Handley z naszego biura i nasz księgowy, Dave Blitz. Pomyślałam, że mogłabym się załapać w charakterze sekretarki.

Uśmiechnąłem się.

- Dziwka. Powinienem był przewidzieć, że znajdziesz sposób, żeby się wprosić na to spotkanie.

- Jeszcze mam dobrze w głowie. Nie zostawię cię samego w jednym pomieszczeniu z tą kobietą.

Wchodząc na salę konferencyjną, zauważyłem malujące się na twarzach zebranych zainteresowanie. Stałem za stołem, Kim usiadła przy mnie; przed sobą położyła magnetofon i aparat do stenografowania.

- Dzień dobry, pani Jarvis, panowie. Dziękuję wam za obecność, pomimo tak późnego ogłoszenia terminu spotkania. Jak wiecie, przez kilka ostatnich miesięcy badałem kondycję Millennium i sądzę, że nadszedł czas, abyśmy spojrzeli prawdzie w oczy. Firma tonie w długach, a jej dochody nie są w stanie pokryć działalności na okres dłuższy niż dwa tygodnie. Nie możemy czekać, aż sytuacja ulegnie poprawie. Stoimy wobec konieczności przetargu publicznego, ale to nie przyniesie nam nic dobrego. Wszystko przepadnie.

Zebrani milczeli przez moment, a potem odezwał się sędzia Gitlin. Przeszedł od razu do sedna:

- Jeśli firma upadnie, stracą na tym naprawdę tylko dwie osoby: pan Shepherd i pani Jarvis. Obydwoje mają w niej po czterysta milionów.

- Rzeczywiście - zgodziłem się. - Jednak Shepherd jest mi winien osiemdziesiąt pięć milionów. Ponieważ nie może mi ich oddać, więc ja też tracę.

- Powiedziałeś, że będziesz go wspierał - odparł sędzia cichym głosem. - Wiedziałeś, że w grę wchodzi czterysta.

- Nie zapisaliśmy tego czarno na białym. Poza tym nie powiedzieliście mi, w jak fatalnej sytuacji znajduje się firma.
- Zasądzimy cię.
- Dysponuję podpisanym przez Shepherd'a pokwitowaniem na osiemdziesiąt pięć milionów dolarów.
- Jesteś kanciarz - powiedział uprzejmie sędzia.
- *C'est la vie* - odparłem.

Kinnard, kanadyjski bankier Almy, popatrzył na mnie i spytał:

- Jak wygląda nasza sytuacja?
- Nie wiem - odparłem. - Pożyczkę otrzymał Jarvis. Rozumiem, że jego udział został przekazany firmie jako zabezpieczenie.
- Mówi pan jednak, że firma nie jest warta funta kłaków.
- Mogę wyrazić tylko swoje ubolewanie - odparłem.
- Jed, tu kutasie! - zawołała Alma. - Myślałam, że mogę na tobie polegać - dodała i zaczęła płakać.
- Prywatnie, owszem. Ale to nie jest sprawa prywatna, Almo, to interesy. - Nie mogłem wyjść z podziwu. Alma dawała jedno z najlepszych przedstawień, jakie w życiu widziałem. Kobieta zrozpaczona, a nie intrygantka od samego początku. Byłem ciekaw, czy tych samych sztuczek używała do wyrwania kontroli nad majątkiem z rąk synów Jarvis'a.
- Chwileczkę - odezwał się Shepherd, spoglądając na mnie przenikliwie. - Nie ściągnąłeś nas na to spotkanie tylko po to, żeby powiedzieć nam, że firma upada. Wiemy o tym wszyscy. Coś jeszcze chodzi ci po głowie.
- Zgadłeś, Bradley - odparłem z uśmiechem.
- Chcesz przejąć firmę.
- Nie, Bradley. Chcę ją kupić.
- Jesteś bardziej stuknięty, niż ja byłem - stwierdził.
- Może mi się poszczęści. Dam ci pięćdziesiąt procent od każdego dolara twojego udziału.
- Nic z tego. Moja umowa z Jarvis'em była inna.
- Jarvis nie żyje - odparłem. - Zdanie pani Jarvis zaraz poznamy.

Alma popatrzyła na mnie, a potem na swojego bankiera, Kinnarda.

- Co ty na to?

- Pięćdziesiąt procent to lepsze niż nic - odparł Kinnard. Alma skinęła głową.

- Zgoda.

- Słyszałeś - zwróciłem się do Bradleya.

- Jak myślisz? - spytał Gitlina. Sędzia Gitlin uśmiechnął się krzywo.

- Zdaje się, że ktoś tu robi kogoś w konia, ale wpadliśmy do wody pełnej piranii. Bierz forszę i w nogi.

Wstałem zza stołu.

- Dziękuję, panowie. Poproszę prawników o jak najszybsze sporządzenie umowy. Pieniądze złożyłem już na rachunku depozytowym.

Bradley spojrział na mnie czerwony ze złości.

- Orznąłeś nas, nie? Nie odpowiedziałem.

- Sądziłem, że chciałeś nam pomóc - dodał.

- Owszem - odparłem. - Nie wiedziałem jednak, że jesteście na straconych pozycjach. Jarvis usadził was równo.

Gdyby nie ja, nie miałbyś absolutnie nic. Teraz przynajmniej możesz wrócić do siebie i naprawić szkody na własnym podwórku.

Bradley i sędzia Gitlin opuścili w milczeniu salę. Zwróciłem się do Almy:

- Almo, przygotuj z panem Kinnardem dokumenty. Skinęła głową.

- Zajmiemy się tym.

- Dziękuję - odparłem.

Patrzyłem, jak wychodzą z sali konferencyjnej. Peachtree i jego asystent nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Daniel, zostajesz nadal dyrektorem wytwórni. Jesteś sukinsynem, ale mam zaufanie do twojej wiedzy i zdolności. Dokonam przelewu stu milionów dolarów na konto operacyjne koncernu i oczekuję, że zachowasz ciągłość produkcji. Mianuję Jima Handleya dyrektorem finansowym. Rozejrzyj-

cie się po firmie i zróbcie w niej porządek. Mam nadzieję, że będzie się wam dobrze współpracowało. Peachtree popatrzył na mnie.

- Dziękuję, Jed. Jednak, jak wiesz, nie mam jeszcze kontraktu.

- Dobra, dostaniesz go jutro rano - odparłem. Przyjrzałem mu się uważnie i zapytałem: - Ile pieniędzy potrzebujesz? Daniel wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć.

- W takim razie pomyśl o tym. Potem siądziemy i opracujemy szczegóły.

- Na jutro muszę mieć dziesięć milionów dolarów - powiedział. - Mogę przejąć dystrybucję „Star Island”. Wszystkie studia w mieście napalają się na ten film, ale jego producent to mój były kochanek. Wie, że damy mu przyzwoite udziały.

- Dobrze, będziesz miał te pieniądze.

- W porządku - odparł, wstając z krzesła. - Mam trochę roboty. Wracam do studia.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Miłego dnia - powiedziałem. Roześmiał się.

- Nawzajem - odparł, po czym razem ze swoim chłopakiem wyszli z sali.

Oparłem się na krzesło i zapaliłem papierosa.

- Jezu! - jęknąłem. Czuję się, jakbym przeszedł przez wyżymaczkę. Wciąż czekałem na pieniądze od wuja Rocco.

Jim Handley pochylił się w moją stronę.

- Co dalej robimy? - spytał.

- Pożyczamy - odparłem i zwróciłem się do Rona Schraf-ta, przewodniczącego trzyosobowej delegacji z D.B.&L:

-Czy uda nam się sprzedać wysoko oprocentowane obligacje na miliard dolarów?

Pomimo młodego wieku Ron był bystry i dobrze poinformowany. Przystąpił od razu do sedna:

- Nie ma szans. Zdaniem Mike'a to się nie kalkuluje.

- Mamy aktywa - nie dawałem za wygraną. - Nieruchomo-

ści warte są przynajmniej czterysta milionów i dają nam czterdzieści milionów rocznie. Jeden przebój kasowy i mamy forsy jak lodu.

- W ciągu ostatnich dwóch lat Millennium straciło prawie dwieście milionów - odparł Ron. - Nie było przeboju kasowego. Poza tym Mike nie ma zaufania do przemysłu filmowego.

- Moim zdaniem się myli.

- Mike cię lubi i chce ubić z tobą interes. Jeśli przyłączysz Millennium do General Avionics, może sprzedać dla ciebie wysoko oprocentowane obligacje na pięć miliardów.

- Niech spada - odparłem. - General Avionics nie potrzebuje pieniędzy, nie mam zamiaru ugrząść w długach za koncern filmowy.

Ron nie tracił spokoju.

- To tylko taki pomysł. Mike chciał jakoś pomóc. Wstałem i wyciągnąłem rękę na pożegnanie.

- Podziękuj mu. Nie takiej pomocy potrzebuję. Uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszedł z sali konferencyjnej.

- Sukinsyny - skomentował Handley.

- Nie przejmuj się - odparłem. - Dla Mike'a to po prostu biznes.

- Rozmawiałem z McManusem - zwrócił się do mnie Sherman Siddely. - B. of A. nie zamierza pomóc.

Roześmiałem się.

- Czy zdarzyło się kiedyś, żeby jakiś bank pożyczył ci pieniądze, kiedy naprawdę ich potrzebujesz?

- Masz rację - odparł McManus. - Jednak B. of A. stracił czterdzieści milionów kredytów w przedsiębiorstwach filmowych, które upadły.

- Daj spokój, stary. B. of A. utopił w kredytach dla przemysłu filmowego setki milionów. Powodem, dla którego udzielałeś pożyczki Millennium, była nadzieja, że Shepherd przeniesie na ciebie rachunki swojego koncernu naftowego.

McManus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Skurczybyk.

- Nie bądź sknera, weź ze mną na spółkę kontrakt na „Star Island”. Pięć milionów to nie tak znowu dużo.

- A co dasz mi w zamian?
 - Nowy interes z General Avionics - odparłem.
 - Mówisz poważnie? - spytał.
 - Dotrzymuję słowa - zapewniłem go. - Prócz tego gwarantuję ci jako pierwszemu pieniądze z tego filmu, jeśli się zwróci.
 - Co ty na to? - spytał McManus Siddely'ego. Siddely skinął głową.
 - Peachtree wie, co robi. Mogę wyłożyć na niego pieniądze. Gdyby Shepherd miał takich ludzi od produkcji jak ten pedał, toby tak nie wylądował.
 - Porozumiem się ze swoim biurem - zwrócił się do mnie McManus. - Myślę, że się dogadaliśmy.
 - Dzięki - odparłem. - Każdy grosz pomaga.
 - Jarvis wiedział, co robi - odezwał się Siddely. - Dokładnie sprawdził tego Peachtree.
 - Szkoda, że nie wpadł na to, żeby sprawdzić swój samochód - zauważyłem.
 - Uganiał się za niewłaściwą dziewczyną - powiedział Siddely. - Ona ma przyjaciela, gangstera z Las Vegas - dodał, po czym spojrział na mnie badawczo. - Nie wiedziałem, że znasz panią Jarvis.
 - Dawno temu była żoną mojego kuzyna.
 - Próbowałem się z nią skontaktować, ale nie chciała ze mną rozmawiać.
 - Nic mi o tym nie wiadomo - odparłem. - Dawno jej nie widziałem, skontaktowała się ze mną dopiero w sprawie tej transakcji.
 - To był łut szczęścia - przyznał Siddely.
 - Owszem - zgodziłem się. Siddely znów spojrział na mnie.
 - Jarvis proponował mi posadę wicedyrektora i radcy prawnego Millennium.
- Odwzajemniłem spojrzenie.
- Jeśli nadal jesteś zainteresowany, przyjmuję cię. Wahał się przez moment, a potem wyciągnął dłoń.
 - Powiedzie się nam.

- Wiem - odparłem z uśmiechem.

Spotkanie wreszcie dobiegło końca. Ostatni zaproszeni na naradę wyszli. Podeszedłem do barku w kącie pokoju i nalałem sobie szkocką z lodem.

Kim obserwowała mnie.

- Jak się czujesz?

- Zmęczony - odparłem. Jednym haustem opróżniłem połowę szklanki. - Połącz mnie z wujem.

- Czego od niego chcesz? - spytała.

- Obiecał mi przecież pięćset milionów dolarów, a nie zobaczyłem z nich ani grosza.

Rozdział VI

Kiedy wróciłem z lunchu, siedział już w moim gabinecie. Podniósł się z krzesła i uśmiechnął się.

- Panie Stevens - powitał mnie, podając wizytówkę. Szybko przebiegłem ją wzrokiem. Była w europejskim stylu, dużo większa niż amerykańskie.

LEONARDO DA VINCI Kierownik działu operacji finansowych Super-Sattel EuroSky Broadcast Corporation

Kanał 21 Liechtenstein

Czułem się lekko zdezorientowany.

- Proszę mi wybaczyć, panie Stevens. Nie chciałem być intruzem, ale pan di Stefano zapewnił pańską sekretarkę, że tak będzie w porządku.

Podszedłem w milczeniu do biurka i połączyłem się z wujem Rocco.

- Gratuluję - powitał mnie. - Słyszałem, że doprowadziłeś transakcję do końca.

- Co jest grane? Masz szpiegów w moim biurze, czy co? -sarknąłem. - Wiesz o zawartej umowie już w momencie, kiedy wracam z lunchu, i jeszcze bez zapowiedzi przysyłasz do mojego biura emisariusza. Wydawało mi się, że zgodziliśmy się co do tego, że należy mi się trochę swobody w prowadzeniu wytwórni.

- To sprawy rodzinne - odparł wuj. - W rodzinie nie ma miejsca na swobodę. Poza tym to nie ma nic wspólnego ze swobodą. Leonardo ma tylko uregulować nasze finanse.

- Dobra. W jaki sposób?

- Spokojnie. Zostaw to jemu. - Wuj rozłączył się, a ja odłożyłem słuchawkę.

Da Vinci był wysokiego wzrostu, około metr dziewięćdziesiąt, miał szerokie bary, niebieskie oczy, czarne włosy i starannie przystryżoną brodę. Ubrany był w czarny garnitur włoskiego kroju, białą koszulę i czarny krawat.

Wyciągnął rękę.

- Na wypadek, gdyby się pan zastanawiał - powiedział ze śmiechem - nie mam uzdolnień artystycznych.

- Więc skąd to nazwisko? - spytałem, wtórując mu.

- Wydawało mi się, że będzie bardziej interesujące niż Leonard Davidson. Jest coś w nazwisku da Vinci, co robi na ludziach wrażenie.

- Na mnie zrobiło - przyznałem.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę i wręczył mi. Otworzyłem ją, wyjąłem z niej kartkę i szybko przebiegłem wzrokiem umieszczone na niej zestawienia rachunkowe. Znalazłem tam wszystkie zaliczki udzielone Shepherdowi oraz nowe zobowiązania, jakie przyjąłem wobec Millennium. Suma wynosiła pięćset dziewięćdziesiąt pięć milionów.

Da Vinci spojrzał na mnie.

- Wszystko się zgadza? Skinąłem głową.

- Tak. Nie rozumiem tylko, skąd pan tak szybko się dowiedział.

- To w końcu mój zawód - odparł. - Skoro nie ma pan zastrzeżeń odnośnie kwot, weźmy się za uzgadnianie naszych kont.

- Dobrze. W takim razie poproszę do nas Jima Handleya, dyrektora finansowego. Pomoże nam skierować pieniądze na właściwe konta.

- Wyśmienicie.

- A tak przy okazji, czeki będą wystawione na banki amerykańskie czy zagraniczne?

- Czeki wyszły już z mody - odparł. - Przelejemy pieniądze bezpośrednio na wasze konta bankowe.

Handley wszedł do mojego gabinetu akurat w momencie, gdy da Vinci otwierał gruby, niezgrabny neseser; położył go na biurku, wyjął z niego laptopa i połączył z dziesięciocalowym dyskiem satelitarnym. Oba zasilane były czterema sześciowoltowymi bateriami. Po włączeniu prądu ekran rozjaśnił się, lecz był pusty; dopiero uruchomienie dysku sprawiło, że pojawił się na nim niebieski napis: EUROSKY KANAŁ 21.

- Możemy przystąpić do pracy - oznajmił da Vinci. Przedstawiłem obu mężczyznom. Handley był ciekaw, co się dzieje, ale miał na tyle dobrze w głowie, żeby nie zadawać pytań. Przedstawiłem mu w skrócie sytuację. Zwrócił się do da Vinci:

- Czy to jest zgodne z prawem? Da Vinci skinął głową.

- Tak, pod warunkiem, że poinformujecie zawczasu bank o wpłatach, jakich zamierzacie w ten sposób dokonać. W końcu banki cały czas dokonują między sobą tego typu przelewów.

- Jakie są powiązania pana di Stefano z EuroSky? I dlaczego EuroSky chce Millennium? - spytałem.

- O ile wiem - odparł da Vinci - pan di Stefano jest jednym z inwestorów w EuroSky. Natomiast EuroSky jest nową korporacją, utworzoną dla potrzeb nowo otwierającego się rynku sieci międzynarodowych telewizji w Europie. EuroSky umieściła już cztery satelity nad Europą Wschodnią i Zachodnią; na rynku europejskim konkuruje bezpośrednio z brytyjskimi koncernami Murdocha i Thames. Millennium należy do nielicznych wytwórni mających w dystrybucji ponad tysiąc pięćset filmów fabularnych i innych.

- Czy to czyste pieniądze? - spytał Handley.

- Tak - odparł da Vinci. - Pieniądze pochodzą z londyńskiego Lloyd's Banku oraz Credit Suisse w Genewie. - Przerwał na moment. - Aby przelać pieniądze na wasze konta, powinienem znać numery kont każdego z banków, do którego chcecie je przelać.

Spojrzałem na Jima.

- W porządku, daj mi te numery.

Jim nie był całkiem przekonany.

- Jeśli damy panu numery kont, to będziecie mogli podjąć pieniądze bez naszej wiedzy.

Da Vinci uśmiechnął się.

- Nie, jeśli poinformujecie swoje banki, że ta metoda może być stosowana jedynie przy dokonywaniu wpłat.

- Dobra - powiedziałem. - Zaczynamy.

Cała transakcja zajęła zaledwie około dwudziestu minut, a potem da Vinci oświadczył:

- Pieniądze są już wasze.

Jim spojrział na niego z wahaniem.

- Skąd mamy wiedzieć? Nie dostaliśmy żadnego potwierdzenia.

Da Vinci roześmiał się.

- Proszę zadzwonić do banków, powiedzą panu.

- W porządku - zgodził się Jim, podszedł do mojego biurka i sięgnął po telefon., Zweryfikowanie wpłat zajęło mu kolejne dwadzieścia minut. Z rosnącym zdziwieniem otrzymywał z każdego banku potwierdzenie dokonania wpłat na nasze konta.

Zwrócił się do mnie:

- Osiemdziesiąt pięć milionów, które wpłaciłeś Shepher-dowi, należy do ciebie. Pozwoliłem sobie skierować tę kwotę na konto rezerwowe.

- Dobrze.

- W pierwszej kolejności zapłacimy pozostałe kwoty uzgodnione na spotkaniu - dodał.

Przedstawiłem Jimowi wszystkie należności:

- Pani Jarvis i Shepherdowi zapłacimy, kiedy skompletują dokumenty. Tak jak uzgodniłem z Danielem, na konto produkcyjne należy wpłacić sto milionów dolarów, a osobna kwota ma być wpłacona na wykupienie praw do dystrybucji „Star Island”.

- W porządku - przyjął do wiadomości. - Teraz wracam do siebie i biorę się do roboty.

Jim wyszedł; da Vinci schował komputer i sprzęt z powrotem do nesesera. Postawił neseser na podłodze i spytał:

- Zamierza pan zatrzymać wytwórnię?
 - Nie sądzę - odparłem, - Nie znam się zupełnie na przemyśle rozrywkowym.
 - To już nie przemysł rozrywkowy - zauważył. - To telekomunikacja. Całkiem co innego.
- Spojrzałem na niego.
- General Avionics w zupełności mi wystarczy. Nie jestem chciwy.
- Da Vinci wzruszył ramionami.
- Pan podejmuje decyzje. - Spojrzał na zegarek. - Już późno, dochodzi piąta. Jeśli nie ma pan planów na wieczór, może zechce pan zjeść ze mną kolację?
 - Nie mam planów - odparłem.
 - Świetnie. Spotkajmy się w Palms na Santa Monica Boulevard o ósmej.
 - To brzmi jak randka. Przyjdę z dziewczyną.
 - Ja także - odparł z uśmiechem.
- Poczekalem, aż opuści gabinet, a potem zadzwoniłem jeszcze raz do wuja.
- Skończyliśmy - powiedziałem. - Co dalej?
 - Chciałbym, żebyś raz jeszcze zastanowił się nad moją wcześniejszą propozycją. To bardzo duża firma inwestycyjna; mógłbyś w niej świetnie prosperować.
 - Czy to ta, która zainwestowała w EuroSky? - spytałem.
 - Oczywiście. W całości należy do nas. Znaleźliśmy do prowadzenia EuroSky paru najlepszych w Europie speców od mediów.
 - Ile cię to kosztowało? - spytałem.
 - Nie tak wiele - odparł wuj Rocco. - Może jedenaście miliardów dolarów, ale w ciągu pierwszych pięciu lat zwróci nam się ponad pięćdziesiąt procent tej sumy, ponieważ dzierżawimy nasze łącza satelitarne firmom telefonicznym i telekomunikacyjnym. Powinniśmy mieć z tego około jednego miliarda wpływów rocznie.
- Roześmiałem się.
- Nie wiem, do czego jestem ci potrzebny. Sam dajesz sobie świetnie radę.

O ósmej wieczór przy barze w Palms kłębił się tłum. Dobrze, że poprosiłem Kim o telefoniczną rezerwację stolika. Znaleźliśmy da Vinci przy barze. Był wyraźnie zaniepokojony.

- Czy kontaktował się pan teraz z panem di Stefano? - spytał.

- Nie - odparłem. - Telefonowałem do niego wcześniej, po południu, kiedy doprowadziliśmy do końca nasz interes. Potem już nie.

- Trochę się niepokoję. Dzwoniłem do niego parę razy, ale nikt nie odbierał.

- Dziwne - stwierdziłem. - Zawsze ktoś u niego jest.

- Nikt nie odbierał - powtórzył cicho.

- Może ja spróbuję go złapać - zaproponowałem. W tym samym momencie rozległ się brzęczyk mojego pagera.

Spojrzałem na wyświetlacz i zobaczyłem jakiś nie znany mi numer.

Zwróciłem się do Kim:

- Napijcie się przy barze z panem da Vinci, a ja oddzwonię na ten numer, a potem spróbuję zlokalizować wuja Roc-co. Zaraz wrócę, zatelefonuję z samochodu.

Miałem szczęście. Jedną z zalet posiadania Corniche'a jest to, że parkingowy zawsze stawia go przed wejściem do restauracji. Wcisnąłem mu piątkę i wsiadłem do samochodu. Podniosłem słuchawkę i najpierw wykręciłem numer wuja. Sygnał zabrzmiał sześć razy, ale nikt nie odbierał. Potem zadzwoniłem pod ten drugi numer. Ku mojemu zaskoczeniu odezwał się wuj Rocco.

- Co tak długo? - spytał rozdrażnionym głosem.

- Co się dzieje? Gdzie jesteś, do diabła?

- Jestem w poczekalni Air France na JFK.

- Co ty tam robisz, do cholery?

- Dostałem cynk, że ktoś wynajął zabójcę, żeby mnie ukatrupił.

- Wiesz, kto?

- Domyślam się. Ale muszę to wyjaśnić w Europie. Póki co muszę się ukrywać. Wynajmę jacht na południu Francji. Zostanę na nim, dopóki nie wyklaruje się sytuacja.

- Jak cię złapię?
 - Dam ci znać, gdzie jestem; spotkasz się ze mną w podanym miejscu, jak tylko zadzwonię.
 - Myślałem, że wycofałeś się z interesu.
 - Wycofałem się. Kłopot w tym, że paru dupków nie chce przyjąć tego do wiadomości. Dlatego właśnie chcę, żebyś się z nimi wszystkimi dogadał.
 - Dobrze, wuju - jęknąłem do słuchawki. - Zadzwon do mnie. Przyjadę. Póki co uważaj na siebie.
 - Będę uważał - odparł wuj Rocco.
- Telefon zamilkł; odłożyłem słuchawkę na widełki. Potem wróciłem do restauracji. Da Vinci podniósł wzrok.
- Próbował pan złapać pana di Stefano?
 - Tak, ale również bez skutku. - Wzruszyłem ramionami. - Siadajmy do kolacji. Pewnie skontaktujemy się z nim dopiero jutro.
 - Jak pan myśli, gdzie on może być?
- Poczułem, jak w głowie zaczynają mi bić dzwony na alarm.
- Pan di Stefano uwielbia operę. Pewnie poszedł na Manhattan do Metropolitan. Prawdopodobnie dał służbie wychodne na parę godzin aż do swojego powrotu.
- Gigi, kierownik Palms, poprowadził nas do stolika. Usiedliśmy i zamówiliśmy drinki.
- Zdaje się, że miał pan kogoś ze sobą przyprowadzić?
 - Zaprosiłem panią Jarvis - odparł da Vinci - ale wystawiła mnie do wiatru. Jej też nie udało mi się złapać telefonicznie.

Rozdział VII

Wspaniałe w Palms jest to, że jeśli tylko mamy apetyt, czeka nas prawdziwa uczta. Drinki przyniósł kelner z brzuchem jak beczka i obwieścił:

- Polecam specjalność dnia. Potwory z Loch Ness. Trzy-kilogramowe homary.

Kim pokręciła głową z uśmiechem.

- Nie damy rady.

- Co powiecie na to, żebyśmy wzięli na spólkę jednego dwukilogramowego, a potem krwisty befsztyk ze smażonymi plasterkami cebuli i frytkami? - zaproponowałem.

Kim wtrąciła szybko:

- Zacznijmy od jakiejś sałatki Gigiego.

- Co pan zamawia? - spytałem da Vinci.

- Wezmę befsztyk średnio wysmażony, a do tego szpinak i pieczone ziemniaki.

- Co powiecie państwo na butelkę chianti? - zaproponował kelner.

- Jak najbardziej - zgodziłem się.

Kelner oddalił się, my zaś zabraliśmy się za drinki.

- Jak pan poznał panią Jarvis? - spytałem da Vinci.

- Byłem księgowym w jej paryskim banku - odparł.

- Czy była już wtedy żoną Jarvisa?

- Nie. Kiedy wyszła za Jarvisa, pracowałem już dla Euro-Sky i nasz kontakt się urwał.

- Jak trafił pan do EuroSky? - spytałem. Da Vinci roześmiał się.

- Potrzebowali bankiera ze znajomością komputerów.

W tamtych czasach niewielu bankierów w Europie znało się na komputerach.

- Czy EuroSky nie wpłaciło Jarvisowi zaliczki na Millennium Films? - spytałem.

Da Vinci spojrział na mnie.

- Jeśli nawet, to nic mi o tym nie wiadomo, ponieważ przydzielono mnie do tego projektu zaledwie kilka tygodni temu - powiedział szczerze.

Kelner przyniósł właśnie sałatki, kiedy obok przeszła grupka ludzi, kierując się do swojego stolika. Poznałem wśród nich Thyme, egzotyczną czarnoskórą piosenkarkę, którą widziałem na przyjęciu u Bradleya. Jeden z towarzyszących jej mężczyzn przystanął przy naszym stoliku i odezwał się do da Vinci:

- Nie spodziewałem się ciebie tak szybko w mieście.

- Miałem do załatwienia nieoczekiwany interes - odparł zapytany. - Zamierzałem skontaktować się z tobą z samego rana.

Dobrze ubrany, przystojny mężczyzna w średnim wieku skinął głową.

- Możesz mnie złapać w hotelu jutro rano; po południu wracam do Las Vegas.

- Skontaktuję się z tobą - odparł da Vinci i grupka oddaliła się. Wydało mi się dziwne, że da Vinci nie przedstawił nas swemu znajomemu.

- Ta czarna dziewczyna to Thyme - odezwała się Kim. - Jej piosenka jest teraz hitem na listach przebojów. Słyszałam, że jej chłopak to gangster z Las Vegas.

Da Vinci uśmiechnął się i jadł dalej sałatkę.

Obsługa w Palms była sprawna. Zamówione przez nas dania pojawiały się jedno za drugim. O dziewiątej trzydzieści skończyliśmy. Kiedy kelner przyniósł rachunek, da Vinci sięgnął po czek. Uniosłem w dłoń proteście.

- Nie ma mowy. To moje miasto, ja płacę - powiedziałem i zapłaciłem rachunek.

Wyszliśmy na zewnątrz. Da Vinci poprosił parkingowego o wezwanie taksówki.

- Po co? Podrzucę pana - zaproponowałem. - Gdzie się pan zatrzymał?
 - W Beverly Rodeo.
 - Niech pan wsiada - powiedziałem, gdy parkingowy otworzył drzwi Kim.
- Wysadziłem go przy hotelu Beverly Rodeo. Kiedy wysiadał, odchyliła mu się poła marynarki.
- Skontaktujemy się jutro - powiedział na pożegnanie.
 - Dobrze - odparłem i odprowadziłem go wzrokiem do holu. Potem odjechałem.
 - Miał pistolet w kaburze pod pachą - zwróciłem się do Kim.
 - Skąd wiesz? - spytała.
 - Zobaczyłem, kiedy wysiadał z samochodu. Nie rozumiem. Po co bankierowi z komputerem spluwa? - Pokręciłem głową. - To wszystko bez sensu.
 - Jesteś zmęczony - stwierdziła Kim. - Wracajmy do hotelu. Musisz odpocząć. Może dobrze ci zrobi kąpiel w jacuzzi. To był ciężki dzień.
- Skinąłem głową. Nie powiedziałem jej, że wuj Rocco wyjechał za granicę.
- Najpierw jednak muszę pogadać z Alną - powiedziałem. - Zadzwoń do niej do hotelu i powiedz, że wpadnę.
- Kim podniosła słuchawkę i wykreciła numer. Poprosiła panią Jarvis.
- Przez chwilę słuchała recepcjonistki, a potem odłożyła słuchawkę i spojrzała na mnie.
- Wyprowadziła się - oznajmiła.
 - Cóż - mruknąłem. - Wracamy do domu.
- Około jedenastej trzydzieści siedziałem z Kim w jacuzzi. Ułożyłem się wygodnie w bulgoczącej wodzie. Kim spojrzała na mnie.
- Podjęłam decyzję, Jed. Odchodzę z biura.
 - Dlaczego, do cholery? - spytałem. - Masz wspaniałą pracę.
 - Nie potrzebuję jej - odparła ze złością. - Zależy mi na

małżeństwie z tobą. Wydawało mi się, że coś nas łączy, ale tylko pieprzymy się od czasu do czasu, to wszystko.

- Mam teraz tyle problemów na głowie - broniłem się.

- Na początku, kiedy rozkręcaliśmy interes, było ich więcej - odparła. - Mimo to miałeś też czas dla nas.

- Jeszcze będziemy go mieli. Poczekaj tylko, aż uporam się z tym zamieszaniem.

- Nie wiem - odparła. - W przyszłym roku kończę trzydzieści lat, a moja matka zawsze powtarza, że jeśli do tej pory kobieta nie wyjdzie za mąż, zostanie starą panną.

- O Boże - jęknąłem. - Ciągłe jesteś dzieckiem.

- Ty też nie jesteś znów taki młody. Moim zdaniem, powinniśmy coś postanowić o naszej przyszłości.

- Wiem, jaka będzie nasza przyszłość - odparłem. - Weźmiemy ślub.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście, jak najbardziej. Tylko mnie nie popędzaj. Kim wyszła z jaccuzi.

- Dokąd idziesz? - spytałem.

- Idę ogolić sobie cipkę - odparła. - Chcę znów poczuć się młodo.

Wyszedłem z jaccuzi i włożyłem aksamitny szlafrok.

- Chodź do łóżka - zaproponowałem. - Poćwiczymy trochę.

- Nie chcesz, żebym sobie ogoliła cipkę?

- Jest mi wszystko jedno.

- W takim razie lepiej ogól się, bo podrapiesz mi łechtaczkę.

- Cholera, chodźmy już do łóżka.

Zadzwoił telefon. Kim odebrała, słuchała przez chwilę, a potem spojrzała na mnie z zawiedzioną miną.

- Przed hotelem stoi limuzyna - poinformowała mnie. - Przyjechała nią twoja bratanica, Angela.

Kim wskoczyła w dres, a ja założyłem dzinsy i koszulę. Rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzyłem. Stała w nich Angela, a za nią chłopak hotelowy z walizką.

- Wujku Jed - powitała mnie nieśmiałym głosem.

- Tak, kochanie?

- Mama kazała mi pobyć u ciebie kilka dni - odparła i spojrzała na mnie lękliwie. - Mogę? - najwyraźniej nie była pewna, czy jest mile widziana.
 - Wchodź, kochanie - powiedziałem, biorąc ją za rękę. -Gdzie jest mama?
 - Musiała wyjechać w interesach.
 - Dokąd? - spytałem. Angela spojrzała na mnie.
 - Chyba do Francji. - Odwróciła się i dostrzegła Kim. - Czy to twoja żona?
 - Narzeczona - odparłem z uśmiechem. - Niedługo zamierzamy się pobrać.
 - Bardzo ładna pani - oceniła Angela. Przedstawiłem je sobie. Kim uśmiechnęła się do Angeli i spytała:
 - Jadłaś kolację?
 - Jeszcze nie - odpowiedziała.
 - Chodź, zjemy coś - zaproponowała Kim i obie poszły do kuchni.
- Kiedy Kim zaprowadziła Angelę do pokoju gościnnego, zadzwoniłem do Daniela. Dochodziła północ, przeprosiłem więc na wstępie, że niepokoję go tak późno.
- Potrzebuję paru informacji - powiedziałem. - Pamiętam, że to ty przywiozłeś Thyme na przyjęcie u Bradleya.
 - Zgadza się - odparł Peachtree.
 - Słyszałem też, że jej chłopak był gangsterem w Las Vegas.
 - Zgadza się, chociaż nie jestem pewien, czy „chłopak” to właściwe określenie, jest raczej jej protektorem. Nazywa się Jimmy Pelleggi i reprezentował interesy Sama Giancanny w Las Vegas.
 - Czy dalej ma coś wspólnego z kasynami?
 - Nie sądzę, skoro komisja gier zakazała mafii wszelkich działań związanych z hazardem.
 - W takim razie, jak myślisz, co on robi w Las Vegas? -spytałem.

- Z tego, co słyszałem, zajmuje się narkotykami i prostytutką. To twarde! - dodał Daniel. - Nazywają go Jimmy Blue Eyes, ponieważ ma lodowate spojrzenie.
 - Co on ma wspólnego z Thyme? Daniel roześmiał się.
 - Naśladuje Giancannę. Przez długi czas Giancanna też trzymała pod skrzydłami piosenkarkę.
 - Czy wiesz coś o facecie nazwiskiem Leonardo da Vinci?
 - Tym artyście? - spytał Daniel.
 - Nie - odparłem. - To europejski bankier; wiem, że zna Jimmiego Pelleggi.
 - Nic mi o nim nie wiadomo - odparł Daniel. Podziękowałem mu i odłożyłem słuchawkę. Pierwszy raz w życiu martwiłem się, że nie mogę się skontaktować z wujem Rocco. Działo się coś dziwnego. Wiedziałem już, że Jimmy Blue Eyes siedzi w narkotykach. Pamiętałem, że Alma również była w tej branży. Wiedziałem też, że da Vinci miał kontakt z obydwojgiem. Coś się działo, lecz nie wiedziałem co.
- Do salonu weszła Kim.
- Angela poszła spać.
 - Dobrze - odparłem. - Myślę, że powinniśmy zrobić to samo. To był długi dzień.
- Popatrzyła na mnie.
- Co myślisz o tym, że Alma w takim pośpiechu wyjechała do Francji?
 - Nie wiem. Mam jednak przeczucie, że to ma coś wspólnego z wujem Rocco. On także wyleciał wieczorem do Francji. Możliwe, że znalazł się w prawdziwych kłopotach.

Rozdział VIII

Jedliśmy z Kim na śniadanie rogaliki i popijaliśmy kawą. - Musimy znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się Angelą, kiedy będziemy w biurze - odezwała się Kim. - Nie możemy zostawić jej samej.

- Nie myślałem o tym. Znasz kogoś, kto mógłby się tym zająć?

- Moja siostra ma troje dzieci. Na pewno zna kogoś, kto mógłby nam pomóc.

- Skontaktuj się z nią. Potrzebujemy kogoś od zaraz. Zadzwoił telefon. Kim odebrała, a po chwili podała mi słuchawkę mówiąc:

- To da Vinci.

- Dzień dobry - powitałem go.

- Dzień dobry - odparł. - Wie pan cokolwiek o Almie?

- Nic a nic.

- Ja za to słyszałem, że zostawiła u was swoją córkę.

- To było dla mnie zaskoczenie - odparłem. - Pojawiła się, kiedy wróciliśmy z kolacji.

- Czy powiedziała, dokąd pojechała jej matka?

- Nie, powiedziała tylko, że matka kazała jej zatrzymać się u nas na kilka dni.

Da Vinci wydawał się zirytowany.

- Są u mnie dwie walizki, które miałem jej przekazać. Nie wiem teraz, co z nimi zrobić.

- Co w nich jest? - spytałem.

- Nie wiem, należą do Almy. Nie wspominała, co w nich jest. - Zawahał się przez moment. - Czy mógłbym wam je podrzucić, żeby je zabrała, kiedy wróci?

- Oczywiście - odparłem. - W końcu ma też od nas zabrać swoją córkę.
- Przywiozę je do hotelu - powiedział da Vinci. - Muszę dziś jeszcze wrócić do Liechtensteinu.
- Dobrze. - Odłożyłem słuchawkę i zwróciłem się do Kim: - Da Vinci ma dwie walizki Almy. Powiedziałem, że może je tu zostawić.

Kim podeszła do telefonu, zadzwoniła do siostry i rozmawiała z nią kilka minut.

- Siostra zna dziewczynę, która może zaopiekować się Angelą. Zaraz ją tu przyśle.
- Dzięki Bogu - odetchnąłem. Do jadalni weszła Angela.
- Dzień dobry - powitała nas.
- Dobrze spałeś? - spytałem. Skinęła głową.
- Wspaniale.
- Co chciałabyś na śniadanie? - spytała Kim.
- *Petit pain du chocolat* i kawę. Kim roześmiała się.
- Po pierwsze; nie mamy *petit pain du chocolat*, po drugie; jesteś za mała, żeby pić kawę.

Angela zmarszczyła brwi.

- Mama zawsze pozwala mi pić kawę.
- Słuchaj, jesteśmy w Ameryce - odparła Kim. - W Ameryce dzieci piją mleko, a nie kawę. Nie mogę dać ci *petit pain du chocolat*, ale mogę załatwić pączki z czekoladą. Myślę jednak, że powinnaś zjeść coś bardziej pożywnego - stwierdziła z matczyną troską w głosie. - Co powiedziałabyś na jajka z szynką albo naleśniki i parówkę?
- Mogą być naleśniki i parówka - zgodziła się Angela. - Ale jeżeli nie wypiję filiżanki kawy, będzie mi się chciało spać.

Kim roześmiała się.

- W porządku, ale słabą.
- Dobrze. Napiję się *caje'au lait*.
- Niech będzie - zgodziła się Kim i zadzwoniła po obsługę. Angela popatrzyła na mnie i spytała:

- Co dziś będziemy robić?
- Ktoś tu przyjdzie, żeby z tobą zostać. Musimy z Kim iść do pracy.
- Zachowujecie się dokładnie tak jak moja mama - westchnęła.

Kiedy wszedłem do biura, czekał już na mnie Jim Handley.

- Doszły do mnie przecieki z Aerospatiale - oznajmił.
- Co takiego? - spytałem. Jim miał niewesołą minę.
- Złe wieści. Holendrzy zaoferowali im więcej pieniędzy.
- To absurd. Aerospatiale chciało podpisać z nami kontrakt.
- Co ja na to poradzę? Tylko tyle mi powiedzieli.
- Moim zdaniem, jedyne, co możemy zrobić, to wysłać im zaliczkę - stwierdziłem po krótkim namyśle.

Handley popatrzył na mnie.

- Nie rozmawiałeś nawet z innymi liniami lotniczymi. Skąd wiesz, na ile możemy sobie pozwolić? Dwadzieścia procent zaliczki przy tylu samolotach wyniesie minimum ćwierć miliarda dolarów. Nie mamy tyle w tej chwili.

- Udupili nas - podsumowałem. - Ktoś dostał cynk o naszych zasobach gotówkowych. To dlatego ta holenderska firma złożyła ofertę.

- Co robimy? - spytał Handley.

- Pieprzymy Holendrów - odparłem. - Kupimy ich.

- Ale to oni chcą nas kupić - powiedział Handley.

- Oni chcą kupić nas, my chcemy kupić ich. Oni dadzą nam trzy miliardy dolarów. Ja zaoferuję im za ich firmę pięć miliardów.

Skąd zamierzasz wziąć na to forszę? - spytał. Nie powiedziałem mu, że wuj Rocco zaproponował mi prowadzenie niesamowitej spółki, prawdopodobnie jednej z największych firm inwestycyjnych na świecie ani tego, że jeśli przystanę na propozycję wuja, będę miał te pieniądze. Powiedziałem mu tylko, że jeśli nam nie wyjdzie, zawsze

możemy się połączyć albo nakłonić Milkena, żeby wypuścił dla nas śmieciowe obligacje i zdobył pieniądze.

- A co zamierzasz zrobić z Millennium Films? - zapytał. - EuroSky wpłaciło już pięćset dziewięćdziesiąt pięć milionów zaliczki. W jaki sposób wyciągniemy z tego jakiegokolwiek pieniądze?

Oparłem się na krzesło.

- Zapłacili mi, owszem, ale nadal pozostaję właścicielem wytwórni.

- Więc jak spłacimy tę pożyczkę? - nie dawał za wygraną Jim.

Uśmiechnąłem się.

- Przez wiele lat obserwowałem, jak Kerkorian bez przerwy sprzedaje MGM i UA, ale zawsze ma pełną kontrolę nad spółką. Sprzedawał tylko ochłapy.

- No i? - spytał Handley.

- To bardzo proste. Sprzedam im prawa do zagranicznej dystrybucji naszej filmoteki. To w końcu tysiąc pięćset filmów fabularnych, plus inne pozycje filmowe.

Handley spojrzał na mnie.

- Wydawało mi się, że nie chcesz zostawać w przemyśle filmowym.

- To bez znaczenia - odparłem. - Przecież rozmawialiśmy o tym, że ich nieruchomości i prawa własności sprzedadzą się za czterysta milionów dolarów. To całkiem nieźle.

Handley był oszołomiony, ale i pełen uznania.

- Jed - powiedział - stajesz się prawdziwym kutasem. Półtorej godziny później przyszła do biura Kim.

- Siostra przysłała opiekunkę do dziecka. Wysłałam ją z Angelą do Disneylandu - oznajmiła.

- Świetnie.

- Kiedy już wyszły i szykowałam się do pracy, przyjechał da Vinci i zostawił dla Almy dwie potężne aluminiowe walizy.

- Dobrze. Mówił coś jeszcze?

- Tylko tyle, że będzie próbował złapać popołudniowy lot do Europy.

- Cóż, sądzę, że to załatwia sprawę.

Zadzwoił telefon, a po chwili sekretarka poinformowała mnie przez interkom:

- Jakiś pan Pelleggi. Podniosłem słuchawkę.

- Słucham?

- Nie przedstawiono nas wprawdzie wczoraj wieczorem - odezwał się Pelleggi - ale widziałem pana z da Vinci i pomyślałem, że może ma pan do niego numer.

- Niestety, o ile wiem, jest w drodze powrotnej do Europy.

- Cholera - mruknął. - Czy ma pan jakieś informacje o pani Jarvis?

- Nie - odparłem.

Pelleggi wahał się przez moment, a potem dodał:

- Jestem przyjacielem pańskiego wuja. Znamy się z nim od wielu lat.

- Cieszę się. Bardzo lubię wuja Rocco.

- Łączą nas wspólne interesy.

- Tak?

- Muszę się skontaktować z pańskim wujem w bardzo ważnej sprawie.

- O ile mi wiadomo, jest nadal w Atlantic City - odparłem.

- Nikt nie odbiera u niego w domu.

- Z pewnością wkrótce się pojawi. Gdyby się do mnie odezwał, powiem mu, żeby się z panem skontaktował.

- Będę wdzięczny - odparł Pelleggi i znów się zawahał. - Przy okazji, wie pan, że mąż Almy, Reed Jarvis, napastował moją dziewczynę tamtej nocy po przyjęciu u Bradleya Shepherda?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparłem zgodnie z prawdą.

- Ten sukinsyn miał szczęście, że ktoś go zabił, zanim go dopadłem.

- Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Teraz tylko powinniśmy trzymać się z dala od kłopotów.

Zapadła cisza, a po chwili Pelleggi roześmiał się.

- Mów mi Jimmy Blue Eyes. Spodobałeś mi się. Jesteś zupełnie jak twój wuj - powiedział i rozłączył się.

Rozdział IX

Wyszedłem z biura dość późno. Kim wyszła wcześniej, ponieważ chciała zobaczyć, czy z Angelą wszystko w porządku. Cały personel poszedł już do domu. Zszedłem na opustoszały parking.

Wskoczyłem do Blazera i wyjechałem z garażu. Skręcałem w Century Boulevard, kiedy z tylnego siedzenia dobiegł mnie męski głos z lekkim hiszpańskim akcentem:

- Senor Stevens. Kopę lat. Spojrzałem we wsteczne lusterko.

- Kopę lat, kapitan Gonzales - odparłem. Ostatni raz widziałem go w Peru.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Dobrze zapamiętał pan nazwisko, ale kapitan już nieaktualny. Jestem teraz generałem.

- Gratuluję. Dlaczego nie przyszedł pan na górę, do biura?

- Nie chciałem, żeby ktokolwiek widział nas razem - powiedział.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytałem.

- Dzwoniła do mnie wczoraj señorita Vargas i prosiła, żebym się z panem skontaktował, ponieważ zaistniały poważne kłopoty.

Zjechałem na pobocze i odwróciłem się.

- Generale Gonzales, może siądzie pan z przodu? W ten sposób będzie nam łatwiej rozmawiać.

Generał niewiele się zmienił. Ciągle był szczupły i elegancko ubrany. W jego włosach co prawda pojawiła się lekka siwizna, ale przystrzyżone w linię wąsy miał nadal czarne jak węgiel.

Wróciłem na jezdnię.

- Czy Alma powiedziała, jakie to kłopoty?
 - Nie mogła wdawać się w szczegóły. Wiem tylko, że ma to coś wspólnego z *la cocaina*.
 - Sądziłem, że skończyła z tym. W końcu poślubiła bardzo bogatego mężczyznę i ma teraz mnóstwo pieniędzy.
 - To prawda - zgodził się Gonzales. - Jednak mafia strasznie na nią naciska. Chcą, żeby odnowiła dla nich swoje kontakty w Ameryce Południowej.
 - Chryste - mruknąłem. - Wygląda na to, że nic się nie zmieniło.
- Gonzales skinął głową.
- Powiedziała, że skontaktuje się z panem i wtedy powie, co robić.
- Spojrzałem na niego i spytałem:
- Słyszał pan o moim wuju, di Stefano?
 - Słyszałem, ale nigdy nie spotkaliśmy się osobiście.
 - Sądzę, że mój wuj i Alma są w Europie. Gonzales wyjrzał przez okno.
 - Da mi pan znać, jak tylko się odezwie?
 - W porządku - odparłem. - Gdzie się pan zatrzymał?
 - Jeszcze nigdzie - powiedział. - Dopiero przyjechałem.
 - W takim razie zapraszam pana do domu na kolację, może pan u nas zostać.
 - *Gracias, senor* - podziękował.
- Skręciłem na północ, na szosę prowadzącą do Sunset Boulevard, a potem na wschód, do łuku Bel Air.
- Czy jadą za panem ochroniarze? - odezwał się Gonzales.
 - Nie - odparłem.
 - Dwóch ludzi w czarnym Fordzie jedzie za nami od samego biura.
- Spojrzałem we wsteczne lusterko. Niczego nie zauważyłem.
- Gonzales odchylił marynarkę i wyciągnął automat.
- Tak na wszelki wypadek - wyjaśnił cichym głosem.
 - Co się dzieje, do cholery? - mruknąłem; minąłem wjazd do hotelu i zatrzymałem się przy naszym bungalowie.
- Wysiedliśmy z samochodu, ale również nikogo nie zauwa-

żyłem. Weszliśmy do środka. Angela zobaczyła mnie, a potem Gonzalesa. Uśmiechnęła się i zawołała po hiszpańsku:

- *Buenos noches, Tib!*

Gonzales pochylił się, żeby ją pocałować.

- Angela - powiedział - duża już z ciebie dziewczynka. Angela zwróciła się do mnie:

- Chcę na kolację Big Maca.

W tym momencie z drugiego pokoju wyszła Kim.

- Opiekunka powiedziała mi, że Angela przez cały dzień objadała się w Disneylandzie hamburgerami i frytkami.

- Pal licha, co ja na to poradzę? - odparłem. - Skoro chce Big Maca, pozwól jej. Dzieci mają prawo być dziećmi.

Przedstawiłem Kim generała; powiedziałem, że przyleciał z Peru dlatego, że go o to prosiłem.

- Chyba powinniśmy zjeść kolację tutaj - powiedziałem. - Wydaje mi się, że wieczorem odezwie się Alma albo mój wuj.

- Ja chcę Big Maca - upierała się Angela.

- Dobrze. Kim, poproś opiekunkę, żeby poszła z Angellą i kupiła jej hamburgera - powiedziałem, a potem zwróciłem się do Gonzalesa: - Proszę zjeść z nami kolację, zadzwonię na recepcję i załatwię panu pokój.

Złożyliśmy zamówienie, a kiedy siedzieliśmy przy barku, popijając drinki, zadzwonił Jimmy Blue Eyes.

- Wuj odzywał się? - spytał.

- Jeszcze nie - odrzekłem.

- Dałem ci dwóch ochroniarzy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Trochę mnie zaniepokoiłeś. Zauważyłem, że ktoś jechał za mną od samego biura.

- To moi ludzie - powiedział. - Kazałem im być w pobliżu, na wypadek gdybyś miał jakieś problemy.

- Dlaczego miałbym mieć jakieś problemy? - zdziwiłem się.

- Da Vinci chce cię wykiwać.

- W jaki sposób miałby mnie wykiwać? To tylko pieprzony wysłannik.

- To ktoś więcej niż wysłannik - odparł. - To wynajęty zabójca.

- Na kogo poluje? - spytałem. - Nie miał nic do mnie.
 - Poluje na twojego wuja - odparł Jimmy. - Sądzę, że właśnie dlatego wrócił do Europy. Mam przeczucie, że twój wuj pojechał na Sycylię, żeby rozmówić się z komisją. - Jimmy Blue Eyes zamilkł na chwilę, a potem spytał: - Czy da Vinci coś ci zostawił?
 - Tak - odparłem. - Zostawił dwie walizki należące do Almy.
 - W porządku. Nie ruszaj się, zaraz u ciebie będę. W połowie kolacji recepcjonista zaanonsował gościa.
 - Przyszedł pan Pelleggi.
 - Proszę go wpuścić - powiedziałem.
- Otworzyłem drzwi. Jimmy Blue Eyes wszedł, spojrzał na Gonzalesa i spytał:
- Co to za jeden?
 - To przyjaciel Almy z Peru.
 - Jest w porządku?
 - Po naszej stronie - uspokoilem go.
 - Dobra - powiedział Jimmy, po czym otworzył drzwi bungalowu i zawołał swoich ochroniarzy. Potem znów zwrócił się do mnie:
 - Gdzie są te walizki, które zostawił da Vinci? Spojrzałem na Kim.
 - Gdzie je położyłaś?
 - Są w szafie dla gości - odparła.
- Otworzyłem szafę i wyjąłem z niej dwie ponad półmetrowe aluminiowe walizy. Jimmy wskazał je jednemu ze swoich ludzi.
- Otwórz.
- Mężczyzna wyjął duży nóż, podważył nim zamek walizki i uderzył. Zamek odpadł. Mężczyzna otworzył wieko. Zajrzeliśmy do środka. Walizka wypełniona była po brzegi celofanowymi torebkami z białym proszkiem. Jimmy przedziurawił jedną z torebek, po czym wziął na palec trochę proszku i posmakował.
- To heroina - powiedział. Kim odwróciła się do mnie.
 - Co ty wyprawiasz? Wylądujesz w więzieniu.

- No i co teraz zrobimy? - spytałem Jimmy'ego.
- To część transakcji. Da Vinci miał przywieźć heroinę z Sycylii w zamian za kokainę z Kolumbii - odparł.
- Co to ma wspólnego z wujem Rocco? - spytałem.
- Twój wuj wycofał się z tej branży już dawno temu. Jest jednak paru ludzi, którzy chcą, żeby do niej wrócił - odparł, po czym kazał swoim ludziom zamknąć walizkę.
- Jak myślisz, ile tego jest? - spytałem.
- W każdej walizce jest około czterdziestu kilo.
- Ile to warte?
- W hurcie około siedmiu milionów dolarów. Na ulicy jakieś sto pięćdziesiąt milionów.
- Co się z tym teraz stanie? - spytałem. Jimmy uśmiechnął się.
- Zajmę się tym. Mogę skorzystać z telefonu?
- Oczywiście.

Wystukał numer i już po kilku sekundach rozmawiał z kimś po włosku. Mówił tak szybko, że nie mogłem go zrozumieć. W końcu odłożył słuchawkę i zwrócił się do mnie:

- Da Vinci jest na Sycylii. Jak tylko twój wuj się odezwie, trzeba koniecznie mu o tym powiedzieć - stwierdził, po czym dał znak swoim ludziom, żeby zabrali walizki i wyciągnął rękę na pożegnanie. - Bądźmy w kontakcie, zostawię ci dwóch ludzi, w razie gdybyś potrzebował pomocy. Nigdy nie wiadomo, co tym palantom przyjdzie do głowy. - Pokręcił głową. - Ostatnio w branży aż się roi od młodych narwańców, którzy tylko szukają okazji, żeby wykończyć starych. Okiełznać ich mogą jedynie sycylijscy bossowie.

Popatrzyłem, jak wychodzą z bungalowu, a potem usiadłem przy barku i spojrzałem na generała Gonzalesa.

- Co pan na to?

Peruwiański generał odparł cichym głosem:

- To oszuści.

Rozdział X

Była jedenasta wieczór. Zjedliśmy już kolację i piliśmy kawę. Angela poszła spać. Generał spojrzął na mnie i spytał:

- Ma pan broń?

- Nie - odparłem. - Nie potrzebuję broni.

- Myślę, że teraz będzie pan potrzebował - stwierdził, po czym sięgnął pod marynarkę i podał mi niewielki, dziewięć-milimetrowy pistolet. - Proszę wziąć na wszelki wypadek.

- Myśli pan, że będziemy mieć kłopoty? - spytałem.

- Mam przeczucie, że coś tu jest nie w porządku.

- Co pan ma na myśli? Gonzales popatrzył na mnie.

- Jimmy Blue Eyes nie wydawał się zaskoczony, że ta heroina była u pana - odparł. - Zanim się obejrzelśmy, zniknął razem z walizkami. Powiedział, że ile to warte? Siedem milionów dolarów?

- Tak - potwierdziłem. Peruwiarczyk pokiwał głową.

- Całkiem niezły utarg jak na jedną noc.

- Do czego pan zmierza? - spytałem.

- Mam przeczucie, że to jeszcze nie koniec na dziś.

- Powiedział, że zostawi mi dwóch ochroniarzy. Gonzales uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Nie jestem pewien, czy to ochroniarze czy raczej oprawcy. Jimmy Blue Eyes rozgrywa siedem milionów dolarów.

Na jego miejscu nie zostawiłbym po sobie żadnych świadków.

- Chyba ma pan rację - odparłem po chwili namysłu. Rozległ się dzwonek telefonu. Kim odebrała i po chwili podała mi słuchawkę.

- Ciotka Rosa do ciebie.
- Ciotka Rosa? - zdziwiłem się. - Od dawna się nie odzywała. - Sięgnąłem po słuchawkę. - Ciociu Roso, jak się masz?
- W porządku - odparła.
- Późno dzwonisz - stwierdziłem.
- Właśnie sobie przypomniałam, że twój ojciec zwykle posyłał kwiaty na mszę za twoich dziadków w Palermo
- powiedziała. - Pomyślałam sobie, że byłoby miło, gdybyś ty w tym roku posłał kwiaty.
- Zastanawiałem się przez chwilę. Nigdy nie słyszałem o czymś takim. Domyśliłem się, że ciotka Rosa przekazywała mi jakąś informację.
- Czemu nie - odparłem w końcu. - Na kiedy mam wysłać te kwiaty?
- Msza odbędzie się w Palermo za trzy dni - powiedziała ciotka Rosa. - Nasz kuzyn ma kwiaciarnię w hotelu Villa Igiea. Będzie wiedział, gdzie je posłać.
- Dobrze. Zajmę się tym jak najszybciej.
- Nie zapomnij - dodała ciotka poważnym głosem. - To naprawdę bardzo ważne.
- Nie martw się, ciociu Roso, dopilnuję wszystkiego.
- Zawsze byłeś dobrym chłopcem. Wiem, że dopilnujesz. Dobranoc.
- Odwróciłem się do Kim i Gonzalesa.
- Teraz wiemy, gdzie znaleźć wuja Rocco. Gonzales popatrzył na mnie.
- Wydaje mi się, że powinienem z wami zostać. Jestem profesjonalistą i wiem, jak radzić sobie z kłopotami.
- Mogę panu zaproponować tylko sofę, ponieważ Angela zajmuje pokój gościnny.
- Nie ma sprawy - zgodził się.
- Gdzie masz się spotkać z wujem Rocco? - spytała Kim.
- Za trzy dni w Palermo. Zaplanuję podróż jutro rano, teraz chodźmy spać.
- O trzeciej w nocy znów zadzwonił telefon. Odebrałem go; tym razem była to Alma.
- Angela jest u was? - spytała.

- Tak.
- Wszystko w porządku?
- Tak. Gdzie jesteś?
- W Paryżu. Przyjechał generał Gonzales?
- Tak, jest tu w tej chwili.
- To dobrze. Daj mi go.

Poszedłem do salonu. Gonzales nie spał, siedział na sofie.

- Alma chce z panem rozmawiać - powiedziałem. Generał podniósł słuchawkę. Słuchałem przez moment i zauważyłem, że nie rozmawiają po hiszpańsku. Prawdopodobnie był to peruwiański dialekt. W końcu generał powiedział:

- Dobrze, ja też będę - i odłożył słuchawkę.
- Co powiedziała? - spytałem.
- Udało jej się wynająć jacht w Cap d'Antibes. Razem z pańskim wujem mają popłynąć nim do Palermo. Zdaniem pańskiego wuja to najbezpieczniejszy sposób, żeby tam się dostać.
- Czy mówiła coś o naszym spotkaniu?
- Tak - odparł. - Potwierdziła wiadomość od pańskiej ciotki.
- W porządku. Jutro postaram się załatwić samolot. Generał Gonzales spojrzał na mnie i spytał:
- Co zrobimy z ochroniarzami?
- Pieprzę ich - odparłem. - Jeśli nie będą się nas czepiać, damy im spokój.

Wróciłem do sypialni. Kim siedziała na łóżku.

- Co się dzieje? - zapytała. Uśmiechnąłem się.
- Jedziemy na miodowy miesiąc do Europy.

Przybyliśmy do Palermo dzień przed umówionym spotkaniem z wujem Rocco. Hotel był wygodny, dostaliśmy z Kim dobry pokój. Pokój Gonzalesa znajdował się naprzeciwko.

O siódmej wieczór zeszliśmy do koktajlbaru na drinka.

- Palermo wygląda na spokojne miasto - stwierdziłem.

Generał skinął głową.

- Przypomina mi niektóre miasta w Peru. Na pozór spokojne, ale zawsze coś się gotuje pod powierzchnią. Kelner podszedł do naszego stolika. Kim poprosiła o Asti Spumante, a my z generałem wzięliśmy szkocką. Wcześniej, w dzień, jedliśmy obiad w restauracji. Menu było włoskie aż do przesady - nic, tylko *pasta i pasta*. Kolację postanowiliśmy zjeść późnym wieczorem w hotelu. Siedzieliśmy w milczeniu, kiedy nagle usłyszałem za plecami głos:

- Stevens!

Odwróciłem się i zobaczyłem Jimmy'ego Blue Eyes z dwoma ochroniarzami.

- Czy mogę się przysiąść? - spytał.

- Proszę bardzo - odparłem. Jimmy usiadł.

- Nie spodziewałem się ciebie tutaj - stwierdził.

- Ani ja ciebie.

- Przyjechałeś spotkać się z wujem?

- Nie odzywał się. Przyjechałem tu na mszę za moich dziadków - skłamałem. - Co ciebie tu sprowadza?

- Interesy - odparł Jimmy.

Nie pytałem, co to za interesy. Jimmy uśmiechnął się.

- Znam dobrze miasto. Mogę was zaprosić na kolację?

- Jeśli nie sprawi ci to kłopotu - odparłem.

- Ależ skąd. Byłoby mi bardzo miło. Spojrzałem na niego i spytałem:

- A propos, wspomniałeś wtedy, że da Vinci jest już we Włoszech. Myślisz, że może gdzieś tu być?

- Nie wiem - odparł Jimmy, wzruszając ramionami. - Jednak wszystko jest możliwe. Powinniśmy mieć oczy szeroko otwarte - dodał i wrócił do swojej propozycji: - Umówmy się w holu o ósmej trzydzieści. Przyjadę po was.

- Świetnie, będziemy czekać.

Jimmy wstał i wyszedł z baru, a za nim obaj ochroniarze. Spojrzałem na Gonzalesa i Kim.

- No i co wy na to?

Gonzales miał nietęgą minę.

- Zdaje się, że wpadliśmy w kłopoty. Nie wiemy, kto jest po naszej stronie.

Jimmy Blue Eyes przyjechał po nas Mercedese 600. Po dwudziestu minutach dotarliśmy do restauracji na obrzeżach miasta. Mieściła się ona w budynku wyglądającym na dawną prywatną rezydencję. Usiedliśmy na tarasie z widokiem na morze.

Po kilku minutach kelner wniósł ogromną tacę zakąsek. Jimmy zamówił dwie butelki czerwonego wina.

Otworzyłem paczkę paluszków i zacząłem się śmiać.

- Z czego się śmiejesz? - spytał Jimmy.

Podąłem mu opakowanie. Na dole widniał napis: „Wyprodukowano w Brooklynie, Nowy Jork”. Jimmy uśmiechnął się.

- Świat jest mały. - Po chwili spytał: - Jak myślisz, jakie plany ma twój wuj?

- O ile mi wiadomo - odparłem - wuj Rocco chce się wycofać z interesów.

Jimmy pokręcił głową.

- Nigdy mu na to nie pozwolą. Za dużo wie.

- Wuj jest już stary. Myślę, że mogliby mu pozwolić spędzić ostatnie kilka lat w spokoju.

Nic na to nie odpowiedział, tylko zwrócił się do Kim:

- Jedzenie jest tu bardzo dobre. Mają wspaniałą cielecinę i znakomite świeże ryby. Cokolwiek zamówisz, nie będziesz żałować.

- Lubię ryby - stwierdziła Kim.

Rozejrzałem się po restauracji. Na tarasie stało kilkanaście stolików, ale byliśmy jedynymi gośćmi.

- Nie mają tu specjalnego ruchu - zauważyłem.

- To Sycylia, tu nikt nie jada przed północą - wyjaśnił Jimmy. - Jesteśmy Amerykanami, przyszliśmy bardzo wcześnie.

Kelner podał nam karty dań.

- Chyba wezmę cielecinę - zdecydowałem - z *fettucini*.

- Ja poproszę się - zamówiła Kim.
- Dla mnie też ryba - postanowił Gonzales. Jimmy spojrzał na kelnera.
- Mam ochotę na małże - stwierdził.

Nie znosiłem małży. Sam ich widok przyprawiał mnie o mdłości.

Słońce zaszło prawie w jednej chwili i zapanował mrok. Kelnerzy rozstawili na wszystkich stołach świece. Jimmy Blue Eyes był w dobrym nastroju.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak ważną rolę odgrywa Sycylia - odezwał się do mnie. - Jesteśmy biednym krajem i biednym narodem, jednak w jakiś sposób udało nam się wypracować pewien prestiż. Nie zapominaj, gdyby nie my, nie byłoby Las Vegas. A ja spędziłem swoje życie na doglądaniu tam porządku.

- Jednak zabrali wam kasyna - odparłem. Jimmy roześmiał się.
- Obejdzimy się bez nich. Jest wiele innych możliwości zarobienia kupy forsy.

Spojrzałem na niego i spytałem:

- Nie obawiasz się, że ktoś mógłby je wam odebrać?
- Różni próbowali - odparł - ale nikomu się nie udało. Popatrzył w stronę drzwi.
- Co się tam dzieje, do cholery? - mruknął, spoglądając w kierunku swoich ochroniarzy.

Spojrzeliliśmy z Gonzalesem w tę samą stronę. Z restauracji wyłoniło się dwóch ludzi i szli teraz przez taras. Ochroniarze Jimmy'ego wyglądali na przestraszonych, a potem nagle zniknęli. Jimmy sięgnął pod marynarkę, a ja zepchnąłem Kim z krzesła na podłogę i zakryłem ją własnym ciałem.

Nie widziałem, czy Jimmy Blue Eyes zdążył chociaż wyciągnąć broń. Seria z uzi dziurawiła go jak sito. Napastnicy zwrócili się w naszą stronę, lecz w tym momencie objawił się prawdziwy profesjonalizm Gonzalesa. W obu rękach trzymał po colcie 45. Rozwalił obu mężczyznom głowy.

- Jezu - jęknąłem.

- Co za palanty - mruknął z odrazą. - Jeśli chcieli nas załatwić, powinni byli strzelać jednocześnie do wszystkich. Wstałem i pomogłem Kim podnieść się. Była blada jak papier i zbierało jej się na wymioty.

- Nie patrz na nich - powiedziałem.

- Zabierajmy się stąd, zanim zjawi się policja - odezwał się Gonzales.

Popatrzyłem na Jimmy'ego Blue Eyes. Leżał na brzuchu, a krew sączyła się z przestrzelonych na wylot ran.

Wzięliśmy z Gonzalesem Kim pod ręce i ruszyliśmy w stronę wyjścia. Kiedy przechodziliśmy obok trupów napastników, w jednym z nich poznałem da Vinci.

Da Vinci nie będzie już zabawiał się w swoje gry komputerowe, pomyślałem. Swoją drogą, miał idiotyczny wyraz twarzy.

Personel restauracji bez słowa pozwolił nam opuścić lokal. Rozejrzałem się, szukając ochroniarzy. Nie było ich nigdzie w pobliżu. Mercedes stał na swoim miejscu, z kluczykami w stacyjce.

- Jedziemy - powiedziałem. - Jakoś trafimy z powrotem do hotelu.

Gonzales popatrzył na mnie.

- W końcu nie wiem, kogo oni chcieli załatwić,- Jimm'ego Blue Eyes czy pana.

Rozdział XI

Wuj Rocco nie pojawił się w hotelu aż do następnego wieczoru. O siódmej byłem już gotów wynosić się z Sycylii. Palermo nie sprawiało wrażenia najbardziej przyjaznego miasta na świecie.

Przyszedł w końcu do naszego pokoju.

- Jak minęła podróż? - spytał.
- Podróż była dobra, ale nie spodziewałem się, że wyląduję w samym środku wojny.
- Przykro mi - odparł wuj Rocco. - Słyszałem o tym.
- Od kogo słyszałeś? - zdziwiłem się.
- Od komisji. Wiesz, że da Vinci chciał cię dopaść, podobnie zresztą Jimmy Blue Eyes?
- Dlaczego mnie, do cholery? Wuj Rocco pokręcił głową.
- Wydawało im się, że w ten sposób mogą dotrzeć do mnie. Teraz to już bez znaczenia. Wszystko się wyjaśniło. Odbyłem spotkanie z komisją sycylijską, stojącą na czele najbardziej wpływowych rodzin na Sycylii. Wysłali zgodę do pięciu rodzin w Nowym Jorku.
- Co to znaczy? - spytałem. Wuj popatrzył na mnie i odparł:
- Mogę się wycofać. Teraz pozostaje nam tylko dopilnować, abyś przejął Inter-World Investments.
- A kiedy spotkamy się z nimi, żeby to załatwić? - spytałem.
- Kiedy wrócimy do Nowego Jorku. Ich biura znajdują się w dzielnicy finansowej.
- W takim razie, po jaką cholere przyjechałem na Sycylię? Żeby dać się zastrzelić?

- Nie - odparł wuj Rocco. - Musimy być dziś na kolacji urządzonej na twoją cześć. Komisja chce ci się przyjrzeć.
- A co, jeśli im się nie spodobam? Zabiją mnie?
- Nie wygłupiaj się. To będzie niezwykle miły wieczór. Popatrzyłem na wuja.
- Czułbym się lepiej, gdybym mdgł zabrać ze sobą karabin maszynowy.

Wuj roześmiał się.

- Nie będzie ci potrzebny. Mamy wystarczającą ochronę.
- Muszę kupić jakąś suknię - wtrąciła się Kim. - Nie wiedziałam, że mamy być na uroczystej kolacji. - Spojrzała na wuja Rocco i spytała: - Czy Alma będzie odstawiona?
- Oczywiście - odparł.
- Gdzie mogę zrobić zakupy? Jest już późno.
- Nie martw się. Wszystkie sklepy są otwarte do dziesiątej, a kolacja nie zacznie się przed północą.
- Chciałbym zobaczyć się z senoritą Vargas - odezwał się generał Gonzales.

Wuj Rocco skinął głową.

- Nie ma sprawy. Może pan iść ze mną, kiedy będę wracał na łódź. Ona tam jest.

Generał skinął w milczeniu głową, a wuj Rocco spojrzał na mnie i dodał:

- Ty też lepiej idź na zakupy. Potrzebny ci będzie smoking. To naprawdę oficjalna kolacja.
- Ile osób tam będzie? - spytałem.
- Dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć. Nie mogą się doczekać, żeby cię poznać. Większość z nich znała twego ojca, kiedy byliśmy młodzi.
- Gdzie odbędzie się ta kolacja? - spytałem.
- Tu, w hotelu. Zamówiłem jedną z prywatnych sal bankietowych. - Wuj przyjrzał mi się badawczo. - Nie wyglądasz na zbyt zadowolonego?
- Nie jestem pewien, czy podoba mi się ten pomysł - przyznałem.
- Nie denerwuj się - uspokoił mnie. - Pamiętaj o jednym: jesteśmy rodziną.

Wuj Rocco opuścił nasz apartament, zabierając ze sobą generała Gonzalesa. Popatrzyłem na Kim.

- Zadzwoń na recepcję. Pewnie będą tam wiedzieć, do jakich sklepów najlepiej pójść.

Kiedy ubraliśmy się z Kim na kolację, wybuchliśmy śmiechem. W końcu musieliśmy wypożyczyć nasze kreacje z butiku ze strojami ślubnymi. Mój smoking był wprawdzie od Giorgio Armaniego, ale już parę lat temu wyszedł z mody. Kim miała na sobie długą, typowo sycylijską koronkową suknię.

- W tych ubraniach moglibyśmy pójść do burmistrza i wziąć ślub - zauważyła Kim.

- Wszystko możliwe - odparłem. - Dawno nie widziałem takiego smokingu. Ale co tam, do diabła, skoro jesteśmy na Sycylii, zachowujmy się jak Sycylijczycy! - roześmiałem się.

Spojrzałem na zegarek.

- Chryste, trochę się pośpieszyliśmy. Mamy jeszcze godzinę. Napijmy się czegoś.

Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem; stał w nich wuj Rocco. Wyglądał fantastycznie. Nic dziwnego; miał swój własny smoking.

- Gdzie Alma i Gonzales? - spytałem.

- Nie przyjdą-odparł wuj.

- Mówiłeś przecież, że Alma będzie na kolacji - powiedziała Kim.

- Zmieniłem zdanie - wyjaśnił wuj Rocco. - Na Sycylii nie zaprasza się kobiet na oficjalne kolacje.

- W takim razie, dlaczego ja idę? - spytała Kim.

- Po pierwsze, jesteś Amerykanką. Po drugie, powiedziałem im, że jesteś narzeczoną Jeda i mówisz po włosku.

Możesz mu pomóc w rozmowie.

- W porządku. Napijmy się - zaproponowałem.

- Tylko szybko - zastrzegł wuj Rocco. - Musimy tam być, zanim pojawią się goście. - Zwrócił się do Kim: - Piękna suknia.

Kim uśmiechnęła się.

- Czuję się jak sycylijska panna młoda. Wuj roześmiał się.

- Pal licha, kto tam zwróci uwagę!

Kwadrans przed dwunastą zeszliśmy do sali bankietowej. Punktualnie o północy zaczęli nadchodzić goście.

Wuj przedstawił mnie każdemu wchodzącemu. Wśród nich było czterech starców na wózkach inwalidzkich, pchanych przez młodych mężczyzn.

Wuj Rocco zasiadł na poczesnym miejscu za stołem w kształcie podkowy. Mnie posadzono po jego lewej stronie, Kim zaś usiadła obok. Po prawej stronie wuja siedział jeden ze starców na wózku.

Ponieważ konwersacja toczyła się w dialekcie sycylijskim, nie byłem w stanie zrozumieć prawie ani słowa. Rocco był zajęty rozmową. Kim starała się tłumaczyć, ale jej sycylijski był kiepski. Kiedy goście zdali sobie sprawę z naszego kłopotliwego położenia, przez grzeczność zaczęli rozmawiać po włosku, abyśmy mogli się porozumieć.

Starsi z obecnych mówili mi o moim ojcu - jak bardzo szanowali go za to, że jako jeden z nielicznych poszedł własną drogą. Wyrażali też swoje zadowolenie, że ja poszedłem w jego ślady.

Kim szepnęła do mnie:

- To, co mówią o twoim ojcu, to naprawdę miłe.

- Tak - zgodziłem się. - Nie zapominaj jednak o jednym: prawdopodobnie oni wszyscy to mordercy.

O drugiej w nocy kolacja dobiegła końca i zaczęliśmy wznosić toasty.

Wuj Rocco wygłosił mowę. Nie bardzo rozumiałem, ale odniosłem wrażenie, że dziękował wszystkim za to, że pozwolili mu wycofać się z honorem.

Siedzący po prawej mężczyzna w wózku inwalidzkim powiedział kilka słów i wręczył wujowi obitą aksamitem kasetkę;

Wuj Rocco otworzył ją i wyjął piękny, wysadzany diament-

tami zegarek marki Patek Philippe. Ucałował starca w oba policzki, a później zwrócił się do pozostałych. Trudno mi było uwierzyć, ale widziałem, jak płynęły mu z oczu łzy, kiedy im dziękował.

Rozległy się oklaski, a potem wszyscy zaczęli wstawać z miejsc i zbierać się do wyjścia. Do stołu podszedł młody, przystojny mężczyzna i stanął przed wujem Rocco. Wuj uśmiechnął się i wyciągnął rękę, ale ten powiedział coś ostrym głosem, po czym wyciągnął pistolet i strzelił.

Odruchowo, bez namysłu, przeskoczyłem przez stół i przewróciłem Sycylijszyka na podłogę. W tej samej chwili pojawiło się przy mnie jeszcze dwóch ludzi, którzy obezwładnili go i zabrali mu broń.

Wstałem i podbiegłem do wuja Rocco. Opierał się o Kim i wyglądał bardzo blado.

- Niech ktoś wezwie lekarza - zawołałem. Mężczyźni postawili napastnika na nogi. Starzec na wózku inwalidzkim mówił coś rozniewanym głosem, po czym wyciągnął pistolet i zabił Sycylijszyka strzałem w głowę.

Rozchyliłem poły marynarki wuja.

- Chciałem umrzeć spokojnie w łóżku, a nie od kuli -jęknął.

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się.

- Nie umrzesz od tej rany. Postrzelił cię tylko w ramię. Starzec na wózku zwrócił się do mnie i tym razem, ku mojemu zaskoczeniu, odezwał się doskonałą angielszczyzną:

- Bardzo przepraszam. To właśnie tacy ludzie przynoszą wstyd nam wszystkim.

Siedzieliśmy w pokoju hotelowym. Wuj Rocco jęczał, a lekarz wyciągał kulę z jego ramienia. Potem szybko posmarował ranę jodyną i opatrzył ją, po czym zawiesił wujowi na szyi temblak i umieścił na nim jego rękę.

Tłumaczył coś wujowi po włosku.

- Co on powiedział? - spytałem. - Nie bardzo zrozumiałem.

- Powiedział, żeby nie ruszał ręką, i że opatrunek należy zmieniać codziennie przez kilka najbliższych dni - przetłumaczyła Kim.

- Nie tak źle.

Doktor wyjął strzykawkę i zrobił wujowi zastrzyk z penicyliny. Potem zndw powiedział coś po włosku.

- Mdwi, że to na razie wystarczy - tłumaczyła Kim - i że powinien brać co cztery godziny dwie aspiryny, ażeby uśmierzyć ból.

Doktor wstał, zebrał swoje narzędzia i powiedział coś do Kim. Skinęła głową.

- Powiedział, że przyjdzie rano na kontrolę.

- Spytaj, ile mu jestem winien - powiedziałem.

Kim przetłumaczyła, a doktor uśmiechnął się i odparł cicho po angielsku:

- Tysiąc dolarów.

Popatrzyłem na Kim i powiedziałem:

- To bardzo drogi lekarz.

- Nie zgłosiłem nic policji - tłumaczył doktor - a już samo to trochę kosztuje.

Wyjąłem z marynarki wuja portfel i odliczyłem dziesięć studolarowych banknotów.

- Dziękuję - powiedziałem, wręczając je lekarzowi.

- Nie ma za co - odparł i wyszedł z pokoju. Wuj Rocco spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Nie musiałeś dawać mu tyle pieniędzy. Zadowoliliby się połową. Na Sycylii zawsze trzeba się targować.

- Dlaczego miałem się targować? - odparłem. - Przecież to twoje pieniądze.

- Niech cię diabli - mruknął wuj. Przysunąłem się z krzesłem do łóżka.

- A teraz może mi powiesz, co się właściwie stało po kolacji? - spytałem. - Za każdym razem, kiedy jestem przy tobie, ktoś do ciebie strzela. Kiedyś mnie zabiją.

- To palanty - stwierdził wuj Rocco.

- Nie obchodzi mnie, kim oni są - odparłem. - Chcę, żebyś mi powiedział, co robimy.

Wuj Rocco pokręcił głową.

- Ty nic nie musisz robić. Zajmą się nimi ludzie honoru.
- Jesteś pewien? - nie dawałem za wygraną. - Może to właśnie oni na ciebie polują.
- Nie bądź głupi - mruknął wuj. - Teraz wszyscy razem jesteśmy w legalnym interesie.
- Chcesz zostać na noc w hotelu? - spytałem. - Chyba będzie ci tu wygodniej niż na łodzi.
- To dobry pomysł - przyznał. - Poza tym jest już późno i sędzę, że wszyscy powinniśmy się trochę przespać. Jutro porozmawiamy z Alną i Gonzalesem. Jak tylko doktor opatrzy mi ponownie ranę, wyruszmy do domu. - Popatrzył na mnie raz jeszcze i dodał: - Będziesz musiał zatrzymać się w Nowym Jorku w Inter-World Investments. Ich biura mieszczą się na dwóch piętrach Eighty Broad. Musisz zacząć poznawać swoich pracowników na kierowniczych stanowiskach.

Rozdział XII

O dziesiątej rano zjawił się doktor i zmienił wujowi Rocco opatrunek. Zmierzył mu także temperaturę i wydawał się zadowolony - wuj nie miał gorączki. Potem zrobił wujowi drugi zastrzyk z penicyliny i ostrożnie umieścił jego rękę z powrotem na temblaku.

- Całkiem nieźle - zwrócił się do wuja Rocco. - Teraz powinien pan tylko pamiętać, aby codziennie zmieniać opatrunek i przez jakiś czas nie ruszać ręką, a wszystko wróci do normy.

Wuj Rocco podziękował mu i odprowadził go do drzwi. Potem wrócił do nas i usiadł przy stoliku, gdzie piliśmy kawę.

- Alma nie odezwała się jeszcze? - spytał.

- Nie.

- Dziwne. Jestem zaskoczony, że nie dzwoni ani nie szuka mnie tutaj - stwierdził. - Zadzwoń na jacht.

- Masz tam telefon? - spytałem.

Skinął głową. Wyjął z kieszeni kartkę i podał jego numer centrali hotelowej. Odczekał parę chwil, słuchając sygnału, a potem spojrzał na mnie z wyrazem zaniepokojenia na twarzy.

- Nikt nie odpowiada. Powinien ktoś odebrać.

- Może właśnie jedzie tu z Gonzalesem - zastanawiałem się na głos.

- Sądzę, że powinniśmy tam pójść - postanowił wuj.

- W porządku - odparłem i zadzwoniłem na recepcję po samochód. Kwadrans później zajechaliśmy do nabrzeża

przystani, gdzie stała przycumowana łódź. *Cesarzowa Beau-lieu* był to czterdziestometrowy jacht motorowy zbudowany w Chantier D'Esterel w Cannes.

Wysiedliśmy z samochodu i obejrzelśmy łódź. Nie dostrzeżliśmy nikogo. Wuj Rocco w milczeniu wyjął z marynarki pistolet.

- Chodźmy na pokład - powiedział do mnie, po czym zwrócił się do Kim: - Ty lepiej zostań w samochodzie.

- Dlaczego? Myślisz, że może być jakiś problem?

- Nie wiem - odparł. - Nie chcę jednak ryzykować. - Popatrzył na mnie i spytał: - Masz broń?

Miałem dziewiątkę, którą dał mi Gonzales. Wszedłem za wujem Rocco na trap. Przeszliśmy się po pokładzie, a potem podeszliśmy do mostka.

Wuj uniósł nagle rękę i wskazał w stronę steru. Leżał pod nim zgięty wpół marynarz. Następnie spiralnymi schodami zeszliśmy na dół, do kabin. W korytarzu leżał generał Gonzales z dwoma śladami po kuli w głowie. Wuj otworzył drzwi do pierwszej kabiny. Na łóżku leżała Alma, a krew z jej podciętego gardła rozlała się po pościeli. Poczułem, że robi mi się niedobrze.

Wuj Rocco wypchnął mnie na korytarz; schodkami wróciliśmy na górę.

Popatrzyłem na niego i spytałem tylko:

- Dlaczego? Pokręcił ponuro głową.

- To handel narkotykami. Mówiłem jej, żeby nie próbowała ich przechytryć.

Ciągle czułem mdłości.

- Co teraz zrobimy?

Zeszliśmy z łodzi i w milczeniu wróciliśmy do samochodu. Usiadłem z Kim na tylnym siedzeniu. Ścisnąłem ją za rękę.

Spojrzała na mnie i spytała:

- Co się stało?

- Nie żyją - wyszeptalem.

Na jej twarzy pojawiło się przerażenie; zaczęła płakać.

- Moj Boże! - jęknęła. - Co się stanie z tą dziewczynką?

To działo się cztery lata temu. Spędziliśmy kilka tygodni w Nowym Jorku, gdzie odbyłem serię spotkań z kierownictwem Inter-World. Potem wróciliśmy do Kalifornii.

Miesiąc później ja i Kim wzięliśmy ślub w Las Vegas. Przy okazji przegrałem trzydzieści dwa tysiące dolarów w bakarata.

Miesiąc po ślubie adoptowaliśmy Angełę, a dwa lata później przyszło na świat nasze własne dziecko. Chłopiec. Nazwałem go John, po moim ojcu.

Tymczasem wuj Rocco opuścił Atlantic City i wrócił do Nowego Jorku. Wynajął dom, który niegdyś mi sprzedał. Wydawało się, że jest zadowolony, jednak czułem, że brakuje mu działania.

Przez cały czas pracowałem w pocie czoła i w ciągu kilku lat Inter-World - znane powszechnie pod nazwą IBM, wspięło się niemal na szczyt listy Fortune International 500.

Któregoś dnia późnym wieczorem zadzwoniła do mnie ciotka Rosa. Płakała.

- Rocco leży na łożu śmierci; chce cię zobaczyć, zanim umrze.

Następnego dnia rano byłem już w Nowym Jorku. Ciotka Rosa siedziała przed drzwiami sypialni płacząc. Były z nią jej dwie córki. W sypialni modlił się młody ksiądz, Udzielił już wujowi ostatniego namaszczenia.

Mój wuj z trudem łapał oddech. Na krześle przy łóżku siedziała pielęgniarka. Podłączyła umierającego do elektrokardiografu. Podawano mu tlen z butli. Wuj miał bladą twarz i wydawało się, że bardzo cierpi. Dotknąłem ostrożnie jego ręki, uważając, aby nie poruszyć podłączonej do niej kroplówki.

Wuj obrócił powoli głowę i spojrzał na mnie. Po chwili odezwał się:

- Ależ jestem udupiony.

Chciałem go jakoś pocieszyć i odparłem:

- Widziałem ludzi w gorszej sytuacji.
- Z pewnością. Ale oni byli już martwi.
- Wuj Rocco, czemu narzekasz? Chciałeś umrzeć w łóżku, no i proszę, udało się.
- Prawdziwy z ciebie kutas - odparł. - Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. Ułożyłem ci życie. Jesteś jednym z najbogatszych ludzi na świecie.
- Nieprawda. Jestem tylko winien ci więcej pieniędzy niż ktokolwiek inny.

Roześmiał się.

- Jesteś prawdziwym Sycylijczykiem. Płynie w tobie krew żydowska, ale w głębi serca jesteś czystym Sycylijczykiem - powiedział cicho. - Jesteśmy rodziną. Jesteś synem, którego straciłem.
- Nigdy nie byłbym w stanie zastąpić ci Angela, ale dziękuję, że to mówisz.
- Raz poczułem do ciebie prawdziwą nienawiść - wyznał wuj.

- Dlaczego?

- Wiem, że zastrzeliłeś Angela.
- Oszczędziłem mu cierpień. - odparłem. - Kochałem go, a on powiedział, że powinienem mu pomóc, bo należę do rodziny.

Wuj Rocco milczał przez moment.

- Wiem - odezwał się w końcu. - Alma opowiedziała mi to wiele lat temu. Mówiła, że próbowałaś go ratować, ale nie dało się.

Poruszył drugą ręką i powiedział:

- Mam na palcu sygnet. Zdejmij go.

Ściągnąłem go powoli. Był to staromodny, złoty sygnet z umieszczonym pośrodku wielkim, kwadratowym diamentem.

- Załóż go - powiedział wuj. - Chcę, żebyś go nosił. Miałem zamiar zostawić go Angelowi, ale teraz ty jesteś dla mnie Angelem.

W milczeniu wsunąłem sobie sygnet na palec. Był bardzo ciężki.

- Lekarze powiedzieli mi - odezwał się zndw wuj - że nie będę czekał zbyt długo.
- Lekarze nie zawsze wiedzą najlepiej - odparłem. Uśmiechnął się.
- Tak naprawdę, mam to w dupie - mruknął. - Nie chcę czekać. - Ścisnął mnie za rękę i zamknął oczy. Potem jego powieki uniosły się raz jeszcze i umarł.

Następnego dnia po pogrzebie wuja Rocco siedziałem przy stole w jadalni jego apartamentu, spoglądając na stos papierów.

Dostałem ostatni czek od prezesa. Przygotowałem przelew na fundację wuja Rocco. Weszła pokojówka.

- Przyszło do pana kilku przyjaciół pana di Stefano -oznajmiła.
- Poproś ich, niech wejdą.

Weszło trzech mężczyzn w podeszłym wieku. Przypomniałem sobie, że widziałem ich na pogrzebie, ale z nimi nie rozmawiałem.

Teraz zaczęli mówić mi o wuju Rocco, którego znali od czasów młodości. Znali również mojego ojca. Wyrazili swój smutek, że nie zostało już wielu ludzi honoru.

- Jednak Rocco - powiedział jeden z nich - był niezwykłym człowiekiem. Nigdy nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Był prawdziwie wielkim człowiekiem honoru.

Podziękowałem im za przybycie. Wstali i zamierzali wyjść, kiedy jeden z nich zauważył sygnet, który dał mi wuj Rocco, i wziął mnie za rękę.

- Znam ten sygnet - powiedział. - Należał do pańskiego wuja, a wcześniej do jego ojca - pańskiego dziadka. Stanowi symbol prawdziwej szlachetności.

Zanim zdążyłem cofnąć rękę, starzec pochylił się i pocałował go. Po chwili to samo zrobili dwaj pozostali. Popatrzyli na mnie ze łzami w oczach.

- Niech Bóg ma pana w swej opiece, don Jed - powiedzieli i wyszli.

Siedziałem przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w papierach. Z oczu płynęły mi łzy.
Jestem bardzo zwyczajnym człowiekiem. Na dodatek Amerykaninem, a nie Sycylijszym, jednak dla tych trzech
starców byłem Ojcem Chrzestnym...